

HENRY KUTTNER NIESMIERTELNI

Czytelnik



Henry Kuttner

Nieśmiertelni

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[Część pierwsza](#)

[Część druga](#)

[Część trzecia](#)

[Epilog](#)

Wstęp

Na Ziemi panowała biała noc, a na Wenus zapadał zmierzch. Wszyscy ludzie wiedzieli o błyszczącej ciemności, która zmieniła Ziemię w gwiazdę na zachmurzonym niebie. Nieliczni zdawali sobie sprawę, że na Wenus świt przeobraził się już niedostrzegalnie w zmierzch. Podmorskie światła płonęły coraz jaśniej czyniąc z ogromnych Twierdz czarodziejskie warownie pod powierzchnią płytkiego morza.

Światła te były najjaśniejsze siedemset lat temu. Sześćset lat minęło od zniszczenia Ziemi. Był wiek dwudziesty siódmy.

Czas teraz spowolniał. Początkowo biegł znacznie szybciej. Wiele było wtedy do zrobienia. Wenus nie nadawała się do zamieszkania, a jednak człowiek musiał żyć na Wenus.

Na Ziemi minął okres jurajski, zanim istoty ludzkie stały się rozumne. Człowiek jest odporny i słaby zarazem. Z tej słabości można zdać sobie sprawę, gdy dochodzi do wybuchu wulkanu lub trzęsienia ziemi, z odporności natomiast, jeśli będzie się pamiętać, iż kolonie przetrwały na kontynencie wenusjańskim aż dwa miesiące.

Na Ziemi człowiek nigdy nie doświadczył gwałtowności okresu jurajskiego. Na Wenus było gorzej. Człowiek nie dysponował środkami umożliwiającymi podbój Wenus. Oręż jego był albo zbyt słaby, albo zbyt potężny. Człowiek mógł albo całkowicie zniszczyć powierzchnię Wenus, albo zaledwie ją musnąć, nie mógł natomiast na niej żyć. Stał w obliczu przeciwnika, którego dotychczas nie znał.

Stał wobec furii... I uciekł.

W miarę bezpiecznie było pod powierzchnią morza. Nauka udoskonaliła możliwości podróży międzyplanetarnych i zniszczyła Ziemię; nauka zdołała stworzyć

sztuczne środowisko na dnie oceanu. Zbudowano kopuły z impervium. Pod kopułami zaczęły powstawać miasta.

Miasta te ukończono... W tym momencie świt na Wenus zaczął zmieniać się w zmierzch. Człowiek powrócił do morza, z którego się wyłonił.

Część pierwsza

Zwątp więc w czary!

Zapytaj tego anioła, któremu

Sprzedaleś duszę, toć powie, że Makduf

*Przedwcześnie z łona matki był wypruty**

Przyjście na świat Sama Harkera było proroctwem podwójnym. Ukazywało bieg wydarzeń w ogromnych Twierdzach, gdzie wciąż paliły się światła cywilizacji, oraz zapowiadało dalsze życie Sama wewnątrz i na zewnątrz tych podmorskich fortec. Jego matka, Bessi, krucha, ładna kobieta, powinna być na tyle mądra, żeby nie mieć dziecka. Drobniotka, o wąskich biodrach, umarła podczas cesarskiego cięcia umożliwiającego Samowi przyjście na świat, który będzie musiał zmiażdżyć, zanim świat zdoła zmiażdżyć jego.

Oto dlaczego Blaze Harker nienawidził syna nienawiścią ślepą i złośliwą. Myśl o chłopcu zawsze przywodziła mu na pamięć to, co zdarzyło się owej nocy. Słyszac głos Sama, zawsze słyszał pełne przerażenia, słabe krzyki Bessi. Znieczulenie lędzwiowe niewiele pomogło, ponieważ Bessi pod względem i psychicznym, i fizycznym nie nadawała się do macierzyństwa.

Blaze i Bessi – to historia Romea i Julii ze szczęśliwym zakończeniem, aż do momentu, gdy poczęty został Sam. Stanowili parę obojętnych, nonszalanckich hedonistów. W Twierdzach trzeba wybierać. Można było żyć energicznie i prężnie, stając się technikiem lub artystą, albo biernie dryfować. Technologia stwarzała szerokie możliwości zajmowania się wszystkim – od talassopolityki do surowo kontrolowanej fizyki jądrowej. Biernie dryfowanie było jednak łatwe, jeśli ktoś mógł sobie na nie pozwolić. A

* W. Shakespeare, Makbet, akt V, scena VII, przeł. Józef Paszkowski.

nawet jeśli nie, pozostawało spożywanie taniego w Twierdzach lotosu. W takim przypadku po prostu nie musiało się chodzić na kosztowne rozrywki do komnat Olimpu lub na areny.

Blaze i Bessi mogli sobie jednak pozwolić na wszystko. Idylla ich mogłaby stać się sagą hedonizmu. I wydawało się, że zakończy się szczęśliwie, w Twierdzach bowiem nie płaciła jednostka. Płaciła cała rasa.

Blaze po śmierci Bessi miał w sobie tylko nienawiść.

Oto pokolenia Harkerów:

Geoffrey spłodził Raoula. Raoul spłodził Zachariasza. Zachariasz spłodził Blaze'a, a Blaze spłodził Sama.

Blaze usiadł wygodnie w fotelu i spojrzał na swego prapradziadka.

– Możecie iść do diabła – powiedział. – Wszyscy.

Geoffrey był wysokim, muskularnym, jasnowłosym mężczyzną o zadziwiająco dużych uszach i stopach. – Mówisz tak – odrzekł – ponieważ jesteś młody, i tyle. Ile masz lat? Niespełna dwadzieścia!

– To moja sprawa – powiedział Blaze.

– Za dwadzieścia lat ja będę miał dwieście – ciągnął Geoffrey – i byłem na tyle rozsądny, żeby przed pięćdziesiątką nie mieć syna. I na tyle rozsądny, by nie wykorzystywać własnej żony do płodzenia. Cóż winne jest to dziecko?

Blaze uparcie oglądał swoje palce.

Zachariasz, jego ojciec, który dotychczas przyglądał się w milczeniu, zerwał się i warknął: – To psychopata! Nadaje się do szpitala dla wariatów. Tam wyciągnęliby z niego prawdę.

Blaze uśmiechnął się. – Podjąłem środki ostrożności, ojcze – powiedział łagodnie. – Zanim tu dzisiaj przyszedłem, poddałem się stosownym testom i badaniom. Stwierdzono urzędowo, że jestem przy zdrowych zmysłach. Jestem całkowicie compos mentis. Również pod względem prawnym. Niczego nie możecie mi zrobić i wiecie o tym.

– Nawet dwutygodniowe niemowlę ma swoje prawa do wolności osobistej – odezwał się Raoul, szczupły, ciemnowłosy, w elegancko skrojonym ubraniu z celoflexu, wyraźnie niezbyt zachwycony tą sceną. – Ty jednak byłeś na tyle ostrożny, by nie przyznawać się do niczego, Blaze?

– Byłem bardzo ostrożny.

Geoffrey, pochyliwszy do przodu swe szerokie barki, spojrzął zimnymi, niebieskimi oczami prosto w oczy Blaze'a i spytał: – Gdzie jest chłopiec?

– Nie wiem.

Zachariasz odezwał się z wściekłością: – Mój wnuk! Znajdziemy go! Możesz być tego pewien! Czy jest w Twierdzy Delaware, czy gdzie indziej na Wenus – znajdziemy go!

– Na pewno – przytaknął Raoul. – Harkerowie są bardzo potężni, Blaze. Powinieneś o tym wiedzieć. Dlatego właśnie pozwalano ci zawsze robić wszystko, co chciałeś. Ale teraz z tym koniec.

– Nie sądzę – powiedział Blaze. – Mam bardzo dużo własnych pieniędzy. A co do odnalezienia... go... nie pomyśleliście, że może to być trudne?

– Jesteśmy potężnym rodem – odezwał się twardo Geoffrey.

– Owszem. A co, jeśli nie zdołacie rozpoznać chłopca, gdy go odnajdziecie? – spytał Blaze z uśmiechem.

Przede wszystkim poddano go zabiegom usuwającym włosy. Blaze nie mógł dopuścić nawet możliwości, że raz ufarbowane, odrosną znowu rude. Skąpy porost kasztanowatego puszku dziecka został usunięty. Nigdy nie odrośnie. Kultura służąca hedonizmowi celuje w naukowej perwersji. A Blaze mógł dobrze zapłacić. Niejeden technik został już zniszczony przez narkotyki; ludzie ci zwykle są bardzo zdolni na trzeźwo. Blaze znalazł jednak w końcu pewną kobietę, która pracowała najlepiej w stanie podniecenia. W pełni żyła nosząc Szatę Szczęścia, więc długo już nie pociągnie. Narkomani Szaty Szczęścia przetrzymywali przeciętnie około dwóch lat. Szata stanowiła biologiczną mutację pewnego organizmu odkrytego w morzach wenusjańskich. Gdy zdano sobie sprawę z jego właściwości, zaczęto hodować go nielegalnie. W stanie pierwotnym organizm ten niszczył swoją ofiarę przez

dotknięcie. Natomiast mutacja umożliwiała kontakt z nim poprzez system nerwowy, a ofiara z zadowoleniem poddawała się pożarciu.

Było to cudowne odkrycie, biel żywa białością perły, przeniknięta łagodnym migotaniem błysków, rozdygotana strasznym, ekstatycznym drzeniem od chwili zainicjowania śmiercionośnej symbiozy. Pięknie wyglądało na tej kobiecie – techniku, poruszającej się po jasnym, cichym pokoju w transie koncentracji nad czynnościami, za które otrzyma wystarczająco dużo pieniędzy, aby

zapewnić sobie śmierć w ciągu dwóch lat. Była bardzo zdolna. Znała się na endokrynologii. Gdy skończyła, Sam Harker stracił na zawsze swe cechy dziedziczne. Matryca została poprawiona lub raczej zmieniona w stosunku do pierwowzoru.

Podwzgórze, tarczyca, szyszynka – niewielkie kawałeczki tkanki, niektóre były do razu aktywne, inne czekały, aby zacząć wydzielanie na sygnał zbliżającej się dojrzałości. Dziecko było jeszcze nie ukształtowane, stanowiło nieco większy kawałek tkanki z chrząstkami zamiast kości i niezupełnie zrośniętą, miękką czaszką.

– Żaden potwór – powiedział Blaze, myśląc ciągle o Bessi. – Nie, nic krańcowego. Krótkie, mięsiste... grube!

Kawałek tkanki, owinięty w bandaż, leżał spokojnie na stole operacyjnym. Światło bakteriobójczych lamp padało na uśpioną postać.

Kobieta, pogrążając się w oczekiwanej ekstazie, zdołała nacisnąć przycisk sygnalizacyjny, następnie położyła się spokojnie na podłodze, poddając się pieścizocie perłowo lśniącego ubioru. Jej wprawione w trans oczy, bez wyrazu i puste jak lustro, patrzyły w górę. Mężczyzna, który wszedł, ominął z daleka Szatę Szczęścia i zabrał się do niezbędnych czynności pooperacyjnych.

Starsi Harkerowie pilnowali Blaze'a mając nadzieję, iż naprowadzi ich na ślad dziecka. Blaze jednak opracował swój plan zbyt dokładnie, aby pozostawiać tego rodzaju luki. Odciski siatekówek i palców Sama znajdowały się w sekretnym miejscu i dzięki nim Blaze w każdej chwili mógł dowiedzieć się, gdzie jest jego syn. Nie spieszyło

mu się. Zdarzy się, co ma się zdarzyć. Teraz – było to nieuniknione. Dla Sama Harkera nie było żadnej nadziei.

Blaze zakodował w swym mózgu dzwonek alarmowy, który nie odezwie się przez wieie lat. Tymczasem, po spojrzeniu po raz pierwszy w swym życiu w twarz rzeczywistości, robił wszystko, aby znowu o niej zapomnieć. Nigdy jednak nie zdołał zapomnieć Bessi. Pogrążył się znowu w jasnym, euforycznym hedonizmie panującym w Twierdzach.

Wczesne lata stopiły się w nie zapamiętaną przeszłość. Dla Sama czas biegł wówczas wolniej. Wlokły się dni i godziny. Mężczyzna i kobieta, których znał jako ojca i matkę, nawet wtedy nie mieli z nim nic wspólnego. Operacja bowiem nie zmieniła jego umysłu, Inteligencji i pomysłowości, które odziedziczył po przodkach będących półmutantami. Jakkolwiek mutacja polegała jedynie na długowieczności, cecha ta umożliwiała Harkerom osiągnięcie dominacji na Wenus. Nie byli bynajmniej jedynymi długowiecznymi. Znajdowało się tam kilkuset innych, którzy mieli perspektywę życia od dwustu do siedmuset lat, co zależało od rozmaitych skomplikowanych czynników. Grupa ta przekazywała cechy potomstwu. Łatwo było ludzi tych rozpoznać.

Zapamiętał, że pewnego razu w okresie karnawału jego przybrani rodzice, prymitywnie wyelegantowani, poszli się zabawić. Do tego czasu Sam zdążył wyrosnąć na istotę myślącą. Wszystkie te cudowności widział już kiedyś z daleka, nigdy jednak z bliska im się nie przyglądał.

Karnawał był szanowanym obyczajem. Cała Twierdza Delaware aż lśniła. Kolorowe perfumy wiszące nad ruchomymi Szlakami opadały jak mgiełka na przechodzących uczestników zabawy. Była to pora mieszania się wszystkich klas.

Formalnie rzecz biorąc nie było klas niższych. W rzeczywistości jednak...

Ujrzał jakąś kobietę. Najcudowniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział. Szaty jej były błękitne, jakkolwiek słowo to w najmniejszym stopniu nie oddawało ich koloru. Głęboki, bogaty, niezwykle błękit, tak aksamitnie miękki i delikatny, że chłopiec zapragnął go dotknąć. Był zbyt młody,

aby zrozumieć całą subtelność kroju tych szat, surowość ich prostych linii i sposób, w jaki zwracały uwagę na twarz kobiety i jej złociste włosy. Ujrzawszy ją z pewnej odległości, poczuł gwałtowną potrzebę dowiedzenia się o niej czegoś więcej.

Przybrana matka nie była w stanie spełnić jego życzenia.

– To jest Kedre Walton. Chyba ma teraz ze dwieście, trzysta lat.

– Aha. – Lata nic dla niego nie znaczą. – Ale kim ona jest?

– To pożegnalne spotkanie, mój drogi – powiedziała.

– Tak szybko?

– Czy nie minęło sześćdziesiąt lat?

– Kedre, Kedre, czasem pragnę, abyśmy nie żyli tak długo.

Uśmiechnęła się do niego. – Wtedy byśmy się nie spotkali. My, Nieśmiertelni, ciężymy do tego samego poziomu, i dlatego się spotykamy.

Stary Zachariasz Harker wziął ją za rękę. Pod ich tarasem Twierdza błyszczała blaskiem karnawału.

– To jest zawsze nowe – powiedział.

– Nie byłoby jednak takie, gdybyśmy się nie rozstali za pierwszym razem. Wyobraź sobie, jesteśmy nierozzerwalnie związani ze sobą przez setki lat!

Zachariasz spojrział na nią przenikliwie, pytająco.

– Może to kwestia proporcji – rzekł. – Nieśmiertelni nie powinni mieszkać w Twierdżach. Te ograniczenia... im człowiek jest starszy, tym bardziej odczuwa potrzebę ekspansji.

– Hm, ja to robię.

– Ograniczona przez Twierdze. Ludzie młodzi i ci, którzy żyją krótko, nie dostrzegają wokół siebie murów. My, starzy, dostrzegamy. Potrzeba nam więcej miejsca, Kedre. Zaczynam się bać. Osiągamy granice naszych możliwości.

– Tak sądzisz?

– My, Nieśmiertelni, jesteśmy już blisko nich. Boję się śmierci intelektualnej. Jakiż pożytek z długowieczności, jeśli nie można wykorzystywać umiejętności i możliwości, które się zdobyło. Stajemy się introwertykami.

– Zatem, co dalej? Akcja interplanetarna?

– Może jakieś przyczółki. Jednak na Marsie również byłyby potrzebne Twierdze. I na Większości innych planet. Myślę o akcji międzygwiazdnej.

– To niemożliwe.

– To było niemożliwe, gdy człowiek przybył na Wenus. Teraz jest to teoretycznie możliwe, Kedre. W praktyce jednak nie. Nie ma symbolicznej platformy startowej. W podmorskiej Twierdzy nie można wybudować ani międzygwiazdowego statku, ani wypuścić go w kosmos. Mówię symbolicznie.

– Mój drogi – odrzekła – dysponujemy nieograniczonym czasem. Zastanowimy się nad tym znowu za... powiedzmy, pięćdziesiąt lat.

– I nie ujrzę cię aż do tego czasu?

– Ależ ujrzysz mnie, Zachariaszu. Ale nic więcej. Będzie to czas naszych wakacji. A kiedy znowu się połączymy...

Wstała. Pocałowali się. Był to również gest symboliczny. Oboje czuli, iż namiętność ich zamienia się w szary popiół, a ponieważ kochali się, byli wystarczająco mądrzy i cierpliwi, aby poczekać, aż płomień znowu rozbłyśnie. Postępowali tak dotychczas z dobrym skutkiem. Gdy minie pięćdziesiąt lat, znowu zostaną kochankami.

Sam Harker dostrzegł ponurego mężczyznę o ciemnej twarzy, który energicznie przeciskał się przez tłum. Miał na sobie kolorowy celoflex, nic jednak nie mogło ukryć faktu, iż nie był on człowiekiem z Twierdzy. Niegdyś był tak silnie opalony, że stulecia spędzone pod wodą nie zdołały wywabić tej głębokiej opalenizny. Usta jego układały się w drwiący grymas.

– Kto to jest?

– Kto? Gdzie? Och, nie wiem. Nie zwracaj mi głowy.

Był wściekły, iż musiał włożyć na siebie celoflex, ale stare ubranie naprawdę zanadto rzucałoby się w oczy. Zmarznięty i urażony, z zaciśniętymi ustami, przejechał na ruchomym Szlaku obok ogromnego globusa przedstawiającego Ziemię, przykrytego czarnym, plastikowym całunem. W każdej Twierdzy był on przypomnieniem największego osiągnięcia ludzkości. Wszedł do ogrodu otoczonego murem i przy zakratowanym okienku oddał krążek identyfikacyjny. Po chwili wpuszczono go do świątyni.

A więc to była Świątynia Prawdy!

Robiła wielkie wrażenie. Czuł szacunek dla techników – logistyków, logików... nie, nie dla logistyków, na razie nie interesowali go. Jakiś kapłan zaprowadził go do wewnętrznej komnaty i poprosił, żeby usiadł.

– Pan Robin Hale?

– Zgadza się.

– Skolacjonował pan i dostarczył nam wszystkich potrzebnych danych, ale niezbędne jest kilka dodatkowych pytań. Logik zada je osobiście.

Kapłan wyszedł. Na dole, w hydroponicznym ogrodzie jakiś wysoki, chudy mężczyzna o kościstej twarzy siedział beztrąsko przy warsztacie garncarskim.

– Wzywa się Logika. Czeka Robin Hale.

– Psiakrew – powiedział wysoki, chudy mężczyzna i podrapał się w długą szczękę. – Niczego nie mogę powiedzieć temu biedakowi. Jest przegrany.

– Ależ proszę pana!

– Nie denerwuj się. Porozmawiam z nim. Idź odpocząć. Przygotowałeś jego papiery?

– Tak.

– W porządku. Zaraz przyjdę. Nie ponaglaj mnie. -Mruczając pod nosem Logik poczłapał do windy. Po chwili znalazł się w pokoju kontrolnym i obserwował na ekranie wychudłego, opalonego mężczyznę, który siedział na brzeżku krzesła.

– Robin Hale? – odezwał się zupełnie innym, głębokim głosem.

Hale natychmiast zeszywniał. – Tak – powiedział.

– Jesteś jednym z Nieśmiertelnych. Oznacza to, że możesz żyć siedemset lat. Nie masz jednak zajęcia. Prawda?

– Zgadza się.

– Co się stało z twoją pracą?

– A co się stało z Wolnymi Żołnierzami? ...Powymierali. Skończyli się, gdy Twierdze zjednoczyły

się pod wspólnym rządem i prestiżowe wojny między nimi przestały być potrzebne. W owych czasach Wolni Żołnierze byli wojownikami, najemnikami, którym płacono za udział w bitwach, ponieważ Twierdze, w obawie przed zniszczeniem, same nie chciały w nich uczestniczyć.

Logik powiedział: – Niewielu Wolnych Żołnierzy było Nieśmiertelnymi. Od dawna nie ma już Wolnych Oddziałów. Przeżyłeś śmierć swojego zawodu, Hale.

– Wiem.

– Chcesz, żebym ci znalazł pracę?

– To ci się nie uda – powiedział gorzko Hale. – Nie zdołasz znaleźć mi zajęcia, a ja nie mogę żyć przez setki lat niczego nie robiąc, tylko się bawić. Nie jestem hedonistą.

– Łatwo poradzę ci, co możesz zrobić – odparł Logik. – Możesz umrzeć.

Hale milczał.

Logik ciągnął: – Ale nie przysłoby mi łatwo powiedzieć ci, jak to zrobić. Jesteś człowiekiem walki. Chcesz umrzeć walcząc o życie. A najchętniej – walcząc o coś, w co wierzysz. – Przerwał, a gdy odezwał się ponownie, miał zmieniony głos.

– Poczekaj. Zaraz tam będę. Nie odchodź.

Po chwili jego wysoka, chuda sylwetka wynurzyła się zza zasłony w ścianie. Na widok postaci przypominającej stracha na wróble Hale zerwał się na równe nogi, Logik gestem ręki kazał mu usiąść.

– Na szczęście ja jestem tu szefem – powiedział. – Moi kapłani nie tolerowaliby czegoś takiego, gdyby mieli coś do powiedzenia. Ale cóż mogliby zrobić beze mnie? To ja jestem Logikiem. Siadaj. – Przysunąwszy sobie krzesło, wyciągnął z kieszeni dziwnie wyglądający przedmiot – była to fajka – i nabił ją tytoniem.

– Sam go sadzę i hoduję – rzekł. – Widzisz, Hale, cała ta szarlataneria jest w sam raz dla Twierdz, ale nie widzę powodu, żeby ciebie bałamucić.

Hale patrzył na niego zdumiony. – Ale... ta Świątynia... przecież to Świątynia Prawdy? Czy to znaczy, że...

– Wszystko to bzdura? Nie. Po prostu w normie. Kłopot polega na tym, że prawda nie zawsze brzmi dostojnie. Dawniej przedstawiano Prawdę jako nagą postać. I taka była. No, miała listek figowy. A spójrz na mnie. To byłby widok, co? Kiedyś graliśmy tu w otwarte karty, i to nie działało. Ludzie myśleli, że wygłaszam po prostu swój pogląd. No, tak, wyglądam, jakbym był zwykłym facetem. Ale nie jestem. Jestem dziwnym mutantem. Przeszliśmy przez pełny cykl. Od Platona, Arystotelesa przez Bacona, Korzybskiego i maszynę do wykrywania prawdy, do punktu, z którego zaczęliśmy: iż najlepszą w świecie metodą jest stosowanie logiki w odniesieniu do ludzkich problemów. I ja znam odpowiedzi. Prawidłowe.

Hale z trudem to rozumiał. – Ale nie możesz być nieomylny... Nie stosujesz żadnego systemu?

– Stosowałem systemy – odparł Logik. – Mnóstwo trudnych słów. Sprowadzają się do tego samego. Do chłopskiego rozumu.

Hale zamrugał. Logik pociągnął fajkę. – Mam przeszło tysiąc lat – mówił dalej. – Wiem, że trudno w to uwierzyć. Powiedziałem ci, że jestem dziwnym mutantem. Urodziłem się na Ziemi, synu. Pamiętam wojny atomowe. Nie te pierwsze – wtedy właśnie przyszedłem na świat, moi rodzice

dostali się pod wpływ jakiegoś wtórnego promieniowania. Dzięki temu stałem się rzeczywiście Nieśmiertelny. Ale moim głównym talentem... Czy pamiętasz, co czytałeś o Benie Proroku? Nie? W owych czasach był jednym z mnóstwa proroków. Wielu ludzi przepowiadało, co się stanie. Niemal nie posługiwali się logiką. Ben Prorok to ja. Na szczęście usłuchało mnie trochę odpowiednich ludzi i zaczęli kolonizować Wenus. Ruszyłem za nimi. Gdy Ziemia wyleciała w powietrze, już mnie tutaj badano. Zdaniem niektórych techników mój mózg był trochę nietypowy. Posiadał jakąś dodatkową cechę, instynkt czy jak to nazwać – nikt ostatecznie nie stwierdził dokładnie, na czym to polega. Ale jest to to samo, co sprawia, że myślące maszyny dają poprawne odpowiedzi, do tego już doszło!

– Ma pan tysiąc lat? – zapytał Hale, zafascynowany tym faktem.

– Prawie. Na moich oczach wszystko przemija. Wiem, jak mógłbym zdobyć władzę nad tym kurnikiem, gdybym chciał. Ale za nic w świecie! Znam większość odpowiedzi na ten temat i żadna mi się nie podoba. Po prostu siedzę tu, w Świątyni Prawdy, i odpowiadam na pytania.

Hale odezwał się bezradnie: – Zawsze myśleliśmy, że... tu jest maszyna...

– Ależ tak, wiem. Zabawne, że ludzie wierzą w to, co mówi im maszyna, a nie uwierzą facetowi takiemu jak oni. Choć może to wcale nie śmieszne. Słuchaj, synu, wszystko jedno, jak na to patrzeć – ja znam odpowiedzi. Przetwarzam w głowie informacje i dość szybko wiem, co z nich wynika. Wszystko polega na zdrowym rozsądku. Muszę się tylko dowiedzieć wszystkiego o tobie i twoich kłopotach.

– Może pan zatem odgadywać przyszłość.

– Zbyt wiele zmiennych – odrzekł Logik. – Aha, przy okazji, mam nadzieję, że nie będziesz sobie na mój temat strzępił języka. Nie podobałoby się to kapłanom. Za każdym razem, gdy pokazuję się jakiemuś klientowi i schodzę z piedestału, kapłani podwyższają dach świątyni. Nie dlatego, że ma to jakiegokolwiek znaczenie. Zresztą, gadaj sobie, jeśli chcesz. I tak nikt nie uwierzy, że niezawodna wyrocznia nie jest jakąś supermaszyną. -Uśmiechnął się pogodnie. – Najważniejsze synu, że wpadłem na pomysł. Mówiłem, że sumuję dane i otrzymuję odpowiedź. Czasami więcej niż jedną. Może byś poszedł na ląd?

– Co takiego?!

– A dlaczego nie? – powiedział Logik. – Jesteś rzeczywiście twardy. Jasne, że możesz zginąć. I myślę, że prawdopodobnie tak będzie. Ale zginiesz w walce. W Twierdzach niewiele znajdziesz okazji do walki o cokolwiek, w co wierzysz. Jest jeszcze trochę ludzi, którzy czują tak samo jak ty. Kilku Wolnych Żołnierzy, również -

jak sądzę – Nieśmiertelnych. Odszukaj ich. Idźcie na ląd.

– To niemożliwe – rzekł Hale.

– Oddziały miały swe forty, prawda?

– Do walki z dżunglą potrzebne były rzesze techników. A te zwierzęta. Musieliśmy prowadzić stałą wojnę z lądem. Poza tym – niewiele już pozostało z fortów.

– Zajmijcie jeden i odbudujcie go.

– Ale co dalej?

– Może zostaniesz przywódcą – powiedział cicho Logik. – Może zdołasz zostać przywódcą – na Wenus.

Zapadła długa cisza. Twarz Hale'a zmieniła się.

– No dobra – powiedział Logik wstając. Wyciągnął rękę. – Przy okazji: nazywam się Ben Crowell. Przyjdź, jeśli wpadniesz w tarapaty. Albo ja mogę wpaść do ciebie. W takim przypadku nie wygadaj się, że jestem wielkim mózgiem – mruknął Logik do Hale'a.

Poczłapał do wyjścia ssąc fajkę.

Życie w Twierdzach pod wieloma względami przypominało grę w szachy. Wśród drobiu na gospodarskim podwórku społeczne pierwszeństwo mierzy się długością pobytu. Długość trwania jest bogactwem. Pionki mają krótki okres życia; skoczki, gońce i wieże – dłuższy. Pod względem społecznym istniała tam trójwymiarowa demokracja i autokracja, którą określał czas. Nie bez przyczyny długowieczni biblijni patriarchowie zdobywali władzę. Mogli ją utrzymać.

W Twierdzach Nieśmiertelni wiedzieli po prostu więcej niż śmiertelnicy. Doszło do wyraźnego i interesującego przemieszczenia pod względem psychologicznym. W owej praktycznej epoce nie oddawano Nieśmiertelnym czci boskiej, przemieszczenie jednak było niewątpliwe. Rodzice posiadają cechę, której nie mogą mieć dzieci: dojrzałość. Jest to czynnik dodatni. Doświadczenie. Wiek.

Na tym tle doszło do emocjonalnego przemieszczenia. Krótko żyjący mieszkańcy Twierdz podświadomie zaczęli patrzeć na Nieśmiertelnych z poczuciem zależności. Oczywiście, oni wiedzieli więcej. Byli również starsi.

Niech za nas myślą.

Poza tym człowiek ma godną ubolewania tendencję, aby zrzekać się nieprzyjemnej odpowiedzialności. Przez całe stulecia tendencja ta nie zagrażała indywidualizmowi. Poczucie odpowiedzialności społecznej zostało doprowadzone do punktu, w którym, przynajmniej teoretycznie, każdy był stróżem swego brata.

W końcu wszyscy utworzyli koło i z ulgą wsparli się o ramiona sąsiadów.

Nieśmiertelni, wiedząc, jak długie i puste stulecia ich czekają, zadali sobie trud, aby stulecia te nie były tak puste. Uczyli się. Studiowali. Mieli mnóstwo czasu.

Zdobywszy wiedzę i doświadczenie zaczęli sięgać po odpowiedzialność, którą bezwładny tłum chętnie im przekazał.

Była to bardzo stabilna kultura – kultura ginącej rasy. Zawsze pakował się w tarapaty.

Fascynowało go wszystko, co nowe. Zadbaly o to chromosomy Harkerów. Nazywał się jednak Sam Reed.

Wiedział, że jest uwięziony za niewidzialnymi kratami i nie zaprzestawał z nimi walki. Widział ich niezliczoną ilość. Coś niewytłumaczalnego a odziedziczonego wciąż buntowało się w jego umyśle i szukało możliwości autoekspresji. Czego można dokonać w ciągu dziewięćdziesięciu lat?

Pewnego razu wystarał się o pracę w ogromnych, hydroponicznych ogrodach. Dzięki prymitywnej, pospolitej twarzy, łysej głowie, przedwcześnie rozwiniętemu umysłowi, zdołał przekonywająco kłamać na temat swego wieku. Początkowo szło mu nieźle, dopóki nie uległ własnej ciekawości i nie zaczął eksperymentować ze sztucznie prowadzonymi botanicznymi kulturami. Ponieważ nie znał się na tym, zniszczył dobrze rozwinięte rozsady.

Przedtem jednak w jednym z pojemników odkrył błękitny kwiat, który przypominał mu kobietę dostrzeżoną podczas karnawału. Jej strój był dokładnie tej samej barwy. Zapytał o tę roślinę któregoś z pracowników.

– Przeklęte zielska – powiedział tamten. – Nie można utrzymać ich z dala od pojemników, setki

lat – a one wciąż wyłażą. Ale z tymi nie ma specjalnego kłopotu. Najgorsza jest zwykła trawa. – Wyrwał chwast i odrzucił na bok. Sam podniósł roślinę, a później jeszcze o nią wypytał. Był to, jak się dowiedział, fiołek. Ta skromna, ładna, mała roślinka była dalekim echem wspaniałych szlachetnych kwiatów – hybryd, które rosły w innych częściach ogrodów. Przechowywał ją, dopóki nie rozpadła się w proch. Zachował ją później w pamięci, podobnie jak wspomnienie o kobiecie w fiołkowobłękitnym stroju.

Pewnego dnia uciekł do Twierdzy Kanada leżącej daleko po przeciwnej stronie Morza Płycizn. Nie opuszczał dotychczas Twierdzy i podróż w wielkiej, przezroczystej kuli unoszącej się w bulgoczącej wodzie zafascynowała go. Pojechał z pewnym człowiekiem, którego przekupił kradzionymi pieniędzmi, aby ten udawał jego ojca. Po dotarciu do Twierdzy Kanada nie ujrzał go więcej.

Mając dwanaście lat był już bardzo sprytny. Wymyślał różne sposoby zarabiania na życie, żaden jednak go nie zadowalał. Wszystkie okazywały się zbyt nudne. Blaze Harker wiedział, co robi, pozostawiając umysł chłopca nietknięty w skarłowaciałym, ułomnym ciełe.

Było ono ułomne jedynie według ówczesnych standardów estetyki. Standard piękna ustanowili długonodzy, wysocy Nieśmiertelni. Dlatego cechę brzydoty przypisywano krępym, tępo wyglądającym śmiertelnym.

Samem powodowało silne, gwałtowne poczucie nienasycenia, które nie mogło rozwijać się normalnie, ponieważ było pierwiastkiem właściwym dla Nieśmiertelnych, a Sam niewtąpliwie nie był Nieśmiertelnym. Po prostu nie kwalifikował się do pracy, która wymagała uczenia się przez lat sto lub dłużej. A nawet pięćdziesięciu lat nauki...!

Poszedł drogą trudną, nieuchronną. Spotkawszy Krętacza zyskał swego Chirona-Fagina.

Krętacz był tłustym, złośliwym starcem bez nazwiska. Miał bujne, białe włosy, gruzłowaty nos i własną filozofię. Nigdy nie narzucał się, ale udzielał rad, gdy go poproszono.

– Ludzie chcą uciechy – zwrócił się do chłopca. -

Większość z nich. A nie chcą rzeczy, które ranią ich uczucia. Pójdź po rozum do głowy, chłopcze. Złodziejstwo się przeżyło. Najlepiej stać się użytecznym dla ludzi, którzy mają władzę. Na przykład taka banda Jima Sheffielda. Jim obsługuje odpowiednich ludzi. O nic nie pytaj, tylko rób, co ci mówię. Przede wszystkim poszukaj odpowiednich kontaktów. Pociągał nosem i mrugał wodnistymi oczami.

– Rozmawiałem z nim o tobie. Zobacz się z nim. Tu jest adres. – Rzucił chłopcu plastikowy krążek. – Nie wyciągałbym ciebie z tarapatów, gdybym czegoś w tobie nie widział. Zobacz się z Jimem.

Zatrzymał Sama przy drzwiach.

– Dasz sobie radę. I nie zapomnisz o starym Krętaczu, co? Niektórzy zapominają. Mogę narobić kłopotu równie łatwo jak pomóc.

Sam opuścił tłustego, złośliwego starca, który pociągał nosem i chichotał.

Poszedł zobaczyć się z Jimem Sheffieldem. Miał wtedy czternaście lat, był silny, niski, zadziorny. Stwierdził, że Sheffield jest silniejszy i większy. Sheffield miał lat siedemnaście, był absolwentem zwariowanej szkoły Krętacza, niezależnym, bystrym biznesmenem, którego banda zyskiwała sławę. W Twierdzach czynnik ludzki był bardzo istotny przy intrygach. Nie tylko w polityce. Inne obszary życia w tej epoce były równie sformalizowane i skomplikowane jak życie w Italii Machiavellego. Uderzenie nożem uważano nie tylko za bezprawne, ale i nieeleganckie.

Narzędziem stała się intryga. W nieustannie zmieniającej się równowadze sił za dobrego gracza uchodził ten, kto zdołał przechytrzyć przeciwnika, zapędzić go w jego własne sieci i doprowadzić do samozniszczenia.

Banda Sheffielda działała samodzielnie. Pierwsze zadanie Sama Reeda – nazwisko Harker kojarzył tylko z jednym z wielkich Klanów w poprzedniej Twierdzy – polegało na wypłynięciu w morze w towarzystwie kogoś bardziej doświadczonego i dostarczeniu kilku okazów błękitnego glonu, który w Twierdżach był zabroniony. Po powrocie przez sekretne wejście ujrzał zdziwiony

Krętacza, który czekał z przygotowanym już przenośnym urządzeniem promieniującym. Niewielkie pomieszczenie było szczelnie zamknięte.

Krętacz miał na sobie ubiór ochronny. Głos jego dochodził zza membrany.

– Stójcie tam, chłopcy. Łap to – powiedział rzuciwszy Samowi spryskiwacz. – Teraz spryskaj tę kolbę. Jest zapieczętowana, tak? W porządku. Spryskaj ją dokładnie. Świetnie. Teraz powoli się odwracajcie.

– Chwileczkę... – wtrącił drugi chłopiec.

Krętacz pociągnął nosem. – Rób, co ci każę, albo ci skręcę twój chudy kark – powiedział zdecydowanie. – Podnieście ręce. Kieruję na was te promienie, a wy obracajcie się powoli... no, już.

Później wszyscy trzej spotkali Jima Sheffielda. Jim był opanowany, ale wściekły. Próbował kłócić się z Krętaczem.

Krętacz pociągnął nosem i zmierzwił białe włosy.

– Zamknij się – powiedział. – Zaczynasz za szybko rosnać. Gdybyś pamiętał, żeby mnie zapytać, zanim zabierzesz się do czegoś nowego, zaoszczędziłbyś sobie kłopotów. – Popukał w pomalowaną na czarno kulę, którą Sam umieścił na stole. – Dlaczego ten glon jest zakazany w Twierdżach? Czy twój patron zlecając ci dostarczenie tego, nie powiedział, że trzeba być ostrożnym?

Sheffield skrzywił szerokie usta. – Byłem ostrożny!

– Ta rzecz jest niegroźna tylko w warunkach laboratoryjnych – powiedział Krętacz. – Glon pożera metal. Rozpuszcza go. Staje się nieszkodliwy po poddaniu go działaniu odpowiednich odczynników. Ale w stanie surowym, jak teraz, mógłby się rozleść i narobić tu mnóstwo kłopotu. Odkryto by, czyja to sprawka, i powędrowałbyś do Kliniki. Widzisz? Gdybyś najpierw do mnie przyszedł, kazałbym ci przygotować to urządzenie z promieniami ultrafioletowymi do zniszczenia resztek światła słonecznego w najmniejszym glonie, który mógłby się przylepić do ubrania chłopców. Następnym razem nie będę taki łagodny, Jim. Nie mam zamiaru iść do Kliniki.

Chociaż starzec wyglądał niegroźnie, zbuntowane spojrzenie Sheffielda przygasło i Jim opuścił oczy. Bąknąwszy coś na zgodę wstał, wziął pojemnik i wyszedł skinąwszy na chłopców. Sam poczekał chwilę.

Krętacz mrugnął do niego i powiedział:

– Robi się masę błędów, jeśli człowiek nie prosi o radę, dzieciно.

Były to jednak tylko epizody w jego życiu zewnętrznym. Również wewnątrz był dojrzały, amoralny, zbuntowany. Buntował się przeciwko krótkości życia sprawiającej, iż gdy pomyślał o Nieśmiertelnych, nauka wydawała mu się bezcelowa. Buntował się przeciwko własnemu ciału, grubemu, krępemu i plebejskiemu. Nieświadom przyczyn, buntował się ślepo przeciwko temu, czym stał się w owym pierwszym tygodniu swego życia.

Zawsze byli na świecie jacyś gniewni ludzie. Czasami gniew ten, jak u Eliasza, jest ogniem

Bożym, a człowiek taki przechodzi do historii jako święty i reformator, którego gniew poruszał góry w imię poprawienia losu ludzkości. Czasami jest to gniew niszczycielski, a wtedy do-chodzą do głosu wielcy wojenni wodzowie, żeby pustoszyć całe kraje. Tego rodzaju gniew wyładowuje się i nie musi pożerać swego nosiciela.

Gniew Sama Reeda był jednak gniewem przeciwko nieuchwytności czasu i przeznaczenia, a jedynym przeciwnikiem, którego dostrzegał, był Sam Reed. Przyznajmy, że tego rodzaju gniew nie jest normalny. Sam Reed nie był jednak normalny. Już jego ojciec nie był normalny, w przeciwnym razie nie zemściłby się tak strasznie na swym synu. Jakaś skaza we krwi Harkerów była źródłem gorzkiego gniewu, z którym żyli obaj, ojciec i syn, daleko od siebie i wściekający się na odmienne rzeczy, ciągle jednak w różnym stopniu opancerzeni buntem przeciwko samemu życiu.

Sam przechodził przez tyle faz wewnętrznego rozwoju, iż Krętacz, Jim Sheffield i inni, z którymi wówczas pracował, byłiby zdumieni. Ponieważ miał umysł bardziej złożony niż tamci, potrafił funkcjonować na znacznie większej ilości poziomów i potrafił to ukrywać. Od momentu gdy odkrył w Twierdzach ogromne biblioteki, stał się namiętnym czytelnikiem. Nigdy nie był intelektualistą, własna niecierpliwość uniemożliwiała mu opanowanie jakiegokolwiek dziedziny wiedzy i w ten sposób poprawienia sobie statusu dzięki jedynej przewadze, jaką posiadał – umysłowi.

Pochłaniał jednak książki jak ogień, który pochłania paliwo, a jego z kolei pochłaniało własne niezadowolenie. Brnął przez całe cykle lektur na każdy temat, który w krótkiej chwili kaprysu go zafrapował, co kumulowało się w wiedzy o danym temacie magazynowanej bezużytecznie w jakiejś komórce równie bezużytecznego, chłonnego mózgu. Czasami wiedza ta pomagała mu w popełnieniu oszustwa lub dokonaniu morderstwa. Częściej jednak spoczywała uśpiona w umyśle, który został zaprojektowany na przechowywanie pięćsetletniego doświadczenia, a skazany był na śmierć przed upływem stulecia.

Cały kłopot Sama Reeda polegał na tym, iż nie wiedział, co mu dolega. Długo walczył z własną świadomością starając się racjonalistycznie wyleczyć umysł z podświadomej wiedzy o utraconym dziedzictwie. Przez pewien czas miał nadzieję na znalezienie jakiejś odpowiedzi w książkach...

W tych wczesnych dniach szukał i znajdował w nich chwilową ucieczkę, której później próbował na wiele różnych sposobów – proszki, kobiety, niespokojne przenoszenie się z Twierdzy do Twierdzy – aż stanął wreszcie przed ogromnym, niewykonalnym zadaniem, którego unikał z tak gwałtowną niechęcią – przed przesądzeniem o swym przeznaczeniu.

Przez następne piętnaście lat spokojnie i szybko czytał w bibliotekach Twierdz, w których akurat przebywał w związku z zaangażowaniem w subtelny przebieg różnych ciemnych afer. Do kompanów odnosił się z taką samą pogardą jak do swych bezpośrednich lub pośrednich ofiar. Sam Reed pod żadnym względem nie był sympatyczny.

Pozostawał nieodgadniony nawet dla samego siebie. Był ofiarą własnej nienawiści do siebie, a kiedy jej płomień wybuchał, samowola Sama przejawiała się w sposób otwarty. Miał podejrzaną reputację. Nikt nie ufał mu zanadto, no bo jeśli on nie ufał nawet sobie?... Jego umysł i ręka były jednak tak znakomite, iż utrzymywało się znaczne zapotrzebowanie na jego usługi ze strony tych, którzy mieli ochotę zaryzykować, iż ich wymyślna intryga może zakończyć się krwawym morderstwem, jeśli Sama Reeda poniesie temperament. Było takich wielu. I wielu uważało, że jest fascynujący.

W Twierdzach bowiem życie osiągnęło poziom spokoju, który nie jest przyrodzoną cechą umysłu ludzkiego. W bardzo wielu ludziach płonęło niespokojnie coś na kształt nierozpoznanego sygnału buntu, który tkwił w Samie, co przejawiało się w dziwaczny sposób. Ekran wyobraźni

zbiorowej przybierały dziwne formy, takie jak krwawe ballady, które jeszcze w dzieciństwie Sama przewaliły się przez Twierdze falą szczytowej popularności. Mniej dziwna, lecz równie znamienita, była moda na prawie że uwielbienie dla dawnych czasów Wolnych Żołnierzy, dla dobrych, dawnych dni będących ostatnim romantycznym okresem.

W umyśle ludzkim głęboko tkwi przekonanie, że wojna jest wspaniała, jakkolwiek może być taka zaledwie dla garstki wybranych, a od tysiąca lat jest czymś strasliwym. A jednak przekonanie to się utrzymuje, może dlatego że terror sam w sobie jest perwersyjnie fascynujący, jakkolwiek większość z nas musi go inaczej nazwać, zanim zacznie podziwiać.

Wolni Żołnierze, ci poważni, ciężko pracujący ludzie, zajmujący się obsługiwaniem maszyny wojennej, w powszechnej wyobraźni przybrali postać dumnych bohaterów i niejeden mężczyzna wzdychał do czasów, na które się tak niewiele spóźnił.

Śpiewano w zmienionej formie tęskne ballady, które Wolni Żołnierze przekazali z okresu pionierskiego na Wenus, a które sięgały niewyobrażalnie innych czasów na Starej Ziemi. Śpiewano je wszakże inaczej. Nieprawdziwi Wolni Żołnierze w nieprawdziwych kostiumach występowali przed rozkołysaną widownią, która reagowała na każdy dźwięk nie zdając sobie sprawy, jak bardzo się myli.

Brakowało siły wyrazu i w słowach, i w rytmie. Twierdze bowiem znajdowały się w zastoju, a ludzie w takim stanie nie potrafią się śmiać. Ich poczucie humoru jest subtelne i niezdecydowane, wyraża się raczej w chichocie niż w ryku śmiechu. Przewrotność i aluzja, a nie śmiech, stanowiły podstawę ich nieszczerego poczucia humoru.

Śmiech bowiem jest okrutny i szczery. Nadchodził czas, gdy ludzie będą śpiewać znowu stare, krwawe ballady tak jak powinno się je śpiewać, i znowu zaczną śmiać się z własnych niepowodzeń z całego serca, z samej potrzeby śmiechu. Ponieważ jedyną alternatywą śmiechu są łzy, a łzy oznaczają klęskę. W tym znaczeniu tylko pionierzy śmieją się z prymitywną szczerością. Wtedy w Twierdzach nie było nikogo, kto by słyszał prawdziwy śmiech w całym jego okrucieństwie i całej odwadze, może poza najstarszymi wśród nich, którzy pamiętali dawne czasy.

Sam Reed, podobnie jak inni, uważał Wolnych Żołnierzy – którzy wymarli prawie tak jak dinozaury na Starej Ziemi i niemal z takich samych powodów – za symbole urzekającej przygody. Rozumiał jednak przyczyny tej emocjonalnej aprobaty i potrafił zakpić z samego siebie. Wszyscy w gruncie rzeczy urzeczeni byli nie tyle Wolnymi Żołnierzami, lecz swobodą działania.

A jednak tak naprawdę nie pragnęli jej. Przeraziłaby i odstraszyła większość tych ludzi, którzy z takim wdziękiem osuwali się w ramiona każdego, kto pragnął zaofiarować im wsparcie moralne i duchowe. Nostalgia jednak ma również swój wdzięk, pograżyli się więc w niej całkowicie.

Sam czytał o pionierskim okresie na Wenus z jakąś dziką tęsknotą. Człowiek mógł wykorzystywać wszystkie swe siły przeciwko wrogowi takiemu jak ta krwiożercza planeta, z którą musieli walczyć przybysze. Przy czytaniu o Starej Ziemi ogarniała go paląca nostalgia za szerszymi horyzontami, jakie ofiarowywała. Nucił stare pieśni i próbował wyobrazić sobie, jak wyglądało otwarte niebo usiane przerażającą ilością innych widzialnych światów kosmosu.

Kłopot polegał na tym, iż świat jego był prymitywnym miejscem, które sztucznie uczyniono skomplikowanym przy pomocy sprytnego zabiegu tak, aby nikt nie mógł wplątać się w poważny konflikt z istniejącą barierą, bariera ta bowiem była sztuczna i zawałiłaby się. Gdy jedną ręką biło się w nią, drugą trzeba było ją wspierać.

Tylko czas mógł zaferować Samowi przeciwnika godnego jego wysiłków. Tylko czas, ten

długi, skomplikowany bieg stuleci, których nigdy nie przeżyje. Dlatego nienawidził mężczyzn, kobiet, całego świata, siebie. Nie posiadając przeciwnika, z którym mógłby walczyć konstruktywnie, walczył ze wszystkim bez różnicy, niszczylielsko.

Walczył tak przez czterdzieści lat.

Przez cały ten czas tylko jedna rzecz okazała się trwała, jakkolwiek przypominał ją sobie mgliście i bez większego zainteresowania. Najbardziej działał na niego kolor błękitny. Częściowo tłumaczył to sobie wspomnieniami o Starej Ziemi i niepojęcie błękitnym niebie.

Tutaj woda ograniczała człowieka ze wszystkich stron. Powietrze ciężkie było od wilgoci, chmury wisiały nabrzmięte wilgocią, a szare morza przykrywające Twierdze wydawały się niewiele bardziej mokre niż chmury i powietrze. Tak więc błękit utraconego nieba towarzyszył w jego wyobraźni myśli o wolności...

Pierwsza dziewczyna, z którą zawarł wolny związek, była tancerką ze śródmiejskiej kafejki, a w chwili gdy ujrzał ją, ubrana był w skąpy strój z błękitnych piór. Miała błękitne oczy, nie tak błękitne jak pióra lub niezapomniane ziemskie niebo, ale jednak błękitne. Sam wynajął małe mieszkanie na bocznej ulicy w Twierdzy Montana i chyba z sześć miesięcy sprzeczali się nie bardziej niż inne pary.

Któregoś ranka, gdy wrócił po całonocnej pracy z bandą Sheffielda, od razu po otwarciu drzwi poczuł dziwny zapach. Jakąś ciężką słodycz w powietrzu oraz ostrą intensywną, znajomą gorycz, którą niewielu mieszkańców Twierdz rozpoznałoby w tej jałowej epoce.

Drobna tancerka leżała sztywno pod przeciwległą ścianą. Tam, gdzie była kiedyś jej twarz, znajdował się blado zabarwiony kwiat, którego płatki, wpijając się jak wielopalczysta ręka, ciasno przyciskały kwiat do czaszki. Kwiat był żółty, ale żyłki w płatkach zrobiły się teraz czerwone a oprócz tego czerwień spływała pod kwiatem na błękitne ubranie dziewczyny.

Z leżącego obok niej na podłodze pudełka z kwiaciarni, w którym ktoś przysłał jej ten kwiat, wysunęła się zielona bibułka.

Sam zupełnie nie domyślał się, kto to zrobił i dlaczego. Mógł to być jakiś wróg, pragnący zemścić się za dawne zniewagi, albo nawet ktoś z przyjaciół – podejrzewał przez chwilę Krętacza – który obawiał się, że wpływ dziewczyny oderwie go od załatwianych nocą zyskownych interesów. Lub mogła to być jakaś kabaretowa rywalka, ponieważ wśród ludzi tej profesji toczyła się niesłychanie ostra walka, jako że ostatnio brakowało w Twierdzy Montana pracy.

Sam przeprowadził śledztwo, dowiedział się, czego chciał, i beznamiętnie wymierzył sprawiedliwość ludziom, którzy mogli być lub nie byli winni." Niewiele to Sama obchodziło. Dziewczyna nie była zbyt ładna, tak jak Sam nie był ładnym mężczyzną. Była banalna i miała błękitne oczy. Sam podtrzymywał własną reputację uczyniwszy to, co uczynił, w związku z jej zamordowaniem.

Potem inne dziewczyny przychodziły i odchodziły. Sam zamienił małe mieszkanie na bocznej ulicy na większe ze spokojniejszym sąsiedztwem. Następnie, zakończywszy wyjątkowo dochodową pracę, puścił w diabły dziewczynę i mieszkanie i przeprowadził się do niemal wytwornej rezydencji wysoko na wieży nad centralnym Szlakiem. Znalazł ładną, błękitnooką pieśniarkę, która z nim zamieszkała.

Na początku naszej opowieści, Sam miał w trzech Twierdzach trzy mieszkania: jedno drogie, jedno przeciętne i jedno celowo znajdujące się wśród portowych zaułków najciemniejszej części Twierdzy Wirginia. Lokatorzy pilnowali mieszkań. Sam był na swój sposób epikurejczykiem. Teraz

go było na to stać.

W kosztownym mieszkaniu dwa pokoje przeznaczył wyłącznie na własne potrzeby, wypełniał je ciągle powiększający się zbiór książek i nagrań oraz dobrane specjalnie trunki i środki oszałamiające. Wspólnicy w interesach

nie wiedzieli o tym. Pojawił się tu pod innym nazwiskiem i na ogół uchodził za handlowca przybywającego z jakiejś nieokreślonej, lecz odległej Twierdzy. W takim właśnie stopniu Sam Reed realizował model życia, które Sam Harker prowadziłby z racji przysługujących mu praw.

*Królowa Wiatru i Ciemności Rozpacza, roni Izy, Młodzińcze, mój zabójco, Już jutro umrzesz ty...**

W pierwszym dniu dorocznego karnawału, który zapoczątkował ostatni rok jego życia, Sam Reed siedział przy małym, obrotowym stoliku i rozmawiał o pieniądzach i miłości z dziewczyną w różowym aksamicie. Musiało być prawie południe, bo światło docierające przez wodę Morza Płyczn i ogromną kopułę Twierdzy padało na nich w przyćmionym zenicie. Wszystkie zegary zostały zatrzymane na trzy dni karnawału tak, by nikt nie musiał martwić się o czas.

Dla każdego nie przyzwyczajonego od dzieciństwa do czegoś takiego jak obrotowa kafejka, śródmieście wirujące wokół Sama byłoby nie do zniesienia. Cała sala kręciła się powoli przy wolnej muzyce, osłonięta przezroczytymi, okrągłymi ścianami. Obracały się stoły, każdy wokół własnej osi, a wraz z nimi otaczające je krzesła. Za miękką chmurką włosów dziewczyny Sam widział całą Twierdzę rozlegle rozpościerającą się w dole i przesuwającą się uroczyście obok jego beztroskiego punktu obserwacyjnego.

Smuga kolorowych perfum przepłynęła obok nich długą, zwiewną wstęgą, unosząc się i opadając w powietrzu, a Sam poczuł w tym momencie na twarzy małe kropelki pachnącej wilgotnej różowej mgły. Strząsnąwszy je niecierpliwym machnięciem ręki spojrział zmrużonymi oczami na siedzącą naprzeciwko dziewczynę.

– No i co? – odezwał się.

* A. E. Housman, *Her Strong Enchantments Failing*, przeł. Wojciech Adamiecki.

Dziewczyna uśmiechnęła się i pochyliła głowę nad wysoką, wąską, koncertową lirą, ozdobioną kaskadą kolorowych wstążek, którą siedząc obejmowała ręką. Miała ciemnobłękitne oczy ocienione tak ciężkimi powiekami, iż wydawało się, że patrzy na niego z zamkniętymi powiekami.

– Za chwilę mam następny występ – powiedziała. – Powiem ci później.

– Powiesz mi teraz – oświadczył Sam stanowczo, choć nie tak szorstko, jak odezwałby się do większości innych kobiet. To kosztowne mieszkanie znajdujące się wysoko w ekskluzywnej dzielnicy Twierdzy było akurat wolne i jeśli Samowi się powiedzie, dziewczyna stanie się następną lokatorką. Być może zamieszka na stałe. Zdawał sobie sprawę, iż myśląc o Rosathe odczuwa wewnętrzny, niepokój. Nie chciał, by którakolwiek kobieta działała na niego aż tak bardzo.

Rosathe się uśmiechnęła. Miała małe, delikatne usta, a chmura miękkich, obciętych krótko ciemnych włosów tworzyła wokół jej głowy ciemną mgłę. Czasami twarz jej zdradzała nieoczekiwane poczucie humoru, w szafirowych oczach błyszczała zbijająca trochę z tropu inteligencja. Rosathe śpiewała głosem podobnym do różowego aksamitu jej sukni, słabym, miękkim, skarżącym się głosem, którego przyjemne drżenie koło nerwy.

Sam bał się jej. Będąc jednak Samem Reedem sięgał po tę osobliwą pokrzywę. Zawsze stawiał czoło niebezpieczeństwu i jeżeli istniał jakikolwiek sposób pozbycia się z pamięci tego aksamitnego stworzenia, to raczej przez przesyty niż próbę zapomnienia. Miał zamiar dojść do przesyty możliwie

jak najszybciej.

Rosathe wskazującym palcem trąciła lekko strunę liry. Odezwała się: – Dziś rano usłyszałam interesującą plotkę. Jim Sheffield przestał cię lubić. Czy to prawda. Sam?

– Pytałem cię o coś – odrzekł obojętnie.

– I ja cię pytałam.

– No więc, to prawda. Jeżeli Jim załatwi mnie pierwszy, zapiszę ci w testamencie mój majątek. Czy 'o to ci chodzi?

Zarumieniła się, a szarpnięta przez nią struna gwałtownie zadrgała. – Mogłabym cię spoliczkować, Samie Reed. Wiesz, że potrafię sama zarabiać.

Westchnął. Była to prawda, co zresztą utrudniało z nią rozmowę. Rosathe była pieśniarką bardziej niż popularną. Jeśliby zamieszkała z nim, to nie dla pieniędzy. I to także zakłócało spokój jego umysłu.

Łagodna muzyka, w takt której cała sala powoli się obracała, umilkła. Następnie zadźwięczał w powietrzu mocny akord, od którego zdrząły smugi perfum. Rosathe wstała, opierając o biodro wysoką, wąską lirę.

– Teraz moja kolej – powiedziała. – Zastanowię się nad tym, Sam. Daj mi kilka dni. Mogę być dla ciebie bardzo niedobra.

– Wiem, że będziesz dla mnie niedobra. Idź śpiewać. Zobaczymy się po karnawale, ale nie w sprawie odpowiedzi. Już ją znam. Przyjdiesz.

Roześmiała się i odeszła trącając ręką struny i nucąc piosenkę. Sam spoglądał za nią, widział, jak odwracają się głowy, a twarze ożywiają się w oczekiwaniu.

Zanim skończyła śpiewać, wstał i wyszedł z obrotowego pomieszczenia, słysząc za sobą aksamitny, słaby głos, który przechodził w pełną skargi rozpacz za baśniową Genevieve. Pieśniarka zaznaczała delikatnie każdą nutę biorąc raz wyższe, raz niższe trudne tony, które nadawały bardzo starej pieśni pełną smutku, minorową tonację.

„O, Genevieve, słodka Genevieve, nadchodzą dni, odchodzą dni...” skarżyła się Rosathe obserwując znikające, szerokie plecy Sama. Skończywszy piosenkę wyszła szybko do swej garderoby i nacisnęła włącznik aparatu nadawczego, wywołując Sheffielda.

– Słuchaj, Jim – powiedziała szybko, gdy jego ciemna, ponura twarz pojawiła się na ekranie – rozmawiałam właśnie z Samem i...

Gdyby Sam to słyszał, zapewne zabiłby ją już wtedy, zamiast znacznie później. Ale, oczywiście, nie słyszał. W chwili gdy zaczynała się ta rozmowa, szedł ku zbiegowi okoliczności, który miał stać się punktem zwrotnym w jego życiu.

Ten zbieg okoliczności był kolejną kobietą w błękitnie. Przechadzając się po ruchomym Szlaku podniosła rękę i zarzuciła na głowę skraj swej przejrzyście błękitnej szaty jak zasłonę. Sam zauważył ten ruch ręki i kolor i zatrzymał się tak gwałtownie, iż ludzie idący obok wpadli na niego, jeden nawet coś warknął gotów do zrobienia awantury. Przyjrząwszy się jednak dokładnie granitowej twarzy o wydatnej szczęce i ściągniętym napięciem rysom, odwrócił się, jakby bez powodu poniechawszy tej myśli.

Mając w pamięci wciąż żywy obraz Rosathe, Sam patrzył na kobietę z zaciekawieniem mniejszym, niż gdyby ujrzał ją kilka dni wcześniej. Ale tkwiące w nim głęboko wspomnienie odezwało się, stał więc nieruchomo i patrzył. Lekki podmuch ruchomego Szlaku unosił zasłonę nad

jej twarzą tak, iż zaczęła odbijać się w oczach -błękitne cienie błękitnej zasłony w przesłanianym powiekami błękitnie jej oczu. Była bardzo piękna.

Sam odgonił na bok mgiełkę różowych, karnawałowych perfum, zawahał się, co nie było u niego normalne, a następnie energicznie zacisnąwszy złocony pas ^ruszył przed siebie długim krokiem, jak zwykle stawiając miękko stopy. Nie wiedział, dlaczego twarz tej kobiety i jej fiołkowobłękitny strój zaniepokoiły go. Wiele zapomniał od czasu owego karnawału, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Teoretycznie w czasie karnawału nie istniały społeczne bariery, lecz Sam i tak by się odezwał. Na wznoszącym się Szlaku podszedł blisko kobiety i bez uśmiechu spojrział w jej twarz. Stojąc na tym samym poziomie byłaby wyższa od niego. Była bardzo elegancka, bardzo smukła, a jej twarz miała wyraz wytwornego modnego w Twierdzach znużenia. Sam nie mógł wiedzieć ani tego, iż to ona właśnie wprowadziła ten styl, ani że jej znużenie i wdzięk nie są sztuczne, lecz naturalne.

Błękitna szata upięta była ciasno na jeszcze ciasnie przylegającym stroju z elastycznej złotej tkaniny, które' prześwitywała przez mgiełkę błękitu. Włosy opadały swobodnie aż do pasa spienioną kaskadą czarnoniebieskich loków szczesanych z pięknej, wąskiej twarzy i ściągniętych na szczycie głowy złotym pierścieniem.

Z rozmyślnym barbarzyństwem miała przekłute uszy, a w każdym z nich nosiła otoczony obręczą złoty

dzwonek. Małpowanie witalności epoki barbarzyństwa było elementem najnowszej mody. W następnym sezonie złoty pierścień zawisnąć może w nosie, a wtedy kobieta ta będzie nosiła go z taką samą wytworną pogardą, z jaką odwróciła się teraz do Sama Reeda.

Nie przejął się tym. Odezwał się tonem stanowczego polecenia: – Teraz może pani pójść ze mną. – I zapraszająco uniósł do wysokości barku przygiętą rękę.

Przechyliła lekko do tyłu głowę i spojrziała na niego z góry spod opuszczonych powiek. Jakby się uśmiechała. Nie było to pewne, ponieważ usta miała tak samo pełne i delikatnie zarysowane jak niegdyś twarze na egipskich wizerunkach, z uśmiechem ledwo widocznym w zarysie warg. Jeśli rzeczywiście się uśmiechnęła, to z pogardą. Ciężki wodospad loków odchyłał jakby bardziej do tyłu jej głowę na smukłej szyi, tak iż spoglądała z góry na Sama trochę ze znużeniem, trochę z przyganą, trochę zaś z całkowitą pogardą dla tego, co przedstawiał.

Przez długą chwilę patrzyła na niego z góry stojąc tak spokojnie, iż dzwonki w jej przekłutych uszach nawet nie brzęknęły.

W Samie bowiem, na pierwszy rzut oka plebejuszu przysadzistym jak inni z niższych klas, bystry obserwator po chwili odkrywał wiele kontrastów. Przeżył już niemal czterdzieści lat ze swym wszechogarniającym gniewem. Nawet jeżeli się z nim oswoił, gniew i tak go niszczył. Jego twarz nosiła ślady tej gwałtowności i nawet w chwilach odprężenia wyglądał jak człowiek prowadzący nierówną walkę. W jego rysach była energia i determinacja, które w znacznym stopniu kompensowały ich grubiańskość. Następną intrygującą cechą było to, iż nie miał włosów. Dość często spotykało się łysych, ale ten człowiek był tak kompletnie pozbawiony włosów, iż nawet nie wydawał się łysy. Jego naga czaszka miała klasyczne proporcje i na głowie tak dobrze ukształtowanej włosy wyglądałyby anachronicznie. Wiele złego uczyniono niemowlęciu czterdzieści lat temu, jednak dzięki Szacie Szczęścia w pośpiechu i niedbale, tak że pewne rzeczy pozostały – na przykład ładnie ukształtowane uszy nieod-stające od dobrze ukształtowanej czaszki, dobry zarys

szczęk i linia szyi mająca niewątpliwe, chociaż dobrze zamaskowane, cechy właściwe Harkerom.

Gruba szyja nie należała do Harkerów, ginęła w krzykliwej, karmazynowej koszuli. Żaden Harker nawet na karnawał nie ubrałby się od stóp do głów w aksamit i złocony pas podtrzymujący złocone olstro. A jednak, gdyby któryś z Harkerów włożył na siebie ten strój, zapewne właśnie tak by w nim wyglądał.

Mimo to w Samie – tęgim, o baryłkowato sklepionym torsie, poruszającym się trochę rozkołysanym, szerokim krokiem – były wyraźne cechy krwi Harkerów, które w jakiś subtelny sposób dawały o sobie znać. Trudno powiedzieć, jak to się działo, ale nosił swój ubiór i poruszał się w nim z pewnością siebie, która robiła wrażenie niemal elegancji pomimo przysadzistości sylwetki tak wydrwiwanej przez wyższe klasy.

Aksamitny rękaw zsunął się z uniesionej ręki. Sam stał spokojnie z wyciągniętym ramieniem patrząc na kobietę zmrużonymi oczami, które lśniły stalowo w rumianej twarzy.

Na ustach kobiety, pod wpływem dla niej samej nieoczekiwanego impulsu, pojawił się po chwili porozumiewawczy uśmiezek, wzgardliwy i protekcyjny. Odchyliwszy ruchem ramienia szatę, wyciągnęła szczupłe ramię z bardzo smukłą, drobną dłonią o palcach ozdobionych prostymi, włożonymi głęboko, grubymi obrączkami ze złota. Bardzo delikatnie położyła dłoń na ramieniu Sama Reeda i zrobiła krok w dół stając obok niego. Na przyprószonym rudymi włosami grubym przedramieniu ze splecionymi twardo mięśniami, które sięgały nadgarstka, jej dłoń wyglądała jak z wosku, nierealnie. Poczuła, jak mięśnie napięły się pod jej dotykiem, i uśmiech jej stał się jeszcze bardziej protekcyjny.

– Nie miała pani czarnych włosów, kiedy widziałem panią ostatni raz w czasie karnawału – powiedział Sam.

Spojrzała na niego z rezerwą spod opuszczonych powiek. Nie odezwała się jednak. Sam patrzył na nią poważnie, dokładnie się przyglądając, jakby miał przed sobą jakiś portret, a nie tchnącą życiem, pełną pogardy kobietę, która znalazła się przy nim tylko dzięki łaskawemu kaprynowi.

– Miała pani złote włosy – powiedział zdecydowanie po chwili. Wspomnienie stało się żywe i wyłoniło się z przeszłości z taką dokładnością, iż uświadomił sobie, jak głębokie wrażenie wówczas na nim wywarła.

– Było to... trzydzieści lat temu. Była pani tego dnia ubrana na błękitno. Bardzo dobrze pamiętam.

– Była to zapewne córka mojej córki – odrzekła kobieta obojętnie odwróciwszy głowę, tak jakby zwracała się do kogoś z drugiej strony.

Słowa te wstrząsnęły Samem. Słyszał, oczywiście, o długowiecznych arystokratkach, dotychczas jednak nie rozmawiał z nikim z nich bezpośrednio. Dla człowieka, który, podobnie jak wszyscy jego przyjaciele, liczy swe życie na dekady, takie nagłe zetknięcie się z życiem, które może trwać niezmiennie przez stulecia, musi być zupełnie zbijającym z tropu szokiem.

Zaśmiał się krótko, gardłowo. Kobieta zwróciwszy ku niemu głowę spojrzała z pewnym zainteresowaniem, ponieważ nigdy przedtem nie słyszała u kogoś z niższych klas takiego śmiechu, zuchwałego, obojętnego śmiechu pewnego siebie człowieka, który nie troszczy się o maniery.

Sam jeszcze przed spotkaniem z Kedre Walton dla wielu był w jakiś tajemniczy sposób fascynujący. Nieliczni byli tak spostrzegawczy jak Kedre. A ona szybko zrozumiała przyczynę tej fascynacji. Tego właśnie szukała i ona, i idące za modą społeczeństwo zawieszając w przekłutych uszach barbarzyńskie ozdoby lub śpiewając tęskne, proste ballady o krwi i morderstwach, choć były to dla nich jeszcze tylko słowa. Chodziło o żywotność i męstwo, które ludzie stracili i których

nieświadomie łaknęli. Gdyby ktoś jednak ofiarował im je w darze, najchętniej by z nich zrezygnowali.

Spojrzała na niego drwiąco, pochylając lekko głowę tak, aby kaskada włosów zamigotała na ramionach, i chłodno zapytała:

– Pańskie nazwisko?

Ściągnął rude brwi. – Nie musi pani wiedzieć – powiedział z zamierzoną szorstkością.

Zesztywniała na chwilę. Po czym niemal nieuchwytne ciepło zaczęło ogarniać jej ciało, mięśnie i nerwy rozluźniły się, zaczęła znikać nawet chłodna powściągliwość. Odetchnęła głęboko i spokojnie, a jej upierścienione palce, które do tej chwili ledwo dotykały ręki Sama, rozwarły się tak, iż całą dłoń oparła się o jego ramię. Następnie zaczęła delikatnie przesuwając dłoń aż ku mocnemu nadgarstkowi, a chłodne obrączki lekko zaczepiały się o gęste, rude włosy porastające ramię.

– Może mi pan opowiadać o sobie... dopóki się nie znudzę – powiedziała nie patrząc na niego.

– Łatwo pani się nudzi?

– Bardzo łatwo.

Przyjrzał się jej uważnie. Podobała mu się i wiedział dlaczego. W ciągu czterdziestu lat Sam Reed zdobył ogromny zasób przypadkowej wiedzy o Twierdzach – nie tylko o dostrzegalnym dla każdego zwykłym życiu, ale również o zawiłych, tajemnych metodach, jakich używali ci ludzie, by podtrzymać zamierające zainteresowanie życiem w sytuacji, gdy trwa ono zbyt długo, by można się było do tego łatwo przyzwyczaić. Pomyślał, że zdoła utrzymać jej zainteresowanie.

– Chodźmy – powiedział.

Było to zaraz na początku karnawału. Trzeciego i ostatniego dnia po raz pierwszy dała mu do zrozumienia, że ich przypadkowy związek nie musi skończyć się wraz z festiwalem. Zaskoczyło go to z lekka i niezbyt ucieszyło. Po pierwsze – istniała Rosathe. A poza tym... hmm, chociaż Sam Reed był już zamknięty w ciasnocie jednego więzienia, z którego nie było dla niego ucieczki, to za nic nie podporządkowałby się jakimś okowom w ramach swojej celi.

Oglądali trójwymiarowy obraz wisząc w pustej ciemności, pozbawieni siły ciężenia. Rozrywka ta była kosztowna. Wymagała wykwalifikowanych operatorów i przynajmniej jednego zautomatyzowanego samolotu wyposażonego w specjalne długoogniskowe soczewki i telewizor. Samolot tkwił gdzieś wysoko nad kontynentem Wenus skupiając obraz na scenie, którą wysledził.

Zwierzę walczyło z rośliną.

Zwierzę było ogromne i wspaniale przystosowane do walki. Lecz teraz jego mokre ciało spływało krwią z wielu ran zadanych ostrymi jak pałasze cierniami listowia. Uderzały one z precyzyjną dokładnością pryskając kroplami jadu, które rozbłyskiwały w wilgotnym, szarym powietrzu. Naokoło huczała muzyka, którą improwizator zręcznie dopasowywał do rytmu walki.

Kedre dotknęła pokręta. Muzyka ściszyła się aż do szmeru. Gdzieś daleko od samolotu unoszącego się nad tą walką, improwizator dalej prowadził ściszoną melodię. Kedre, odwróciwszy w ciemności głowę z ledwo dostrzegalnym szelestem jedwabistych włosów, powiedziała: - Pomyliłam się.

Sam zachnął się. Chciał obejrzeć walkę do końca.

– Co do czego? – zapytał szorstko.

– Co do ciebie. – W ciemności lekko musnęła palcem jego policzek z niedbałą poufałością. –

Nie doceniałam ciebie, Sam. Lub przeceniałam. Albo jedno i drugie.

Poruszył głową uchylając się przed dotknięciem palca. Wyciągnął w ciemności rękę, dłoń jego prześlizgnęła się po delikatnym, kształtnym policzku i sięgnęła do odgarniętych do tyłu włosów. Odszukał przepaskę spinającą bujne sploty i uchwyciwszy pełną garścią loki, brutalnie potrząsnął jej głową. Włosy miękko opadły mu na ramię.

– Dość tego 4– powiedział. – Nie jestem twoim pieszczołkiem. Co masz na myśli?

Roześmiała się. Gdybyś nie był tak młody – odrzekła obraźliwie.

Tak gwałtownie ją puścił, iż straciła na dywanie równowagę i oparła się ręką 6 jego ramię. Milczał. Po chwili zapytał głuchym głosem:

– Właściwie ile masz lat?

– Dwieście dwadzieścia.

– A ja cię nudzę. Jak dziecko.

Roześmiała się przymilnie. – Nie jak dziecko, Sam, nie jak dziecko! Ale mamy tak odmienne punkty widzenia. Nie, nie nudzisz mnie. I na tym polega cały kłopot, przynajmniej częściowo. Wolałabym, żebyś mnie nudził. Mogłabym cię rzucić choćby dzisiaj i nie pamiętać, że cokolwiek się zdarzyło. Ale jest w tobie coś, czego nie rozumiem. – W głosie jej brzmiała zaduma. W ciemności muzyka łagodnie przerastała w przenikliwe crescendo, wznoszące się i opadające zależnie od tego, czy gdzieś daleko w górze, na bagnach, jeden lub drugi przeciwnik zyskiwał przewagę.

– Gdybyś był człowiekiem, na jakiego wyglądasz -mówiła Kedre Walton – gdybyś tylko był taki! Masz wspaniały umysł, Samie, szkoda, że musisz umrzeć zbyt szybko, żeby go wykorzystać. Chciałabym, żebyś nie był jednym z tych pospolitych. Wysłałabym za ciebie – na jakiś czas.

– Jakie ma się uczucie, gdy jest się bogiem? – spytał Sam z wściekłością w głosie.

– Przepraszam. Zabrzmiało to protekcyjnie, prawda? A ty zasługujesz na coś lepszego. Jakie ma się uczucie? Hm, jesteśmy rzeczywiście w jakiejś mierze nieśmiertelni. Nic na to nie poradzimy. To jest wspaniałe i przerażające. Oznacza odpowiedzialność. Nie zajmujemy się tylko przyjemnościami, rozumiesz. Przez pierwsze sto lat dojrzywałam, uczyłam się, podróżowałam, poznawałam ludzi i sprawy. Przez następne sto lat interesowało mnie intrygowanie. Uczylałam się, jak pociągnąć za sznurki, żeby na przykład Rada przyjmowała mój punkt widzenia. Coś w rodzaju dżdżitsu dla umysłu – granie na ludzkiej próżności i sprawianie, żeby ludzkie ego reagowało dokładnie według mego planu. Przypuszczam, że doskonale znasz sposoby tego rodzaju, tyle że nie będziesz żył wystarczająco długo, by osiągnąć w nich mistrzostwo, tak jak ja. Szkoda. Jest w tobie coś, co mnie... co mnie... ach, głupstwo.

– Nie mów więcej, że wysłałabyś za mnie. Ja 'bym tego nie zrobił.

– Ależ zrobiłbyś. Mogłabym zresztą spróbować, mimo że jesteś jednym z tych pospolitych. Mogłabym... .

Przechylił się ponad jej kolanami i namacał włącznik światła. Włącznik przytknął i w niewielkim pokoju zrobiło się nagle jasno, a Kedre zamrugała pięknymi, zawsze młodymi oczami i zaśmiała się, trochę oburzona, a trochę zaskoczona.

– Sam! Nic nie widzę. Nie rób tak.

Chciała zgasić światło. Sam chwycił jej dłoń zamykając palce wokół ciężkich, złotych pierścieni.

– Nie. Posłuchaj. Teraz wychodzę i nie mam zamiaru więcej cię widzieć. Rozumiesz? Nie masz

nic, czego bym chciał – powiedział wstając gwałtownie.

Było coś niemal węzowego w sposobie, w jaki zerwała się na nogi, miękkim, szybkim ruchem, światło zamigotało na jej biżuterii.

– Zaczekaj! Nie odchodź! Zapomnij o tym. Sam. Chcę ci coś pokazać. Chcę, żebyś poszedł ze mną do Niebios. Mam dla ciebie pewien problem.

Spojrzał na nią zimno, oczami lśniącymi stalowo za rudawymi rzęsami, pod krzaczastymi, rudawymi brwiami. Wymienił cenę, którą będzie ją kosztowało jego posłuszeństwo. Pogardliwie wydawszy wargi powiedziała, że zapłaci, a w kącikach jej ust pojawił się subtelny, egipski uśmiech.

Wyszedł za nią z pokoju.

Niebiosa miały przypominać na wpół zapomniane miejsce narodzin człowieka. Była nim Ziemia – upięszona jednak i niedokładnie zapamiętana. Niebiosy stanowiły olbrzymią kopułę skonstruowaną niby plaster miodu z komórek i rozpiętą jak muszla nad wielką halą widowiskową. Każdą komórką można było sterować oddzielnie, a zmienne układy przenikliwych promieni tworzyły złudzenie przebywania w środku ogromnego, zatłoczonego pomieszczenia. Można też było, zgodnie z założeniem architekta, przeżywać złudzenie obecności w ziemskim otoczeniu.

Rzeczywiście, palmy i sosny zdawały się wyrastać z tej samej sztucznej gleby, winogrona, róże i kwitnące drzewa owocowe rosły obok siebie.. Mogło to mieć znaczenie chyba tylko dla purysty, obrazy te były bowiem bardzo zręcznie stworzone, i tylko uczeni zdawali sobie sprawę z pewnych, widocznych w nich niekonsekwencji. Pory roku stały się egzotycznym reliktem historii.

Było to dziwne i urzekające – rytmiczne zrównywanie się dnia z nocą, powierzchnia ziemi zmieniająca się od zieleni i brązu do lśniącej, niebieskawej bieli, cud wzrastania bladozielonych pędów i pęknięcie zielonych pączków na drzewach z naturalnością i nieuchronnością jakże różnymi od sztucznych hodowli w hydroponicznych ogrodach.

Kedre Walton i Sam Reed przybyli do Niebios. Z podestu, na który weszli, widzieli nad sobą ogromną, błyszczącą kopułę wypełnioną lśniącymi komórkami przypominającymi fragmenty jasnego, olśniewającego snu, przesuwały się one i falowały, unosiły i opadały w skomplikowanych strumieniach światła. Poniżej nich, bardzo daleko, znajdował się bar, węzowy, czarny kształt, którego ruchliwe cielsko mężczyźni i kobiety upodabniali do stonogi.

Kedre powiedziała coś do mikrofonu. Jedna z krążących komórek opuściła swą orbitę i opadła łagodnie na podest. Weszli do środka, a kołysanie podłogi uświadomiło Samowi, iż znaleźli się w powietrzu.

Jakiś mężczyzna i kobieta opierali się o poduszki przy niskim stole. Sam znał tego mężczyznę z widzenia. Był to Zachariasz Harker, najstarszy jednego z wielkich Klanów Nieśmiertelnych. Wysoki, o smukłej, kształtnej sylwetce. Twarz jego miała dziwny wyraz – nie starości, lecz doświadczenia, dojrzałości, co kontrastowało z młodością ciała i brakiem zmarszczek. Emanował miękkością, mięką pewnością siebie, mięką wytwornością, mięką i spokojną mądrością.

A kobieta...

– Sari, kochanie – powiedziała Kedre – przyprowadziłam wam gościa. Sari jest moją wnuczką. Zachariaszu, to jest... nie znam jego nazwiska. Nie przedstawił mi się.

Twarz Sari Walton była delikatna i naznaczona wyrazem pogardy stanowiącej najwyraźniej cechę rodzinną. Miała nieprawdopodobnie zielonożółte włosy, które z wyszukaną swobodą opadały na nagie ramiona. Ubrana była w obcisły strój z bardzo pięknego futra jakiegoś lądowego zwierzęcia, strzyżonego tak krótko, iż przypominało aksamit, a zdobiły je ciemne, jakby tygrysie pasy. Cienkie i

miękkie jak tkanina, okrywało ją ciasno aż do kolan, a przy kostkach układało się szerokimi fałdami. Dwójka Nieśmiertelnych spojrzała z przelotnym wyrazem zdziwienia na twarzach. Sam poczuł gwałtowny przyływ niechęci na widok tego zdziwienia. Poczul się nagle niezdarny, przypomniał sobie, iż jest tęgi i zupełnie niepodobny do tych arystokratów. Poczul również swą niedojrzałość. Podobnie jak dziecko czujące niechęć do starczych, Sam poczul niechęć do owej wyższej wiedzy emanującej z tych ładnych, łagodnych istot.

– Siadaj. – Kedre wskazała na poduszki. Sam sztywno usiadł i zgodził się na drinka obserwując odwrócone twarze gospodarzy z gwałtowną niechęcią, której nie próbował ukrywać. Dlaczego by miał to robić?

– Przeprowadziłam go tutaj z myślą o tym Wolnym Żołnierzu. On... jakże się nazywasz? A może ja mam cię nazwać? – powiedziała Kedre.

Sam wymienił niechętnie swe nazwisko. Kedre opierała się o poduszki, a złote pierścionki łagodnie połyskiwały na jej ręce, gdy podnosiła kieliszek. Wyglądała na rozluźnioną w tej pełnej wdzięku i wygody pozie, Sam wyczuwał w niej jednak jakieś napięcie. Zastanawiał się, czy tamci mieli podobne wrażenie.

– Może lepiej od razu powiem ci, Samie Reed – odezwała się – że już od dwudziestu lat oddaję się kontemplacji.

Wiedział, że polega to na uprawianiu swego rodzaju klasztornej intelektualizmu, oddawaniu się wysublimowanej religii umysłu. Akolita zrywa w tym celu ze światem starając się osiągnąć coś, co nie daje się nazwać, gdy zostaje odnalezione. Nirwanę? Nie, raczej uciszenie, spokój, równowagę.

Wiedział o Nieśmiertelnych nieco więcej niż zapewne podejrzewali. Zdawał sobie sprawę na tyle, na ile zdolny był do tego zwykły śmiertelnik, jak wypełnić życie, które trwa tysiąc lat. Osobowość musi być bardzo precyzyjnie zintegrowana, tak aby życie stawało się czymś w rodzaju zwartej i delikatnej mozaiki, olbrzymiej mozaiki, składającej się jednak z płytek tej samej wielkości, co tworzące przeciętne życie. Można żyć tysiąc lat, lecz zawsze sekunda jest tylko sekundą. Okresy kontemplacji potrzebne były natomiast do zachowania równowagi.

– Co z tym Wolnym Żołnierzem? – ponaglił szorstko Sam. Wiedział, że Robin Hale, ostatni z wojowników, stał się właśnie obiektem zainteresowania. Wskutek głębokiego niezadowolenia będącego źródłem upodobania do prymitywizmu, Żołnierza tego otoczono sztucznym nimbem i ludzie gotowi byli poprzeć jego pomysł dotyczący kolonizacji lądu.

Lub tak im się wydawało. Jak dotąd pomysł ten istniał głównie na papierze. Gdyby rzeczywiście doszło do zmagania się z rozszalałym żywiołem, jakim była powierzchnia Wenus... Realiści zdawali sobie sprawę, jak mogłoby się zakończyć takie przedsięwzięcie. Na razie jednak walka, którą toczył Robin o kolonizację, zyskiwała szaloną, irracjonalną popularność.

– Co z nim? – odpowiedział pytaniem Zachariasz Harker. – To się nie uda. Myślisz, Samie Reed, że mogłoby się udać?

Sam odpowiedział mu zmarszczeniem rudych brwi. Prychnąwszy potrząsnął głową, najwyraźniej nie zamierzając odpowiadać wprost. Czul narastające pragnienie sprowokowania nieporozumienia między tak nadzwyczajnie ucywilizowanymi Nieśmiertelnymi.

– Po kontemplacji – powiedziała Kedre – uznałam, że ten pomysł Wolnego Żołnierza jest aktualnie najciekawszą sprawą. I jedną z najbardziej niebezpiecznych. Z wielu powodów sądzimy, że próba kolonizacji byłaby teraz zgubna.

– Dlaczego? – mruknął Sam.

Zachariasz Harker pochylał się ponad stołem, żeby postawić kieliszek. – Jeszcze nie jesteśmy gotowi – powiedział łagodnie. – Będzie to wymagało ostrożnego planowania pod względem psychologicznym i technologicznym. A nasza rasa marnieje, Samie Reed. Nie możemy pozwolić sobie na klęskę. A ten zamysł Wolnego Żołnierza poniesie klęskę. Nie można mu dawać szansy. – Uniósł brwi i poważnie patrzył na Sama.

Sam poruszył się niespokojnie. Miał nieprzyjemne uczucie, iż to głębokie, spokojne spojrzenie może wyczytać z jego twarzy więcej, niżby chciał. Z tymi ludźmi nigdy nie wiadomo. Żyją już zbyt długo. Być może wiedzą zbyt wiele.

– Czy chcecie, żebym go zabił? – zapytał bezceremonialnie.

W małym pokoju zapanowała cisza. Sam odniósł wrażenie, iż do chwili gdy wypowiedział te słowa, nie przychodził im do głowy aż tak daleko idący wniosek. Czuł, że ich pomysły na ten temat nagle zaczynają się zmieniać, tak jakby Nieśmiertelni porozumiewali się w ciszy między sobą. Ludzie znający się nawzajem od wielu stuleci z pewnością posiadli jakąś umiejętność czytania w myślach, choćby poprzez niuanse w wyrazie twarzy. Wydawało się zatem, iż troje Nieśmiertelnych zaczęło w milczeniu wymieniać poufne poglądy nad głową Sama.

– Tak. Tak, zabij go, jeśli możesz – powiedziała wreszcie Kedre.

– Najlepszym rozwiązaniem byłoby – Zachariasz dodał powoli – zrobić to od razu, dzisiaj. Nie później niż w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Sprawa ta rozwija się zbyt szybko, żeby czekać. Jeśli teraz zdołamy go powstrzymać, nie będzie nikogo, kto byłby w stanie go zastąpić. Jutro ktoś taki mógłby się znaleźć. Czy poradzisz sobie z tym, Samie Reed?

– Jesteście głupcami, czy wiecie o mnie więcej, niż przypuszczam?! – rzucił Sam ze złością.

Kedre wybuchnęła śmiechem. – Wiemy. To już trzy dni, mój drogi. Czy przypuszczasz, że mogłabym się w to wplątać nie wiedząc, z jakim jestem mężczyzną? Znałam twoje nazwisko przed upływem pierwszego dnia, a twoje dane miałam następnego rano. Spokojnie można ci powierzyć tego rodzaju robotę. Dasz sobie z nią radę, a za odpowiednią cenę będziesz trzymał język za zębami.

Sam poczerwieniał. Pierwszy raz poczuł do niej rzeczywiście nienawiść. Żaden mężczyzna nie lubi dowiadywać się, że zrobiono z niego durnia.

– Będzie to was kosztować dwa razy więcej niż cokolwiek innego w Twierdzy – powiedział i wymienił bardzo wysoką cenę.

– Nie. Możemy mieć... – odrzekł Zachariasz.

– Zachariaszu, proszę – Kedre podniosła rękę. – Zapłacę. Mam swoje powody.

Spojrzał na nią uważnie. Powody te wypisane były na jej twarzy i Zachariasz zadrżał. Miał nadzieję, iż ich wolny związek, który zerwała rozpoczynając kontemplację, zostanie wkrótce podjęty. Widząc, jak wpatrywała się w Sama, zdał sobie sprawę, iż nie nastąpi to szybko.

Sari pochylała się i położyła białą, wąską dłoń na jego ręce.

– Zachariaszu – w jej głosie było ostrzeżenie i władczość – niech robi, co chce, mój drogi. Na wszystko wystarczy czasu.

Babka i wnuczka, będące niemal lustrzanymi odbiciami, wymieniły spojrzenia, w których, jak zauważył bacznie przyglądający się im Sam, były zarazem rywalizacja i porozumienie. ,

– Spójrzcie – powiedział Zachariasz. Poruszył ręką i ściana komory zaczęła się rozjaśniać aż do przezroczystości. Wśród mnóstwa komór unosiło się niedaleko nich pomieszczenie, w którym

znajdował się samotny mężczyzna – Siedzi tu już dwie godziny – ciągnął Zachariasz

Komora zbliżyła się. Mężczyzna ów był szczupły, ciemnowłosy i ponury. Miał na sobie zszarzały, brązowy ubiór

– Znam go z widzenia – powiedział Sam wstając Podłoga lekko zachybotwała, gdy się poruszył. – Wysadź, cie mnie na platformie do lądowania. Zajmę się nim.

Znalazł wolne miejsce przy długim barze i zamówił drinka. Barman spojrzał na niego ostro. Było to miejsce spotkań Nieśmiertelnych i klas wyższych. Nieczęsto pojawiali się w barze ludzie tak rażąco plebejscy jak Sam Reed. Jednak stanowczość, z jaką Sam wydał polecenie, sprawiła, iż po chwili barman ponuro bąknął: – Tak, proszę pana – i postawił przed Samem kieliszek.

Sam siedział przy barze dość długo. Jeszcze dwukrotnie zamawiał drinki, pił każdy powoli, ogromna muszla szumiała wirując w górze, zaś tłum wypełniał kopułę muzyką i ogólnym, niezrozumiałym gwarem. Obserwował, jak latająca komora z brązową postacią w środku zataczała rozległe koła. Czekając na wylądowanie Nieśmiertelnego, Sam gorączkowo myślał.

Bał się. Mieszanie się w sprawy Nieśmiertelnych nawet pod względem politycznym było niebezpieczne, a emocjonalne zaangażowanie się było jednoznaczne z samobójstwem. Sam nie miał złudzeń. Z chwilą gdy przestanie być użyteczny, nie będzie miał żadnych szans na ocalenie. Dostrzegł, z jakim chłodnym wyrachowaniem patrzył na niego Zachariasz Harker.

Gdy komora Wolnego Żołnierza zaczęła wreszcie zbliżać się do platformy. Sam już tam czekał. Od razu przystąpił do rzeczy.

– Właśnie wynajęto mnie, żebym cię zabił, Hale – powiedział.

' Gdy w godzinę później we dwóch opuszczali Niebios, banda Sheffielda napadła na Sama.

Sam Reed nigdy by nie zaszedł w swej karierze aż tak daleko, gdyby nie potrafił mówić zręcznie i przekonywająco, kiedy to było niezbędne. A Robin Hale od czasu krucjaty kolonizacyjnej z pewnością wystarczająco często miał do czynienia z różnymi spryciarzami, żeby nie wiedzieć, jak ich spławić. Znowu jednak krew Harkerów znalazła w jakiś sposób oddźwięk w bliskiej jej przeciwieństwu nieśmiertelności Hale'a, i chociaż Sam polegał tylko na własnych słowach, Wolnego Żołnierza przekonała spokojna pewność siebie Sama wypływająca z jego utajonego dziedzictwa.

Sam mówił bardzo szybko, ale swobodnie. Zdawał sobie sprawę, iż życie ich obu zawisło teraz na bardzo krótkiej linii, na linii, która zapewne ma długość czterdziestu ośmiu godzin. Obaj byli bezpieczni w granicach tego czasu. Później obaj zginą, chyba że uda się wymyśleć coś bardzo, bardzo mądrego. W głosie Sama dźwięczało pełne powagi przekonanie, gdy to wyjaśniał.

Właśnie w tym momencie dopadli go ludzie Sheffielda. Sam i Hale wyszedłszy razem spod portalu Niebios stanęli na wolno sunącej wstędze ruchomego Szlaku. Gdy rozdzielił ich zdecydowany napór tłumu. Sam, przepychając się do Hale'a, ujrzał zbyt późno uniesioną ku swojej twarzy czarną kolbę i poczuł obezwładniający zapach niewidocznego pyłku również zbyt późno, aby zdążyć wstrzymać oddech.

Wszystko wokół niego spowolniało i znieruchomiało.

Jakaś ręka wsunęła się pod jego ramię. Popychano go wzdłuż Szlaku. Klosze i latarnie znaczyły Szlak kolorowymi plamami, dopóki nie zaczęły się zakręty, później światło zamieniło się w hipnotyczno kolorową smugę. Szlak płynął miękko, puszyście kłębiły się nad nim lśniące, uperfumowane mgły. Postrzegał to w jakimś bezruchu. Niejasno zdawał sobie sprawę, iż popełnił błąd. Pozwolił, żeby Kedre uspiła jego czujność. Podjął nowe zadanie przed zakończeniem poprzedniego, które wymagało maksymalnego skupienia. Teraz zapłaci za to.

Nagle na ruchomą wstęgę Szlaku runęła jakby trąba powietrzna. Sam zdawał sobie jedynie sprawę z nagłego tumultu, wrzasków, odgłosu pięści uderzających w ciało. Nie był w stanie rozróżnić twarzy, dostrzegał tylko twarz Wolnego Żołnierza pojawiającą tuż przed nim raz po raz, niby jakiś palimpsest na tle innych, skądś mu znanych, a teraz krzyczących.

Jak w łagodnym śnie te inne twarze zaczęły zostawać z tyłu przy poruszającej się wolniej rampie, światła nagle umknęły, bo zaczynał się właśnie Szybki Szlak, a ręka Robina Hale'a uchwyciła ramię Sama.

Pozwolił prowadzić się w tym silnym uścisku. Miał wrażenie ruchu i bezruchu jednocześnie. Mózg jego prawie zupełnie przestał działać. Ledwo zdawał sobie sprawę z tego, że wchodzili przez rampę do jednego z hydroponicznych pomieszczeń, że zabrzęczały monety, które Hale dawał dyżurnemu, że przystanęli przy pojemniku, w którym kłębiło się szarozielone listowie.

Jakby z daleka usłyszał niewyraźny głos Hale'a: – Na ogół rośnie to właśnie tu. Mam nadzieję, że nie prysnęli zbyt dokładnie, bo to cholera jest dość trwałe. Wszędzie przenika. Jest! – Usłyszał dźwięk zdrapywania czegoś paznokciami, niewyraźnie dojrzał, jak Hale rozkrusza w dłoniach jakiś błękitnawy porost, którym następnie sypnął mu w twarz.

Wszystko zaczęło się nagle coraz szybciej poruszać, co było zsynchronizowane z gwałtownymi kichnięciami Sama. Poczul w kościach policzkowych kłujący ból, który zaczął ogarniać cały mózg. Tam skoncentrował się, strasznie nasilił i ustąpił.

Spocony i drżący poczul, że znowu może mówić. Poczucie czasu i ruchu powróciło do normy. Spojrzał zażawionymi oczami na Hale'a.

– W porządku? – zapytał Wolny Żołnierz.

– Chyba tak... – Sam otarł oczy.

– Co to było? – spytał zaciekawiony Hale.

– Mój własny błąd – odrzekł Sam krótko. – Prywatna sprawa. Zajmę się tym później... jeśli będę żył.

Hale zaśmiał się. – Pójdziemy do mnie. Chcę z tobą pogadać.

– Nie zdają sobie sprawy z tego, co ich czeka – mówił Wolny Żołnierz ponuro. – Nie udaje mi się nikogo o tym przekonać. Mają jakąś romantyczną wizję krucjaty, a nikt nigdy nawet nie dotknął stopą suchego lądu.

– Mnie przekonaj – odezwał się Sam.

– Widziałem się z Logikiem – ciągnął Hale. – Krucjata była jego pomysłem. A ja – potrzebowałem czegokolwiek. I boję się teraz, gdy to mam. Nie panuję nad tym. Ludzie ci są trupami pod względem emocjonalnym. Przymilają się do mnie jak żebrzące o pieczętę psy. Mogę zaproponować im tylko potworny trud, który przekracza ich wyobraźnię, i żadnej nadziei na powodzenie dla tego i następnego pokolenia. Potrzebne cechy wyparowały z tej rasy od czasu, gdy zaczęliśmy żyć w Twierdzach. Zapewne horyzonty pod wodą stają się zbyt ciasne. Nie potrafią ich przekroczyć i nie widzą dalej własnego nosa. – Hale zacisnął zęby. – Proponuję im nie pokój, lecz miecz – rzekł. – I nikt nie chce w to uwierzyć.

– Ja również nigdy nie byłem na powierzchni – wtrącił Sam. – Jak tam jest?

– Widziałeś to za pośrednictwem kamer zainstalowanych na samolotach nad dżunglami. Większość ludzi podobnie. I to jest właśnie fałszerstwo – taki widok z góry. Ładnie to wygląda. Chciałbym wziąć kamerę na dół, w to błoto, i pokazać cały ten gips, co sięga nieba nad tobą i chce

cię dopaść, i te wilki błotne, które ci wyskakują spod nóg, i te trujące rośliny, które zaczynają cię chłostać. Gdybym to zrobił, szlag by trafił całą krucjatę i nie byłoby szans na kolonizację. – Wzruszył ramionami. – Na początku, rozumiesz, był ten stary fort -ciągnął. – Trzymali go kiedyś pionierzy. Teraz dżungla znowu się tam wdarła. Stare ściany i bariery ochronne są zdeaktywizowane i bezużyteczne. Cała ta wspaniąta technika już nie działa. Wszystkie pomieszczenia stały się terenem potężnej vegetacji, wypełniają je robaki, węże, trujące rośliny. Staramy się je oczyszczać, ale utrzymanie tego w porządku... hm... jest ponad siły ludzi. Takie choćby porosty zeżrą drewno, szkło, stal i ciało! Za mało wiemy o tej dżungli. Wenusjańskiej ekologii absolutnie nie można porównywać z ziemską. I nie wystarczy po prostu utrzymać ten fort. Musi on być samowystarczalny.

– Potrzebne będą do tego pieniądze i poparcie -przypomniał mu Sam – a Klany są wściekle temu przeciwne, przynajmniej w tej chwili.

– Wiem. Sądzę, że nie mają racji. To samo uważa Logik. ;

– Czy tylko ty sam się tym zajmujesz?

– Na razie tak – przytaknął Hale.

– Dlaczego? Jakiś dobry menadżer mógłby załatwić potrzebne ci poparcie.

– Nie załatwi tego żaden porządny menadżer. To byłoby szalbierstwo. Ja w to wierzę, Reed. Dla mnie to jest krucjata. Nie uwierzyłbym człowiekowi, który, znając prawdę, chciałby się do tego zabrać.

W głowie Sama pewien piękny pomysł zaczął nabierać konkretnych kształtów. – A czy mnie byś zaufał? -spytał.

– Dlaczego miałbym ci ufać?

Sam zastanowił się szybko, ile prawdy powiedział już Hale'owi. Niezbyt wiele. Może bezpiecznie ciągnąć dalej.

– Ponieważ zaryzykowałem już głową, żeby cię ostrzec – rzekł. – Gdybym wykonał robotę dla Harkerów, odbierałbym w tej chwili małą fortunę. Nie zrobiłem tego. Nie powiedziałem ci jeszcze dlaczego. Chyba nie muszę tego robić. Podzielał twoje zdanie w sprawie kolonizacji. Nie przeczę, że zajęcie się tym dałoby mi trochę forsy. Ale to co innego, niż zrobić forszę na zabiciu ciebie.

– Przecież tłumaczę ci, że to nie może się udać – rzekł z naciskiem Hale. Jednak w jego oczach pokazał się błysk i Hale ożywił się bardziej niż kiedykolwiek.

Połknął haczyk! – pomyślał Sam, a głośno powiedział: -A może jednak. Potrzebne jest tylko ogromne poparcie, rzeczywiście ogromne. Chyba mogę to zapewnić. Musimy dać tym krzyżowcom cel zastępczy zamiast celu rzeczywistego, coś, z czego mogą skorzystać jeszcze w czasie swego życia. Z czego rzeczywiście mogą skorzystać. Bez żadnych szalbierstw. Czy mam spróbować?

Hale pocierał policzek w zamyśleniu. W końcu powiedział: – Chodź ze mną do Logika.

Sam zawahał się. Bał się Logika. Motywy jego nie były tego rodzaju, żeby wytrzymać konfrontację z wysublimowanym rozsądkiem. Za to Hale, przy całym swym romantyzmie, miał za sobą kilkaset lat doświadczenia w podtrzymywaniu swej oczywistej naiwności. Spierali się ponad godzinę.

Następnie Sam poszedł z nim do Logika.

Błyszcząca, biała kula na żelaznym podwyższeniu odezwała się do nich: – Hale, mówiłem ci już, że nie potrafię przepowiadać przyszłości.

– Ale znasz prawidłowe odpowiedzi.

– Właściwa odpowiedź dla ciebie może nie być właściwą dla Sama Reeda.

Sam poruszył się niespokojnie. – Wobec tego podaj dwie odpowiedzi – powiedział. Sądził, że mówi maszyna. Osłabił nieco swą czujność – maszyny to nie ludzie. Chcąc nie chcąc podał dane, których zażądała. Czekał teraz niespokojnie, zdając sobie sprawę z uciekających godzin i z tego, że Kedre i Harker czekają na wiadomość o śmierci Żołnierza.

W srebrnej kuli przesuwały się cienie, zniekształcone odbicie długiej, sardonicznej twarzy Logika. Robin Hale dostrzegał podobieństwo, wiedział jednak, iż cienie te nie mają żadnego znaczenia dla kogoś, kto nie zna sekretu.

– Mieszkańcy Twierdz nie są pionierami – odezwał się Logik. – Musicie wziąć ludzi z zakładów poprawczych.

– Potrzebujemy dobrych ludzi – powiedział Hale.

-- Kryminaliści są dobrzy, większość z nich. Po prostu są tymczasowo nieprzystosowani. Każda jednostka

aspoleczna może być w odpowiednim otoczeniu całkowicie prospołeczna. Malkontenci i kryminaliści będą dla was najlepsi. Będą wam potrzebni biologowie, przyrodnicy, geologowie...

– Nawet drugorzędnym ludziom trzeba będzie zapłacić kolosalne pieniądze – zaproponował Sam.

– Nie. Owszem, będziecie musieli zapłacić. Zdziwicie się jednak, jak wielu malkontentów jest wśród wybitnych jednostek. Twierdze są zbyt ograniczone. Żaden dobry pracownik nie jest zadowolony, jeśli nie działa na pełnych obrotach, a kto w Twierdzach wykorzystuje więcej niż część swych umiejętności, od czasu gdy podbita została przestrzeń podmorska?

– Uważasz zatem, że możemy zaczynać? – napierał Hale.

– Jak ty i Reed poradzicie sobie z obecnymi niebezpieczeństwami – przyjdźcie do mnie znowu.

– Hale mówił mi – wtrącił Sam – że Logik nie zgadza się z Klanami w sprawie kolonizacji. Dlaczego zatem nie wystąpisz z nami przeciwko Klanom?

Cienie w kuli poruszyły się. Logik potrząsnął głową.

– Nie jestem wszechmocny. Klany uważają, że postępują dobrze. Patrzą daleko w przyszłość. Swymi intrygami i wpływami podważają decyzje Rady, chociaż Rada jest zupełnie niezależna. Klany są jednak twarde i decydują o polityce, a następnie sprawdzają, czy decyzje ich są realizowane. Formalnie Twierdzami kierują rady i gubernatorzy. W istocie rządzą nimi Nieśmiertelni. Mają sporo świadomości społecznej, ale są też bezwzględni. Popierane przez nich prawa śmiertelnicy mogą uważać za zbyt surowe, jednak wnuki ich dzisiejszych ofiar mogą dziękować Klanom za tę surowość. Z punktu widzenia Klanów wspólne dobro jest sprawą dłuższego czasu. Myślę, że w tym przypadku nie mają racji.

Ta rasa szybko się stacza. Klany uważają, że jesteśmy w stanie sfinansować tylko jedną próbę kolonizacji. Jeżeli próba ta się nie uda, będziemy zniszczeni. Nigdy jej nie ponowimy. Nie będziemy mieli ani środków, ani energii. Musimy czekać, dopóki Klany nie rzucą hasła, dopóki nie będą przekonane, że nie dojdzie do klęski. Twierdzą, że się mylą. Twierdzą, że nasza rasa upada szybciej, niż im się wydaje. Jeżeli będziemy czekać na ich hasło, będzie to trwało zbyt długo...

Planetą tą rządzą jednak Klany, a nie Logik. Zbyt często przeciwstawiałem się ich zdaniu w innych kwestiach, aby teraz mi uwierzyli. Uważają, że w każdej sprawie jestem przeciwko nim.

Robin Hale słyszał to już wielokrotnie. Gdy głos umilkł, Hale odezwał się niecierpliwie: – Logiku, czy możesz przewidzieć przebieg wydarzeń? Czy w tej chwili jest dość danych, aby

powiedzieć, jakie mamy szanse powodzenia?

Logik przez chwilę nie odpowiadał. Następnie jakiś dziwny dźwięk dobiegł z wnętrza kuli. Był to chichot zamieniający się w śmiech, który wprawił Hale'a w niepokój i absolutnie zdumiał Sama Reeda. Wydawało się niepojęte, że maszyna mogła się śmiać.

– Łąd zostanie skolonizowany – odezwał się Logik chichocząc. – Masz szansę, dużą szansę. Tym większą, jeśli Reed będzie z tobą, przyjacielu, Tylko tyle mogę powiedzieć. Myślę, że to wystarczy.

Sam zmartwiał wpatrując się w cienie pływające w kuli. Rozleciały się jego wszystkie dotychczasowe pomysły. Czy Logik był w gruncie rzeczy oszustem? Czy ofiarował im po prostu swe domysły? A jeśli tak bardzo mylił się co do rzetelności Sama, jaką wartość miało wszystko, co powiedział?

Gdy wychodzili, z kuli dobiegał głęboki chichot. Ponownie zamienił się w śmiech i gdy opuszczali salę, towarzyszyły im fale tego serdecznego śmiechu, w którym było nieco sympatii i wiele ironii.

Logik z perspektywy swego tysiącletniego doświadczenia śmiał się pełną piersią z przyszłości Sama Reeda.

– „Jeśli poradzicie sobie z obecnymi niebezpieczeństwami...” – Sam zacytował Logika. Siedział przy plastikowym stoliku, przezroczystym i bardzo zakurzonym, patrząc na Wolnego Żołnierza po drugiej stronie. Znajdowali się w tajemnym pokoju Krętacza. Dopóki tu byli, nic im nie groziło, nie mogli jednak siedzieć tak bez końca. Sam doskonale zdawał sobie sprawę, iż wielu agentów Klanów śledzi każdy ich krok.

– I co dalej? – zapytał Hale.

– Nie wyglądasz na zmartwionego. O co chodzi? Nie dowierzasz mi?

– Ależ tak. Przyznam, że mógłbym nie dowierzać komuś, kto po prostu podchodzi do mnie na ulicy i mówi, że został wynajęty, żeby mnie zabić. Łatwo byłoby poznać, gdybyś chciał coś ode mnie wydębić. Oczekiwałem raczej, iż Klany zrobią coś drastycznego, a poza tym mam zaufanie do Logika. No i co? Masz jakiś pomysł?

Sam spojrział na niego spod zmarszczonych, rudych brwi. Zaczynał nie cierpieć Hale'a za tę zgodliwość. Chciał jej. Potrzebował jej. Nie podobały mu się jednak motywy Hale'a. Niemożliwe, żeby Hale uzależniał sukces lub klęskę swej krucjaty od podejrzanej rzetelności jakiegoś menadżera, a do takiej roli Sam aspirował. Mimo iż Logik – powodowany ułomną logiką – wyraził korzystny dla nich pogląd i mimo iż Hale bez zastrzeżeń ufał Logikowi, istniał jeszcze inny motyw.

Robin Hal-e był Nieśmiertelny.

To, co Sam wyczuwał i czego nienawidził w. Waltonach i Harkerach, wyczuwał i nienawidził również w Hale'u. Jakiejś ogromnej, w najwyższym stopniu pewności siebie. Nie był niewolnikiem czasu. Czas służył jemu. Człowiek posiadający za sobą stulecia doświadczeń musiał się już zetknąć niemal ze wszystkimi kombinacjami różnych sytuacji społecznych i w przyszłości nie będzie nimi zaskoczony. Zdołał ustalić sobie jakiś model. I wystarczy mu czasu na eksperymentowanie, na dokładne przemyślenie wszystkiego i sprawdzanie różnych reakcji, dopóki nie wpadnie na sposób postępowania najkorzystniejszy w danych okolicznościach.

To nie jest uczciwe – pomyślał Sam dziecinnie. Problemy, których zwykli śmiertelnicy nigdy nie zdołają rozwiązać, nieskończenie pomysłowi Nieśmiertelni muszą znać na wylot. I jeszcze coś było nieuczciwe – problemy, które zwykli ludzie muszą rozwiązywać w sposób drastyczny lub poprzez

kompromis, Hale może rozwiązać po prostu czekając. „I to również przeminie” było zawsze w przypadku Nieśmiertelnych ostateczną i najskuteczniejszą filozofią, w której znajdowali oparcie.

Zatem Nieśmiertelni stanowili niewiadomą. Ich trwania w czasie żaden śmiertelnik nie był w stanie pojąć do końca. Po to, żeby wiedzieć, potrzebne było tak długie, długie życie...

Sam, zaczerpnąwszy oddechu, odpowiedział Hale'owi raczej wymijająco:

– Klany, mam na myśli zwłaszcza Waltonów i Harkerów – nie uderzą otwarcie. Nie zechcą, żeby ich łączono z twoją śmiercią. Nie boją się mas, ponieważ masy nie są zorganizowane. Nigdy nie groziła rewolucja, ponieważ nigdy nie było powodu do rewolucji. Klany mają rację. Tylko coś takiego jak ta kolonizacyjna krucjata może stać się przyczyną problemów i – jak mam nadzieję – może stać się dla nich rzeczywistym niebezpieczeństwem, ponieważ po raz pierwszy masy będą naprawdę zorganizowane, wprowadzie dość luźno, i będą także podniecone krucjata. – Mrugnął do Hale'a. – Mam pomysł, jak to wykorzystać, ale... – Sam spojrzał na znajdujący się w górze na ścianie zakurzony ekran telewizyjny – nie mogę jeszcze o tym powiedzieć.

– W porządku. – W głosie Hale'a było zadowolenie i spokój. To całkiem normalne, pomyślał Sam i poczuł nagle podniecenie, bo po raz pierwszy uświadomił sobie, że ten człowiek znał wojowanie – wspinały mit martwej przeszłości – z własnego doświadczenia. Widział rzezie i mordowanie się z zemsty. Teraz groźba śmierci musiała wydawać mu się czymś tak już odległym, że przyjmował ją z absolutnym spokojem. Sam znowu poczuł do niego nienawiść.

– Na razie – zmusił się do mówienia spokojnie -sprzedałem ci się w związku z tym pomysłem z krucjata. Mogę jeszcze coś powiedzieć?

Hale przytaknął z uśmiechem.

– Będziemy mieli problem z odrzucaniem entuzjastów, a nie z rekrutacją. Potrzebujemy dowódców i potrzebujemy wykonawców. Tych drugich można mieć na kopy. A co do tych pierwszych – możesz ochronić swoich dowódców, co?

– Przed niektórymi niebezpieczeństwami. Nie przed znużeniem czy kilkoma innymi rzeczami, takimi jak porosty, które mogą dostać się przez otwory wentylacyjne i zjeść człowieka żywcem. Pod promieniami ultrafioletowymi niektóre zarazki ulegają mutacji, zamiast ginąć. Eh, to nie żarty.

– Potrzebna nam będzie specjalna selekcja. Malkontenci. Sukcesy w pracy i prywatne niepowodzenia.

– Do pewnego stopnia. Co proponujesz? – Lakoniczność tego pytania Sam przyjął z irracjonalną niechęcią. Podejrzewał, iż Hale zna już większość odpowiedzi i steruje nim jak recytującym dzieckiem częściowo po to, aby sprawdzić jego wiedzę, a częściowo powodowany nadzieją, iż Sam może mieć takie pomysły, które przydadzą się dla własnych potrzeb. A jednak – pod tą pewnością siebie, pomysłowością ożywaną przez tak wiele doświadczeń, Hale wykazywał nieodpartą naiwność, która dawała Samowi pewną nadzieję. Hale miał naturę krzyżowca. Był bezinteresowny i marzycielski. Nawet milion lat doświadczenia, zamiast kilkuset, nie zapewniłyby mu tego, z czym Sam się urodził. Tak, warto spróbować...

– Oczywiście, nie każde niepowodzenie będzie nam odpowiadać – ciągnął. – Musimy znaleźć przyczyny, dlaczego oni są malkontentami. Mielicie techników w dawnych czasach, gdy trwały wojny?

Hale przytaknął. – Tak. Ale oni mieli za sobą tradycję Wolnych Żołnierzy.

– Zapołączujemy nową tradycję. Nie wiem, jaką. Może „ad astra per aspera” – zastanawiał się Sam. – Czy możesz dotrzeć do danych psychologicznych i życiorysów tych dawnych techników?

– Część powinna się zachować. Chyba mogę. Dlaczego pytasz?

– To się później okaże, jednakże myślę, że tam znajdziemy odpowiedź. Trzeba zanalizować cechy, które zapewniły im sukces. Zrobią to wielkie komputery. Otrzymamy w ten sposób podstawowe równanie. Następnie trzeba zanalizować cechy współczesnej grupy techników zwracając uwagę na malkontentów. Wartość „X” oznacza technika z okresu wojny, który odniósł sukces, plus wartość dawnej tradycji. Trzeba znaleźć tych, którzy dzisiaj mają cechy „X” i dostarczyć im nowej tradycji.

Będzie to wymagało przemyślanej propagandy i' semantycznego rozwinięcia. W tej chwili przede wszystkim trzeba odpowiednio urabiać opinię publiczną. Hasła, jakiś sztandar, może jakiś nowy Piotr Eremita. Tamci krzyżowcy mieli wspaniałą oprawę reklamy. Masz w ten sposób rozwiązanie problemu kadry. Teraz kwestia siły roboczej i poparcia finansowego. – Sam spojrzął na spokojną twarz Nieśmiertelnego i znowu odwrócił wzrok. Mówił jednak dalej.

– Będziemy musieli również zbadać ochotników do prac fizycznych. W Twierdzach jest jeszcze mnóstwo nadających się do tego ludzi, których nie obleci strach przy pierwszym niebezpieczeństwie. Każdego potencjalnego kolonistę poddamy serii bardzo surowych testów. W razie czego sfałszujemy ich wyniki. Jedne wyniki będą dla opinii publicznej, drugie – dla nas. Nie można otwarcie odrzucać kogoś z powodu jego potencjalnego tchórzostwa, bo pozostali nie ośmielą się poddać testowi. My jednak musimy to wiedzieć.

– Jak na razie, w porządku – powiedział Hale. – A co z pieniędzmi?

– A ile ich masz?

Hale wzruszył ramionami. – Grosze. Zapewniłem sobie jakieś oparcie, bo ogoliłem z forsy Twierdzę Doone. Ale do tej roboty potrzebne będą duże pieniądze.

– Zorganizuj spółkę i sprzedawaj akcje. Ludzie kochają hazard. Zwłaszcza, jeśli otrzymują dywidendy – a dywidendy, których pragną, to nie tylko pieniądze. To fascynacja. Podniecenie. Przygoda, o której marzą. Dlatego właśnie uwielbiają kiepskie dreszczowce.

– Czy odrzuceni ochotnicy będą kupować akcje?

Sam zaśmiał się. – Mam! Każdy pakiet akcji zapewni dywidendę w postaci dreszczyku, wszystkie emocje związane z zaciągnięciem się, ale bez żadnego niebezpieczeństwa. Każde wydarzenie w Kolonii będzie rejestrowane przez telewizję, i każdy akcjonariusz będzie mógł odbierać u siebie bezpośrednią transmisję!

W spojrzeniu Hale'a była mieszanina gniewu i podziwu. Wywołanie u tego człowieka czegoś w rodzaju aprobaty dało Samowi poczucie drobnej satysfakcji. Jednak zniszczyła ją następna reakcja Hale'a.

– Nie. To taniocha. I oszukiwanie. Nie można z tego robić cyrku dla łowców sensacji. Powiedziałem ci, że to ciężka robota, a nie zabawa. To nie przygoda, to harówka.

– Ale może być przygodą – zapewnił go Sam. – Musi być. Kompromisy są niezbędne. Ludzie płacą za sensację. Sensację można im załatwić na lądzie, prawda?

Hale wzruszył ramionami z niechęcią. – Nie podoba mi się to.

– Zgoda, ale to można by zrobić. A tak biorąc rzecz teoretycznie – czy dzieje się w tej chwili na lądzie coś takiego, co dałoby się wykorzystać?

Hale odrzekł po chwili: – Hm, mamy kłopoty z pewną wędrującą rośliną – z jej termotropizmem. Przyciąga ją ciepło ciała. W naszych placówkach w dżungli zatrzymują ją

oczywiście urządzenia chłodzące. I łatwo ją odciągnąć podstawiając termity lub coś gorącego. Kieruje się wtedy w tamtą stronę i spala na popiół.

– Jak wygląda ta roślina?

Hale zaczął opisywać. Sam, rozsiadłszy się, wyglądał na zadowolonego.

– Mamy więc wizytówkę. Absolutnie bezpieczną, chociaż będzie wyglądała paskudnie jak diabli. Powinno nam to pomóc w wyeliminowaniu ludzi nieodpowiednich, ponieważ przestraszą się już na samym początku. Twoi ludzie po prostu wyłączą urządzenia chłodzące i zainscenizują walkę z tą rośliną, a poza zasięgiem kamery będzie stał ktoś przygotowany do rzucenia termity. Podamy informację, że rośliny te zaatakowały, zrobimy z tego transmisję telewizyjną – i o to właśnie chodzi!

– Nie – powiedział Hale.

– Krzyżowcy zaczęli od popisywania się przed publicznością – zauważył Sam. Na razie jednak nie nalegał. Wspomniał natomiast, iż w ciągu trzydziestu sześciu godzin obaj będą martwi, chyba że coś się wymyśli. Zauważył jakieś błyski na ściennym ekranie. Nadszedł czas, żeby przejść do następnego tematu.

– Klany mogłyby pozbyć się nas obu w sposób całkowicie niewinny. Na przykład – kilka jakichś zarazków. Trafi nas szlag, zanim zdążymy cokolwiek zrobić. Uważam, że trzeba wymyśleć tak odważne zagranie, żeby, dopóki nie zacznie ono działać, nie wiedzieli, co z tym zrobić.

– Co masz na myśli?

– Utrzymywanie władzy przez Klany wiąże się przede wszystkim z ich prestiżem. Ich prawdziwa siła – długowieczność – jest nie do ruszenia. Ale na szczycie utrzymują się dzięki powszechnej wierze w ich nieomylność. Zaatakujemy to przekonanie. Postawmy ich w sytuacji, w której będą musieli nas bronić.

– Ale jak to zrobić?

– Jesteś bożyszczem publiczności. Harker dał mi czterdzieści osiem godzin czasu, ponieważ boi się, że w każdej chwili możesz znaleźć jakiegoś oddanego ci stronnika, który cię zastąpi i poprowadzi krucjatę, nawet jeśli ciebie samego udałoby się usunąć. – Sam uderzył się w pierś. – Ja jestem tym człowiekiem. Muszę być, żeby ocalić własną skórę. Tym samym i dla ciebie jest wyjście. Zmniejszymy niebezpieczeństwo do połowy, jeśli każdy z nas będzie mógł być zastąpiony przez drugiego. Zabicie jednego nie rozwiązuje niczego, jeżeli drugi żyje.

– Do diabła, jakim cudem oczekujesz, że w ciągu tych kilku godzin zrobisz się aż tak ważny dla opinii publicznej? – Tym razem Hale rzeczywiście się zainteresował.

Sam skrzywił się porozumiewawczo. Kopnął nogę swego krzesła. Wejście od korytarza otworzyło się i wszedł Krętacz, pociągając nosem.

Usadowił swe wielkie ciało na krześle i spojrzał z zaciekawieniem na Hale'a. Sam powiedział: – Po pierwsze, poluje na mnie banda Sheffielda. W tej chwili nie mogę zawracać sobie nimi głowy. Zajmuję się czymś cholernie ważnym. Czy możesz ich zablokować?

– Da się zrobić – odrzekł Krętacz. Była to gwarancja. W podziemnym świecie Twierdz stary mistrz truciciel wciąż był w najwyższym stopniu niebezpieczny.

– Dziękuję. – Sam odwrócił się z krzesłem ku Krętaczowi. – A teraz coś ważnego. Potrzebna jest szybka robota przy sztuczce z nagrany głosem.

– To drobiazg – zapewnił go Krętacz i pociągnął nosem.

– I trzeba pokazać twarz.

– To już trudniejsze. Czyje twarze?

– Przede wszystkim Zachariasza Harkera. Wszystkich Harkerów i Waltonów, których masz w kartotece, ale głównie Zachariasza.

Krętacz spojrział na niego uważnie przez chwilę zapomniawszy nawet pociągnąć nosem. – Harkerów? -upewnił się. I nieoczekiwanie zachichotał. – Myślę, że da się zrobić, ale będzie cię to kosztowało. Na kiedy tego potrzebujesz?

Sam powiedział.

Zmianie zapisu dźwięku było odwiecznym trikiem, prawie tak starym jak sam zapis dźwięku. Wycinanie i przestawianie wypowiedzianych słów w Innej kolejności wymaga zręczności jedynie symbolicznej. Dopiero jednak ostatnio technika ta rozwinęła się aż do niedozwolonych rozmiarów. Dzielenie języka mówionego na podstawowe spółgłoski i samogłoski a następnie tworzenie z nich zupełnie nowych jednostek znaczeniowych wymagało bardzo zręcznego i wykwalifikowanego operatora. Niemożliwa była transpozycja z jednego języka na inny ze względu na odmienną fonetykę, każdą jednak wypowiedź zarejestrowaną i nie nazbyt długą można było rozłożyć na wystarczająco dużą liczbę dźwięków, z których dawało się stworzyć niemal dowolną wypowiedź.

Od tego był już oczywiście tylko krok do podłożenia osoby mówiącej pod zmienione słowa. Wargi wypowiadające dźwięki można było zatrzymać w środku sylaby i zgrać obraz ze zmienionymi słowami.

Rezultat był chropowaty dla ucha i oka. Przy komponowaniu w jedno wystąpienie twarzy z różnych wystąpień trzeba było pomniejszać, powiększać i retuszować. Dla uzyskania prawdopodobieństwa robiono nawet doświadczenia w tworzeniu pełnego obrazu twarzy, wyświetlając na trójwymiarowej kliszy dwuwymiarowe profile lub ujęcia trzy czwarte i fotografując je ponownie. Potrzebne były następnie ogromne umiejętności, aby rezultatowi tych zabiegów nadać niezbędną wiarygodność.

Krętacz miał dostęp do pewnego technika, który świetnie znał się na takiej robocie. W archiwach było mnóstwo nagrań z Harkerami i Waltonami. Sam zdawał sobie sprawę, że machinacje tego rodzaju są niebezpieczne. Nie miał jednak wyboru.

Wciągnięcie w to Robina Hale'a zabrało pięć godzin. Sam musiał przekonać go najpierw o grożącym mu niebezpieczeństwie. Nie było to zbyt trudne, ponieważ agenci Klanów myszkowali już po domu, w którym obaj się ukryli. Następnie musiał przekonać Hale'a, że może mu zaufać. Samowi udało się w końcu dopiąć tego dzięki poparciu swych argumentów taśmami, na których wykrywacz kłamstw notuje ciśnienie krwi. Wymagało to pewnej semantycznej asekuracji, ponieważ Sam miał sporo do ukrycia, musiał więc to i owo pomijać.

– Obaj jesteście już prawie martwi – powiedział do Hale'a, a magnetyczne igły wykrywacza nie drgnęły, była to bowiem szczerą prawdą. – Trik ten jest naturalnie niebezpieczny. Właściwie to samobójstwo. Jeśli jednak muszę i tak umrzeć, mogę to zrobić dając sobie szansę. Jest to jedyna szansa, chyba że wymyślisz coś lepszego. Wymyślisz?

Nieśmiertelny nic nie wymyślił.

W wieczornym programie zapowiedziano, że Robin Hale wygłosi ważne oświadczenie w sprawie Kolonii. Wszędzie w Twierdzach odbiorniki zostały nastawione na tę audycję i zaczęto czekać. W rzeczywistości czekano na moment, kiedy Harkerowie i Waltonowie, których miały dotyczyć spreparowane wiadomości, będą razem i nie będą mogli przeszkadzać.

Prywatne życie Nieśmiertelnych nigdy nie było zupełnie prywatne, a Krętacz dysponował siatką

ściślych kontaktów, które działały bardzo sprawnie. Dzięki wpływom Hale'a program telewizyjny został dla niego otwarty i również czekał, dopóki nie przyszła wiadomość, że wszyscy Nieśmiertelni, o których chodzi, zostali zlokalizowani.

I wtedy na ekranach publicznych i niezliczonych ekranach domowych feeria kolorowych reklam ustąpiła miejsca twarzy Robina Hale'a. Miał na sobie ubiór noszony na łądzie, a słowa wypowiadał z jakąś niechęcią i jednocześnie pośpiechem, co czyniło je zaskakująco przekonującymi.

Oświadczył, iż początkowo zamierzał opowiedzieć szczegółowo o wspaniałym pomysle swego przyjaciela Sama Reeda, którego celem jest rozpoczęcie całkowitej kolonizacji bez zwłoki. Obecnie jednak wynikły kłopoty i wezwano go, żeby dopomógł swym doświadczeniem dawnego Wolnego Żołnierza ludziom, którzy tam w górze, na skraju dżungli, znaleźli się w obliczu nowej, śmiertelnej groźby. Następnie szybko i zdecydowanie zsalutował i zniknął z ekranu.

Na jego miejsce pojawiła się twarz Zachariasza Harkera. Tylko jakiś superekspert byłby w stanie zauważyć lekkie niedociągnięcia zdradzające, iż jest to synteza ponownie zestawionych fal dźwiękowych i świetlnych. Nawet Zachariasz patrząc na ekran, gdziekolwiek się teraz znajdował, nie mógłby zaprzeczyć, że to on wypowiada te słowa, ponieważ każdy dźwięk, jaki słyszał, i każdy ruch jego własnych warg były prawdziwe.

Ta sztucznie skonstruowana wypowiedź była triumfem w dziedzinie semantyki. Podjęcie tak jawnie samobójczego ryzyka nie tylko w celu ocalenia siebie i Hale'a, jeśli było to możliwe, ale również w celu poparcia swych zamierzeń dotyczących Kolonii, było typowe dla Sama. Spowodowano zatem, iż Harker przedstawił Sama – który ze skromną wstrzeźliwością pojawił się obok Nieśmiertelnego w czasie jego wystąpienia – jako odważnego, ożywionego społecznym duchem filantropa, który zamierza realizować kolonizacyjną krucjatę.

Sam Reed, człowiek z ludu, śmiertelny, lecz dalekowzroczny, poprowadzi swych towarzyszy za Robinem Holem do zwycięstwa w wielkiej krucjacie. Przyszłość całej rasy znajduje się: na łądzie. Sam i Hale zdołali w końcu przekonać o tym nawet Harkerów, powiedział Zachariasz. Wielka przygoda znajduje się przed nami. Już niedługo zacnie się przyjmować ochotników na badania. Ad astra per aspera!

Powiedział o niebezpieczeństwie. Wdał się w szczegóły, każde słowo zostało tak dobrane i zaprezentowane, aby wywołać w słuchaczach niezadowolenie. Wskazał na stagnację Twierdz, na rosnącą degenerację, na zwiększający się brak odporności na choroby. A najważniejsze, że człowiek przestał się rozwijać. Jego przeznaczeniem przestały już być Twierdze. Wielka ziemską cywilizacja nie może dojść do kresu na dnie mórz tej żywej planety. Ad astra!

Twarz Zachariasza zniknęła z ekranu. Ukazał się Sam, żeby przypieczętować całą sprawę, zdenerwowany i bardzo zaniepokojony, choć na zewnątrz spokojny. Teraz, gdy nie było odwrotu, drżał od spóźnionych obaw. Co zrobią Harkerowie, gdy odkryją, jak nieprawdopodobnie dali się złapać? Jakże bezczelnie, na oczach wszystkich Twierdz, najgłębsze ich przekonania zostały zmienione i odrzucone, i to przy pomocy ich własnych słów! Na pewno zaczęli już działać. W razie potrzeby Klany potrafiły podjąć szybką akcję. Sam nie był jednak w stanie zgadnąć, co ucznia.

Mówił do widzów ze spokojną pewnością siebie. Rozwijał swoje pomysły proponując ludziom możliwość przyłączenia się do krucjaty, jeśli nie osobiście, to finansowo. Zgrabnie wspominał o uciążliwościach i niebezpieczeństwach na łądzie. Wszystkich, oprócz tych najbardziej twardych, chciał odstraszyć od zgłaszania się na ochotnika. I oto, aby dopomóc w tym, a także, aby zapewnić swemu projektowi miążdzące zwycięstwo, wygłasza swe ważne oświadczenie.

To, co dotychczas było zabawą dla bogatych, teraz może być udziałem każdego właściciela akcji tego wspaniałego przedsięwzięcia oczekującego ludzkość. Każdy udziałowiec może zobaczyć, jak wykorzystuje się jego pieniądze, może uczestniczyć prawie bezpośrednio w przygodach i niebezpieczeństwach związanych z życiem na lądzie.

Spójrzcie!

Na ekranie pojawił się nagle oszałamiający widok dżungli, która zbliżała się do widzów z zapierającą dech szybkością. Pierścień czarnoaksamitnego błota przenikał zza kwietnego pokrycia koron drzew. Błoto zbliżyło się i można było dostrzec lśniącego węża, który prześlizgiwał się przez tę czerń. Błoto wybuchło i szczęki błotnego wilka zamknęły się na wężu. Na wszystkie strony rozprysła się krew z błotem. Kotłując się i charcząc, przeciwnicy zniknęli z pola widzenia, aksamitna powierzchnia znieruchomiła, tylko od czasu do czasu zaczęły się pokazywać na niej pierścienie, gdy banieczki czerwieni docierały od dołu do powierzchni i pękały na niej z głuchym pluskiem, który słyszał każdy widz w Twierdzach.

Sam podziękował publiczności. Prosił jeszcze o kilka dni cierpliwości, dopóki nie zorganizuje się pierwszych badań. Z arogancką skromnością stwierdził, iż ma nadzieję zasłużyć na zaufanie widzów swą działalnością dla dobra ich oraz Wolnego Żołnierza, który oddawszy tego rodzaju sprawy w jego ręce, walczy tam na lądzie w tak świetnie znanych sobie dżunglach. Wkrótce wszyscy, zakończył Sam, będziemy oglądać te zmagania prowadzone już przez ludzi, a nie przez bestie, dając dowody naszego poparcia dla odważnych wysiłków zmierzających do podbicia Wenus, tak jak niegdyś nasi przodkowie podbili Starą Ziemię...

Klany nie uczyniły nic.

Sama niepokoiło to bardziej niż jakiegokolwiek bezpośrednie ich działanie. Nie miał z czym walczyć. Do ciszy tej odniósł się z głęboką nieufnością. Wszystkie próby, zmierzające do przeprowadzenia telewizyjnego wywiadu z którymkolwiek z Nieśmiertelnych na temat owego kolosalnego problemu interesującego wszystkich w najwyższym stopniu, spełzły na niczym. Nieśmiertelni uśmiechali się, kiwali głowami i na razie odmawiali wszelkich komentarzy.

A wszystkie plany realizowały się z karkołomną szybkością. W końcu, cóż Harkerowie mogą zrobić? – uspokajał się Sam. Odebranie ludziom tej wspaniałej nowej zabawki mogło być niebezpieczne. Nie można dawać dziecku cukierka i odbierać go przed spróbowaniem, nie wywołując krzyków protestu. Mieszkańcy Twierdz byli znacznie groźniejsi niż dzieci, poza tym przyzwyczaili się do ojcowskiej opieki. Gdyby opieka ta zniknęła, mogłyby być kłopoty.

Sam zdawał sobie sprawę, że wygrał bitwę, a nie wojnę. Zbyt wiele miał jednak teraz do roboty, aby martwić się o przyszłość. Wszystko to, oczywiście, oszustwo. Nigdy inaczej tego nie traktował.

Paradoksem było, iż Sam wierzył osądom Harkerów. Uważali, iż jego próby zakończą się fiaskiem. Sam był przekonany, że mają rację. Logik naturalnie wierzył, że kolonizacja się powiedzie, a właściwie Logik powinien mieć rację. Przecież maszyna nie mogła się mylić. Maszyna jednak popełniła ogromny błąd w ocenie jego samego, nic dziwnego więc, iż zwątpił w jej wnioski.

Jedynym sposobem zrealizowania planu zgodnie z założeniami Sama było ubezpieczenie go na wypadek porażki. Tym razem Sam miał szanse zdobycia rzeczywiście dużych pieniędzy. Ludzie masowo kupowali akcje, a Sam sprzedawał je bez przerwy.

Sprzedał trzysta procent akcji.

W związku z tym musiał przegrać. Gdyby wpakował te pieniądze w przedsięwzięcia na lądzie,

nie by dla niego nie zostało, a poza tym, jak mógłby spłacić te trzysta procent?

Na papierze wyglądało to jednak pięknie. Nowe źródła podaży i popytu, wysoko rozwinięta kultura podnosi się z dna morskiego i, strząsając ze swych potężnych ramion wodę, wychodzi na brzeg. A później następny cel: ku planetom i gwiazdom. Ad astra było wspaniałym marzeniem i Sam potrafił ukazać całą jego wartość.

Minęły dwa miesiące.

Rosathe, podobnie jak inne owoce sukcesu, z rozkoszą rzuciła mu się w ramiona. Sam zlikwidował wszystkie trzy mieszkania i razem z Rosathe znaleźli inne, nieprawdopodobnie luksusowe, z oknami wychodzącymi na hydroponiczne ogrody kwitnące bujnie jak dżungle na powierzchni, lecz o wiele bardziej bezpieczne. Sam widział z tych okien w dole światła Twierdzy, której wszyscy mieszkańcy tańczyli w takt jego muzyki. Przypominało to sen pełen paranoicznych wspaniałości i megalomańskiej okazałości – a jednak prawdziwy.

Sam nie uświadamiał sobie jeszcze, że coraz szybciej pogrąża się w wirze wypadków, które wymknęły się już spod jego kontroli, choć dostrzegłby to, jeśli rozejrzałby się uważnie. Wydarzenia ujawniłyby w tym wirowaniu skazę, gdyby tylko miał czas przyjrzeć się im uważnie w chwili zastanowienia. Ale zabrakło mu czasu...

Gdy w końcu nadeszła ta chwila, Rosathe siedziała u jego stóp, na niskim podnóżku, trzymając harfę i cicho śpiewając.

Błękitnofioletowa spódnica utworzyła okrąg wokół niej na podłodze, a Rosathe, pochyliwszy ciemną głowę nad ramą instrumentu, miękko śpiewała.

„Och, wolno, wolniutko wstała, powoli przyszła tuż... do niego...” Jakże wspaniale jej cudowny głos wznosił się na ostatnim słowie! Raz niskie, raz wysokie tony starych ballad były torturą dla każdego głosu, ale nie dla tak cudownego instrumentu jak krtań Rosathe. „Lecz tylko rzekła...” zdążyła Rosathe poinformować swym płynnym głosem, gdy przerwał jej dźwięk sygnału telewizora.

Sam wiedział, że musi to być coś ważnego, ponieważ w innym przypadku by go nie niepokojono o tej porze. Niechętnie opuścił nogi na podłogę i wstał.

Rosathe nie podniosła głowy. Na chwilę zamarła w bezruchu, jakby zmroził ją dźwięk brzęczyka. Następnie, nie patrząc w górę, przebiegła palcami o lśniących koniuszkach po strunach i zaśpiewała zakończenie ballady. „Młodzińcze, umrzesz chyba...”

Gdy Sam nacisnął włącznik, na rozjaśnionej szarości ekranu pojawiła się twarz, widok której aż go poderwał. Była to twarz wściekłej Kedre Walton. Czarne loki omiotły powietrze jak pukle Meduzy, gdy gwałtownie zwróciła głowę ku ekranowi. Czekając na potwierdzenie sygnału, musiała rozmawiać z kimś w głębi i gniew jej nie dotyczył wyłącznie Sama. Zauważył to. Zdradziły to jej słowa.

– Samie Reed, jesteś głupcem! – zwróciła się do niego bezbarwnym głosem, bez żadnego wstępu. Egipski chłód zniknął z delikatnej, pełnej wzdargi twarzy Kedre. Zniknęła nawet wzdarga. – Czy rzeczywiście sądziłeś, że to ci się uda?

– Już się udało – zapewnił ją Sam. Co do tego punktu swego planu nie miał wątpliwości.

– Biedny głupcze, nigdy jeszcze nie walczyłeś z Nieśmiertelnymi. Działamy powoli. Stać nas na to! Chyba nie wyobrażałeś sobie, że Zachariasz Harker pozwoli ci zrobić to, co zrobiłeś, i ująć z życiem! On...

Spoza ekranu odezwał się jakiś głos: – Kedre, kochanie, pozwól, że sam coś powiem. – Sam ujrzał na ekranie gładką, wiecznie młodą twarz Zachariasza i jego oczy patrzące na niego ze

spokojnym skupieniem. – Jestem ci w jakiś sposób wdzięczny, Reed – odezwał się Nieśmiertelny. – Byłeś przebiegły. Miałeś większe możliwości, niż przypuszczałem. Wykrzesaleś ze mnie chęć działania, co jest nieoczekiwane przyjemne. Umożliwiłeś mi również zniszczenie wszystkich ambitnych zamiarów Ha!e'a. Za to również chcę ci podziękować. Lubię być w porządku, gdy mogę sobie na to pozwolić.

Spojrzenie było pełne tak doskonałej obojętności, iż Sama przeszedł nagły dreszcz. Oczy patrzyły z takiej perspektywy czasu, przestrzeni i doświadczenia, jakby Sama w ogóle tam nie było. Albo jakby Harker patrzył już na śmierć. Na coś tak odczłowieczonego i oddalonego od życia, jak trup. Jak Sam Reed.

Sam przeżył chwilę głębokiego zachwiania pewności siebie – doświadczył błysku samoświadomości na myśl, iż Harker zmierzał do tego od samego początku wiedząc, iż Sam nie tylko chce przy pomocy Hale'a oszukać jego, ale że również i samego Hale'a. Sam był tym słabym ogniwem krucjaty Hale'a, jedynym, które mogło spowodować klęskę, jeśliby ktoś o nim wiedział. Aż do tej chwili Sam był przekonany, iż nikt tego nie podejrzuje.

Zachariasz Harker jednak wiedział.

– Żegnaj, Reed – powiedział łagodny głos. – Kedre, kochanie...

Na ekranie pojawiła się znowu twarz Kedre. Wciąż była rozgniewana, ale gdy spojrzała w oczy Samowi, gniew jej przeobraził się w inne uczucie. Na długich rzęsach, którymi przesłoniła oczy, pojawiły się łzy.

– Żegnaj, Samie – powiedziała. – Żegnaj. – I jej błękitne spojrzenie utkwilo za Samem.

Miał ułamek sekundy, żeby odwrócić się i ujrzeć, co mu grozi, ale nie miał już czasu, by temu zapobiec. Tuż

przy nim stała bowiem Rosathe, również patrząc w ekran. W momencie gdy odwrócił się, jej ostro zakończone palce, którymi tego wieczoru wywoływała dla niego z harfy muzykę, nagle zacisnęły się i wywołały nicość.

Poczuł w nozdrzach ukłucia pyłu o słodkim, przerażającym zapachu. Zrobił ruch w przód, aby ją dosięgnąć i skrócić jej kark, ale na próżno. Odpłynęła od niego, cały pokój się zakołysał, a później Rosathe patrzyła na niego gdzieś z góry i w oczach jej również były łzy.

Wszystko przesłoniła woń usypiającego proszku. Narkotycznego proszku eutanazji, który służył do popełniania samobójstw.

Ostatnie, co ujrzał, to widok zapłakanych, patrzących z góry oczu dwóch kobiet, których łzy wywołała miłość do niego i które wspólnie go zniszczyły.

Ocknął się. W nozdrzach nie miał już zapachu wonnego proszku. Wokół panowała ciemność. Poczuł za plecami ścianę, wstał ciężko się o nią opierając. W słabym świetle widać było jakieś wyjście. Koniec uliczki, pomyślał. W półmroku przechodzili od czasu do czasu jacyś ludzie.

Chodnik ranił mu stopy. Trzewiki były jakieś dziwne i luźne. Sam przyjrzał się im i stwierdził, że jest w łachmanach, a powierzchnia chodnika ugniata go z powodu dziur w podszewkach. Trujący zapach nasennego proszku wciąż unosił się wokół niego w powietrzu.

Narkotyk, który mógł wprawić człowieka w sen na bardzo, bardzo długo. Na jakże długo!

Skierował się ku wylotowi uliczki. Jakiś przechodzień spojrzał na niego z zaciekawieniem i niesmakiem. Wyciągnąwszy ręce Sam złapał przechodnia za ubranie.

– Kolonia – spytał natarczywie – czy ona... czy już ją założyli?

Przechodzień odtrącił jego rękę. – Jaka kolonia? -odpowiedział niecierpliwie.

– No, Kolonia! Kolonia na lądzie!

– Ach, o to chodzi – zaśmiał się przechodzień. -Spóźnił się pan trochę. – Z pewnością pomyślał, że Sam

jest pijany. – Od dawna działa, to znaczy to, co z niej zostało.

– Od jak dawna?

– Od czterdziestu lat.

Sam oparł się o krawędź ulicznego automatu przy końcu zaułka. Musiał się przytrzymać, by ustać na nogach, ponieważ ugięły się pod nim kolana. Spojrzał w zakurzone lustro i prosto we własne oczy.

– Czterdzieści lat. Czterdzieści lat! – Widział przed sobą wciąż młodą, nie zmienioną twarz Sama Reeda o rudawych brwiach, gładką jak zawsze.

– Czterdzieści lat! – szepnął Sam Harker do siebie.

Część druga

I tu zaiste będzie czas

Dla żółtych dymów rozsnutych wzdłuż ulic

Ocierając odwłoki o szyby;

O będzie czas, i będzie czas,

Bym przygotował twarz

Na spotkanie tych twarzy, które ty widzisz; Będzie czas, by zabijać i tworzyć, Czas na działanie i czas rąk,

*Które nad twoim talerzem unoszą i ronią pytania (...) **

Miasto powoli opadało w dół wzdłuż toru spirali. Sam Harker przyglądał mu się tępo, nic nie widząc. Zbyt mu się kołowało w głowie, aby czuć cokolwiek prócz pustki. Trzeba się było uporać ze zbyt wieloma rzeczami. Wciąż nie był zdolny do myślenia. Nie pamiętał niczego, co pozwoliłoby mu przetrząść pomost między doznaniem, kiedy ujrzał w lustrze swą nieprawdopodobnie młodą twarz, a chwilą obecną. Wyczuwał delikatne wibrowanie Szlaku pod dziurawymi podeszwami, znajome było to miasto powoli ześlizgujące się w dół, ulice za ulicami, które pojawiały się w miarę, jak spiralny Szlak wspinał się w górę. Nie było nic, na czym mógłby się skoncentrować i skupić uwagę, nic, o co mogłyby się zahaczyć pulsujące w nim myśli.

– Muszę strzelić kielicha – powiedział do siebie, ale nawet ta myśl pojawiła się niezdarnie, jakby brnąc przez zardzewiałe przewody, które niczego nie przekazywały przez czterdzieści zatrutych narkotykiem lat. Sięgnąwszy jednak do poszarpanych kieszeni, stwierdził, że są puste.

Nic! – pomyślał mgliście. – Nic? – I w tym momencie

* T. S. Eliot – *Pieśń miłosna i. Alfreda Prufrocka*, przeł. Władysław Dulęba.

po raz pierwszy uderzyło go to, co ujrzał w lustrze. -Nic? Jestem nieśmiertelny!

To nie mogła być prawda. To na pewno złudzenie po narkotyku. Ale nie było złudzeniem, że pod drżącymi palcami czuł własny jędrny policzek i mocne, gładkie mięśnie szyi. To było prawdziwe. Wobec tego okres minionych lat musi być złudą. A przechodzień w uliczce kłamał. Przypominając sobie tę scenę Sam miał wrażenie, iż człowiek ten dziwnie mu się przyglądał, więcej niż z przypadkowym zaciekawieniem. Założył, że mężczyzna ów był przechodniem, zmusiwszy jednak ospały umysł do wysiłku doszedł do przekonania, że człowiek ten stał tam obserwując go, gotów odejść lub zostać, zależnie od zachowania Sama.

Starał się odtworzyć w pamięci twarz tego człowieka, ale na próżno. Jakiś cień, który patrzył na niego i mówił. Patrzył jednak z dociekliwym zainteresowaniem i mówił ze zdecydowaniem i zamiarami wcale nieprzypadkowymi. Była to pierwsza spójna myśl, jaka powstała w zmętniałym umyśle Sama – bodziec musiał być zatem silny. Człowiek ten znajdował się tam z jakiegoś powodu. Z jakiegoś powodu związanego z Samem.

– Czterdzieści lat... – szepnął Sam. – W każdym razie mogę to sprawdzić.

Miasto zupełnie się nie zmieniło. Nie stanowiło to jednak żadnego kryterium. Twierdze nigdy się nie zmieniały. Daleko przed sobą ujrzał ogromną kulę martwej Ziemi w czarnym, plastikowym

całunie, górującą nad budynkami. Pozwoliło mu to odzyskać orientację, kształty ulic i budynków znowu stały się znajome. Znał to miasto. Wiedział już, gdzie się znajduje, gdzie były jego stare kąty, gdzie położony był ów zasobny apartament nad błyszczącymi ulicami i gdzie dziewczyna o niebieskich oczach sypnęła mu proszkiem w twarz.

Pamięć przywołała ekran, na którym pojawiła się twarz Kedre, łyzy w jej oczach i ten rozkazujący gest, który spowodował jego klęskę. Kedre i Rosathe. Miał wtedy coś do zrobienia. Wiedział, że w istocie trujący proszek podała mu nie ręka Kedre ani tym bardziej Rosathe. Rozkaz wydał Zachariasz Harker. I Zachariasz zapłacił za to. Kedre również musi zapłacić, a co do Rosathe... Sam zacisnął palce. Ufał Rosathe. Jej zbrodnia była najgorsza – zdrada. Rosathe powinna umrzeć – pomyślał.

Chwileczkę. Czterdzieści lat? Czyżby czas zrobił to już za niego? Przede wszystkim musi się dowiedzieć, kiedy dokładnie się przebudził. Ruchomy Szlak pełził w stronę jednego z ogromnych, publicznych ekranów wyświetlających wiadomości, ujrawszy go będzie więc mógł sprawdzić datę. Pomyślał jednak, że w gruncie rzeczy jest to zbyt techniczne. Poczuł upływ czasu. I chociaż miasto się nie zmieniło, ludzie się nieco zmienili. Zauważył, że niektórzy mężczyźni nosili brody, co było czymś nowym. Krój ubrań był bardziej ekstrawagancki niż poprzednio. Moda zmienia się zgodnie ze zmianami w postawach społecznych, nie przypadkowo, lecz w związku z wzorami już znanymi. Pomyślał, że już na tej podstawie mógłby się zorientować, gdyby umysł jego był jaśniejszy i gdyby nie można było skądinąd uzyskać informacji.

Szlak sunął powoli i gdy pokazał się ekran informacyjny, Sam zauważył jak niewiele twarzy odwróciło się w tę stronę. Pamiętał, że kiedyś wyciągały się wszystkie szyje i ludzie przepychali się, by zdążyć przeczytać wiadomości, zanim Szlak się przesunie. Teraz tego nie było. Wszystkie twarze były apatyczne, co stanowiło ostry i łatwo zauważalny kontrast z ekstrawagancką modą. Jedynie Sam wyciągnął szyję, żeby zobaczyć ogromny ekran.

Tak, minęło czterdzieści lat.

Tak jakby w głębi jego mózgu nastąpiła jasna eksplozja. Nieśmiertelność! Nieśmiertelność! Wszystkie możliwości, wszystkie niebezpieczeństwa, cała wspaniałość ukazały się w tym oślepiającym błysku. Później błysk przygasł i przez chwilę poczuł strach związany z odpowiedzialnością człowieka dojrzałego – z tą nową, niewiarygodną dojrzałością tak dalece przekraczającą wszystko, o czym marzył. A później opanowały go jeszcze wątpliwości co do tego cudownego daru i w popłochu próbował przypomnieć sobie, czy nie istnieją jakieś pigułki, jakieś lekarstwa powodujące tego rodzaju katalepsję, zatrzymanie starzenia się na okres czterdziestu lat. Jednak o niczym takim nie słyszał. Więc musi to być prawda. Nie może być, a jest.

Można z tym poczekać. Sam zaśmiał się gorzko do siebie. Co jak co, ale to z pewnością może poczekać. Były ważniejsze sprawy do przemyślenia. Przydarzyło mu się coś magicznego, czego rezultatem stał się sen przez czterdzieści lat a następnie nieśmiertelność. Ale co to było?

Narkotyczny proszek. Wciąż czuł w nozdrzach ten pamiętny zapach, a w ustach zaczynał odczuwać złowieszcze, suche pragnienie, którego nie zaspokoi żaden płyn.

Muszę się wyleczyć. Przede wszystkim muszę się wyleczyć.

Znał ten narkotyczny proszek. Nie było to nieuleczalne, groziło jednak wpadnięciem w nałóg. A nawet gorzej, bo gdy raz uległo się wpływowi tego przekłętą draństwa, nie można się było już wyzwolić. Nie było okresów świadomości umożliwiających leczenie, a w każdym razie zanim organizm nie wytworzy antyciał, co trwało niemal do końca życia. A nawet wtedy wirus śpiączkowy

mógł tak szybko ulec mutacji, że okres pełnej świadomości nie był długi. Człowiek zapadał w śpiączkę i w końcu umierał.

Na chwilę ogarnęła go panika. Jak długo będzie trwał okres świadomości? Jak długo już trwa? Czy lada moment znowu ogarnie go śpiączka i pochłonie tylko co odzyskane poczucie tożsamości? Nieśmiertelność stanie się bezużyteczna, jeśli będzie musiał ją przespać.

Musi się wyleczyć. Poczuł, że pragnienie wzrosło, gdy uświadomił sobie, czego sygnałem jest to uczucie o tyle bardziej groźne od doświadczonego przez przeciętnego człowieka. Leczenie wymagało pieniędzy. Przynajmniej kilku tysięcy kredytów. Nie miał ani grosza. Jego bogactwo było większe od największych marzeń skąpca, jeśli nieśmiertelność oznaczała to, co przypuszcza, a jednak ten skarb życia bez końca mógł w każdej chwili zniknąć, ponieważ on sam nie posiadał ani odrobiny materialnego bogactwa. Paradoks. Stał się posiadaczem przyszłych stuleci, ale może stracić owe bogactwo związane z czasem, jeśli zabraknie mu kilku godzin teraźniejszości.

Panika na nic się nie przyda. Wiedział o tym. Ponownie zdusił ją w sobie i spokojnie zastanowił się, co ma robić.

Czego musi się dowiedzieć. Najważniejsze byty dwie sprawy: jego nieśmiertelność i nałóg śpiączkowy.

Pieniądze.

Nie miał ich.

Nieśmiertelność.

Stanowiła atut niezależnie od przyszłości, którą obiecywała, jednak nie wiedział jeszcze, w jaki sposób atut ten wykorzystać najmądrzej. Zatem – trzymać to w tajemnicy.

Jak?

Pod przebraniem. Za kogo?

Oczywiście za siebie samego. Za Sama Reeda, lecz nie Sama Reeda Nieśmiertelnego. Za Sama takiego, jak powinien wyglądać w wieku osiemdziesięciu lat... Łączyła się z tym kwestia pieniędzy. Bo jedynym sposobem zdobycia pieniędzy był powrót do starych melin i najwcześniejszych praktyk. Nie powinien zdradzać swego najcenniejszego sekretu. Zaczęły mu świtać pomysły, jak wspaniale mógłby wykorzystać tę tajemnicę. Jeszcze zdąży to przemyśleć. Ma przeogromną ilość czasu, jeśli tylko zdoła wystarczająco szybko to ocalić.

Przede wszystkim jednak – trochę pieniędzy, trochę informacji.

Zdobycie informacji było łatwiejsze i mniej niebezpieczne. I najpilniejsze. Jak najszybciej musi się dowiedzieć, co się z nim działo podczas tych czterdziestu lat, czy przestano o nim pamiętać, kiedy i w jaki sposób? Z pewnością nie był już postacią publiczną, wciąż jednak istniało pytanie: gdzie się znajdował przez czterdzieści lat?

Na skrzyżowaniu zmienił kierunek i Szlak zaczął go nieść w stronę najbliższej biblioteki. Po drodze zastanawiał się nad sprawą pieniędzy. Gdy Rosathe sypnęła mu w twarz usypiającym proszkiem, był bardzo bogatym człowiekiem. Część tych sum zapisana była na jego nazwisko, ale większość fortuny znajdowała się w czterech prywatnych kryjówkach. Prawdopodobnie przynajmniej jedna z nich pozostała nie naruszona, trzeba by jednak sprawdzić, czy może wziąć pieniądze tylko pod swoim nazwiskiem. To, co czekało czterdzieści lat, poczeka jeszcze kilka godzin.

Nie miał nawet kilku groszy, żeby zapłacić w bibliotece za oddzielne pomieszczenie lub kabinę, ulokował się więc przy jednym z długich stołów i podawszy się ku przodowi ukrył twarz między

dźwiękoszczelnymi przegrodami wystającymi z środkowej ścianki. Przytknął oczy do wizjera i czekał nacisnąwszy włącznik.

Na powiększającym ekranie zaczęła się kronika filmowa sprzed czterdziestu lat. Były to wiadomości z ostatnich siedmiu dni, które pamiętał.

Rip van Winkle byłby w stanie odzyskać orientację przeczytawszy gazetę sprzed dwudziestu pięciu lat. Nie dowiedziałby się, co wydarzyło się od czasu, gdy usnął, ale świat, w którym się obudził, odzyskałby dzięki temu swą trwałość. Ta nieaktualna kronika była jedyną rzeczą w całej Twierdzy i na całej planecie, która mogła przywrócić Samowi Reedowi równowagę. Niebezpieczeństwo i obcość czyhały wszędzie poza biblioteką, ponieważ tak ogromnie zmieniły się punkty odniesienia.

Najbardziej zmieniły się rzeczy drobne – przyzwyczajenia, moda, język – odchylenia od sztucznych norm zauważa się natychmiast. Natomiast odchylenia od norm podstawowych często pozostają nie zauważone.

Pojawiająca się przed oczami Sama przeszłość tak wyraziście wydawała się terażniejszością, że niemal czuł zapach nasennego proszku, jakby Rosathe tylko co sypnęła mu nim w twarz. Gdy pomyślał o tym, zaczęło go nagle dusić suche pragnienie i ponownie uświadomił sobie, jak ważny jest pośpiech. Przycisnąwszy czoło do wizjera przyspieszył bieg filmu.

SAM REED ZAŻYWA NARKOTYCZNY PROSZEK! Słabiutki głos z przeszłości dźwięczał mu upiornie w uszach, a trójwymiarowe obrazki szybko się przesuwaly. Sam Reed, menadżer współrządzający Kolonią na lądzie, zrezygnował dzisiaj z kariery i ku zdumieniu wszystkich, którzy go znali, zażył narkotyk senny... odnaleziono go, jak błądził po mieście...

Wszystko tam było. Śledztwo, które nastąpiło po jego niewątpliwym samobójstwie, skandal, jaki wybuchł, gdy zaczęły wychodzić na jaw jego oszustwa. Cztery dni po zniknięciu Sama, po tym, jak kilkunastu zasługujących na zaufanie świadków widziało go w stanie znarkotyzowania, sypnęła się sprawa z Kolonią.

Robin Hale, Wolny Żołnierz, miał zamknięte usta. Cóż mógł powiedzieć? Fakt sprzedania trzystu procent akcji przemawiał głośniejsz niż jakiegokolwiek słowa o tym, że organizatorzy Kolonii wiedzieli, iż zamierzenie nie może się udać. Hale zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić – starał się uspokoić burzę; jak wiele już razy w czasie swego długiego życia, gdy uspokajał burze spowodowane przez ludzi lub rozsiałałe na lądzie tornada. Oczywiście, było to niemożliwe. Emocje zbyt się rozwibrowały. Zbyt wielu ludzi uwierzyło w Kolonię.

Gdy sprawa ta wybuchła, niewiele pozostało.

Na nazwisku Sama Reeda spoczął główny ciężar hańby. Był nie tylko oszustem, w dodatku uciekł – całkowicie się poddał i zniszczył samobójczo uciekając w narkotyczną śpiączkę. Nikt nie pytał: dlaczego? Krok ów był nielogiczny. Głowy manipulatorów znajdujących się za tymi opowieściami nie traciły czasu, czasu, który mógłby umożliwić ludziom zastanowienie się nad tym wszystkim. Jeśli sprawa Kolonii skazana była na klęskę, Sam powinien poczekać, by wyciągnąć swe nielegalne trzysta procent z bezpiecznego schowka. Samobójstwo mogło dowodzić jego obaw, iż sprawa Kolonii się uda – nikt jednak o tym nie pomyślał. Wydawało się, iż w strachu przed zdemaskowaniem wybrał najszybszy sposób ucieczki.

Zaczęto badać jego postępowanie krok po kroku i odkryto kryjówki z wyłudzonymi pieniędzmi, których nie zabezpieczył wystarczająco sprytnie. A w każdym razie nie w stosunku do techniki stosowanej w Twierdzach i przez Nieśmiertelnych. Wszystkie cztery skrytki zostały znalezione i

opróżnione. Stare kroniki podały szczegóły.

Sam odchylił się w tył i zamrugał powiekami w półmroku biblioteki. A zatem był skończony.

Dostrzegał ręce Klanu Harkerów za tą grą sprzed czterdziestu lat. Powrócił widok twarzy Zachariasza, Jakby to było przed godziną, gładkiej i uśmiechniętej twarzy na ekranie, odległej jak twarz boga patrzącego na kruchych śmiertelników. Oczywiście Zachariasz dokładnie wiedział, co robi. Był to jednak dopiero początek rozgrywki. Sam był pionkiem, który został wykorzystany i zlikwidowany na początku gry. Zaczął oglądać dalszy ciąg kroniki, żeby dowiedzieć się, jakie były pozostałe ruchy.

Zaskoczyło go, że Robin Hale dalej działał i założył Kolonię na lądzie – przy braku powszechnego poparcia, a nawet przy zdecydowanej wrogości. Posiadał tylko jedną broń. Wciąż miał kredyt zaufania, którego nie byli w stanie mu odebrać zwłaszcza po odzyskaniu pieniędzy ukradzionych przez Sama. Hale z uporem musiał popychać sprawę naprzód odkładając swe dalekosiężne zamiary – podobnie jak uczyniły to Klany – czekając, aż nadejdzie czas, gdy drobne skandale przejdą do przeszłości i będzie mógł rozpocząć od początku z nową generacją, pokonać Klany w walce o tę generację, podobnie jak zrobił to ostatnio, choć na krótko.

Tak, Kolonia ruszyła. Znamienne jednak, jak mało informacji zanotowano na ten temat. W Twierdzy Delaware wydarzyło się jakieś sensacyjne morderstwo, zaczęto grać jakąś nową sztukę i na terenie całej podmorskiej Wenus tłumy waliły po bilety, po czym – jak stwierdził Sam – przez całe tygodnie kronika w możliwie najkrótszy sposób kwitowała fakt, iż Kolonia zaczęła funkcjonować.

Było to, oczywiście, zamierzone. Harkerowie wiedzieli, co robią.

Sam zatrzymał kronikę i zaczął rozmyślać. Będzie musiał zmienić swe teoretyczne plany, ale nieznacznie. W dalszym ciągu potrzebował pieniędzy, i to szybko. Z trudem przełknął ślinę pokonując głód narkotyku. Ukryte pieniądze przepadły. Co mu zostało? Tylko on sam, jego własne doświadczenie, bezcenny sekret, którego nie powinien zmarnować – i co jeszcze? Przypuszczał, że stara przepustka na ląd wydana czterdzieści lat temu na jego nazwisko wciąż jest w kartotece, ponieważ przepustki były stałe. Nie może zażądać jej we własnym imieniu, a

niezręcznie byłoby zrobić to pod innym nazwiskiem. Hm, zajmiemy się tym później.

A teraz – pieniądze. Sam zacisnął wargi. Wstał i wyszedł z biblioteki lekkim krokiem w poszukiwaniu broni i ofiary. Zdobycie dwóch lub trzech tysięcy kredytów przy pomocy włamania wiązałoby się ze zbyt poważnym ryzykiem, mógłby jednak przy pomocy zwykłego napadu w parku zdobyć dwadzieścia lub trzydzieści kredytów – jeśli dopisze mu szczęście.

Miał szczęście. Miał je również ogłuszony przez niego człowiek, któremu czaszka nie pękła od uderzenia napchaną kamieniami skarpetką. Sam, który uważnie się kontrolował, stwierdził z zaskoczeniem, że chyba był w lepszym stanie pod względem fizycznym, niż miał prawo oczekiwać. Na ogół ofiary śpiączkowego narkotyku stopniowo stają się przed śmiercią wychudłymi mumiami. Wynikało z tego następne pytanie – jakiego rodzaju życie wiódł w czasie czterdziestu lat narkotycznego oszołomienia?

Znowu zaczęło dręczyć go wspomnienie owego człowieka w uliczce. Gdybyż był wtedy na tyle przytomny, żeby nie puszczać jego kołnierza, dopóki z tego obserwatora, który stał przy nim wyczekująco, nie wytrząśnie potrzebnej informacji! W swoim czasie i na to przyjdzie kolej.

Z czterdziestoma trzema banknotami w kieszeni skierował kroki do pewnego przedsiębiorstwa, które znał czterdzieści lat temu. W dawnych czasach ludzie trzymali tam język za zębami i pracowali

wydajnie, a w Twierdzach zmiany zachodzą powoli. Przypuszczał, że zostanie wszystko na swoim miejscu.

Po drodze minął sporo wielkich, nowych salonów, gdzie mężczyźni i kobiety upiększali się w sposób wysoce wyrafinowany. Niewątpliwie wzrosło na to zapotrzebowanie. W Twierdzach wyraźnie rzucała się teraz w oczy fircykowatość. Wszędzie widziało się mężczyzn z wykwintnie ufryzowanymi brodami i w lokach. Zamiar Sama wymagał jednak ustronności i dyskrecji. Szedł do półlegalnego przedsiębiorstwa i nie zdziwił się stwierdziwszy, że w dalszym ciągu funkcjonuje.

Zatrzymawszy się przed wejściem poczuł zdenerwowanie. Najwyraźniej nikt go jednak na Szlakach nie rozpoznał. Czterdzieści lat temu dzięki telewizji twarz jego była w Twierdzach szeroko znana, ale teraz...

Racjonalizm stał się nawykiem ludzkiego umysłu. Jeśli patrząc na niego dostrzegali znajome rysy, automatycznie dochodzili do wniosku, iż jest to po prostu uderzające podobieństwo, nic więcej. Podświadomość zawsze steruje świadomością w stronę wniosku najbardziej logicznego, narzucanego przez skojarzenia ze zbliżonymi doświadczeniami. Czasami rzeczywiście zachodzą zdumiewające podobieństwa. To naturalne. Ujrzenie na Szlaku Sama Reeda takiego, jak czterdzieści lat temu, nie wydawało się rzeczą normalną. A wielu z tych, których mijał, nie było jeszcze na świecie podczas fiaska Kolonii albo patrzyli wtedy na Sama Reeda obojętnymi, dziecięcymi oczami. Natomiast ci, którzy mogli pamiętać, byli dziś starzy, mieli słaby wzrok, a na ich rozplywające się wspomnienia nałożyło się od tego czasu wiele twarzy z życia publicznego.

Tak, był bezpieczny, chyba że miałby pecha. Wszedł energicznie przez szklane drzwi i wyjaśnił obsługującemu, o co mu chodzi.

– Stałe czy tymczasowe?

– Tymczasowe – powiedział Sam po zastanowieniu.

– Do szybkiego zmieniania? – Wśród klientów przedsiębiorstwa istniało zapotrzebowanie na zabiegi charakterystyczne, które dawały się szybko zmieniać.

– Tak.

Artysta przystąpił do pracy. Był nie tylko specjalistą od charakteryzacji, ale również anatomem i trochę psychologiem. Zgodnie ze wskazówkami nie ruszał łysej głowy Sama. Zmienił kolor rudych brwi i rzęs, farbując je na kolor burosiwawy, tak iż mogły uchodzić za ciemne lub jasne, zależnie od ogólnego wyglądu. Przy brodzie wyglądały na brudnobiałe. Broda stała się brudnym, spłowiałym kłębem.

Zmienił nos i uszy Sama, tak jak zmieniłby je czas. Przy pomocy sztucznej tkanki umieścił we właściwym miejscu kilka zmarszczek. Większość twarzy skryła broda, jednak gdy artysta skończył, nad tą poszarzałą zasłoną widać było osiemdziesiąt lat ciężkiego życia.

– Przy szybkiej zmianie trzeba zdjąć brodę i zmienić wyraz twarzy – powiedział. – Sztucznej tkanki nie da się szybko usunąć, można jednak wygładzić zmarszczki przez odpowiedni grymas. Proszę spróbować. – Przetoczył krzesło z Samem przed lustro i kazał mu to ćwiczyć, dopóki obaj nie byli zadowoleni.

– W porządku – powiedział w końcu Sam. – Potrzebne mi ubranie.

Poprzestali na trzech rzeczach: kapeluszu, płaszczu, butach. O wyborze tym przesądziła prostota i praktyczność. Każda z tych rzeczy miała specjalne walory. – Fason kapelusza można było zupełnie zmienić przez zgniecenie i skręcenie. Płaszcz był z tkaniny gęstej i ciemnej, ale tak cienkiej, iż można było go zwinąć i wepchnąć do kieszeni. Założony zwisał luźno, ukrywając fakt, iż znajdujące się pod

nim ciało nie było ciałem starca. Sam musiał przećwiczyć odpowiedni sposób poruszania się. Buty miały kolor nieokreślony, podobnie jak kapelusz, ale z wielkich ciemnych sprzączek po rozpięciu wyskakiwały bufiaste niebieskie kokardki.

Sam opuścił zakład tylnymi drzwiami. Poruszając się sztywno jak człowiek odczuwający brzemień osiemdziesięciu lat, powrócił do biblioteki. Obserwując swe odbicie w mijanych oknach stwierdził, że jest zdecydowanie dobrze zakonserwowanym osiemdziesięcioletkiem, czerstwym i dziarskim mężczyzną, ale starym, tak – starym. W sam raz.

Teraz chciał zapoznać się z informacjami o przestępstwach.

Grupy przestępcze są swego rodzaju koczownikami -jeśli patrzeć na nie z takiej perspektywy jak Sam. Przemieszczają się w miarę zaspokajania potrzeb, przenoszą ku bujniejszym pastwiskom. Słuchając wiadomości telewizyjnych Sam uświadomił sobie, iż Droga Błękitna, która czterdzieści lat temu była ulicą nędzy, przestała nią być. Natomiast same przestępstwa specjalnie się nie zmieniły. Wzór pozostał ten sam. Występek zmienia się w ciągu stuleci mniej niż cnota.

W końcu zorientował się, gdzie znajduje się teraz miejsce wypasu. Kupił fiolkę rozpuszczalnej w wodzie czerwonej farby i wysoko wydajną bombę -dymną. Instrukcja na bombie podawała sposób użycia przy niszczeniu insektów w hydroponicznych ogrodach. Sam nie czytał jej – używał tego rodzaju bomb już dawniej.

Następnie musiał wybrać miejsce nadające się do zastawienia pułapki.

Potrzebne mu były dwie uliczki położone blisko siebie i wychodzące na niezbyt ruchliwy Szlak. W jednej z tych uliczek znajdowała się pewna piwnica, którą znał. Podobnie jak dawniej była opuszczona. Przy wejściu schował kilka znalezionych kawałków metalu wielkości pięści, a w piwnicy przygotował miejsce do ukrycia bomby dymnej. Teraz mógł wykonać następny krok.

Nie pozwalał sobie na zastanawianie się nad ilością czekających go jeszcze kroków. Gdy zaczynał o tym myśleć, uświadamiał sobie, iż ma mnóstwo czasu – teraz! – a to wywoływało w nim mgliste, podniecające marzenia, zupełnie nie związane z bezpośrednią koniecznością określenia swej przyszłości. Przypomniawszy więc sobie, że jest narkomanem i potrzebuje pieniędzy na leczenie.

Udał się do dzielnicy melin i, łyknął ostrej whisky, najtańszej, jaka była. Przy tym cały czas był świadomy, że jest starcem. Istniało kilka drobnych trików. Pamiętał, żeby przed mówieniem nie zaczerpywać powietrza. Starzy ludzie mają krótki oddech i głosowi ich brakuje dźwięczności. Rezultat brzmiał przekonująco. Poruszał się powoli i ostrożnie, starając się myśleć o każdym ruchu przed jego wykonaniem. Utykanie nie jest dowodem leciwości, natomiast jest nim działanie będące rezultatem poprzedzającego go zastanowienia. Starzec musi poruszać się powoli, ponieważ trzeba się zastanawiać, czy sztywne nogi i słabe mięśnie dadzą sobie radę z trudnościami. Świat jest równie niebezpieczny dla bardzo starego jak i dla bardzo młodego, dziecko nie zdaje sobie jednak sprawy z niebezpieczeństwa siły ciężkości.

Sam więc nie trząsał głową ani nie kuśtykał. Brakowało mu jednak tchu i wyraźnie nie był już w stanie szybko się poruszać – był starym człowiekiem, który siedział w Perle Wenus i pociągając whisky spokojnie się upijał.

Była to melina. Kolorowa melina, jakich wiele być musiało w Cesarskim Rzymie, śmietnik strojów i obyczajów przenikających z wyższych sfer tak, że dostrzegało się tu i ówdzie blask połacanego pasa, lśniącokrwesty szkarłat czapki ozdobionej piórami, fałdę tęczowego płaszcza.

Zasadniczo jednak Perła Wenus służyła do picia, hazardu i znacznie gorszych celów. Ludzie z wyższych sfer uprawiali hazard posługując się fantastycznymi urządzeniami, czyli tak zwanymi

ulepszeniami w starodawnych grach hazardowych. Można tam było spotkać ruletkę, w której stosowano kulkę radioaktywną i liczniki Geigera oraz rozgrywaną przy pomocy kart i żetonów grę w Imperium, w której zdobywało się wyimaginowane imperia galaktyczne.

W Perle Wenus były również gry mechaniczne, głównie jednak grało się w to samo, co zawsze – w kości i karty. Twarzy Sama nie znał, ale typy – tak. Niektórzy bywalcy siedzieli byle gdzie, inni stale zwrócenii byli twarzami ku drzwiom. I ci interesowali Sama. Podobnie jak gra w karty na moment przed zakończeniem. Gracze byli zbyt pijani, żeby zachowywać czujność. Sam wziął swój kieliszek i zaczął kibicować. Po chwili przyłączył się do gry.

Zdziwił się nieco stwierdziwszy, iż używano kart innych niż te, którymi grano dawniej – z jedną stroną o jednolitym wzorze i drugą z twarzami figur. Były większe i ozdobione ezoterycznymi obrazkami taroku. Dawne, dawne karty z czasów mglistej, ziemskiej przeszłości zaczynały w czasach młodości Sama wracać do mody, zaskoczyło go jednak, iż w ciągu czterdziestu lat aż tak się wysublimowały.

Starannie wybrał sobie graczy, by móc wygrywać bez ostentacyjności, a oni byli tak zaabsorbowani kartami, że jego własna gra zyskiwała na prawdopodobieństwie. Granie przy pomocy gwiazdek pięcioramiennych i kielichów zamiast kolorów karo i kier było dość kłopotliwe, chociaż obiektywnie rzecz biorąc ani trochę bardziej niezwykle.

Stawki nie były wysokie, ale Sam nie spodziewał się tu zysków. Pod tym względem karty były zbyt niepewne. Pieniądze potrzebne mu były tylko po to, żeby wyrzucić wrażenie, i rzeczywiście udało mu się stworzyć pozory, iż znacznie więcej ma poupychane w kieszeniach. W tym zmieniającym się stale półświatku nędzny wygląd nie był żadnym miernikiem statusu finansowego.

Sam pozwolił, żeby gra się zakończyła, protestując słabym głosem starca. Wyszedł powoli z Perły Wenus i stanął zamyślony, lekko się chwiejąc. Dla mężczyzny, który wyszedł za nim, musiało to wyglądać na skutek libacji.

– Hej, dziadku, nie miałbyś ochoty usiąść jeszcze do gry? Sam spojrzał na niego czujnie. – Naganiacz?

– Nie.

Uspokoiło to Sama. Taki zwolennik gry na raty mógłby być dla niego zbyt kosztowny. Pozwolił się namawiać zachowując oczywiście czujność, dopóki nie stwierdził, że miejscem przeznaczenia nie była jakaś ciemna uliczka, lecz trzeciorzędna melina, którą pamiętał z przeszłości jako restaurację.

Wciągnięto go do pokera, tym razem z bardziej znanymi mu kartami. Grając z trzeźwymi ludźmi nie próbował sztuczek, w rezultacie stracił wszystkie pieniądze i nie był w stanie zapłacić za tackę frytek. Jak zwykle Sam Reed sprzedał trzysta procent swych akcji.

Zaprowadzili go do człowieka o nazwisku Doc Mallard, który był niskim mężczyzną o krótkiej szyi i twarzy brązowej od pachnącej xremu. Doc Mallard chłodno spojrzał na Sama. – O co chodzi? Nie biorę kredytów.

Sam uświadomił sobie nagle, iż czterdzieści lat temu człowiek ten był zielonym chłopcem uczącym się rzeczy, które on sam znał już od dawna. Przeżył dziwną chwilę zmienionej, niemal przerażającej perspektywy psychologicznej, tak jakby spoglądał na Mallarda z kolosalnej odległości lat. Był nieśmiertelny...

Ale bezbronny. Postarał się, aby jego głos przestawszy być pijacki pozostał starczy, i powiedział: – Porozmawiajmy na osobności.

Mallard przyglądał mu się z przenikliwością, która rozbawiła Sama. Gdy znaleźli się sami,

spytał zdecydowanie: – Słyszał pan kiedykolwiek o Samie Reedzie?

– Reed...? Reed...? A, ten gość od Kolonii. Oczywiście. Zaćpał się, prawda?

– Nie całkiem. W każdym razie nie na długo. Sam Reed to ja.

Nie dotarło to do Mallarda. Najwyraźniej szukał w pamięci szczegółów tego dawnego skandalu z czasów swej młodości. Ponieważ jednak sensacja z Kolonią należała do wyjątkowych w historii Twierdzy, oczywiście po chwili przypomniał ją sobie.

– Reed nie żyje – powiedział niebawem. – Każdy wie...

– Sam Reed to ja. Nie jestem trupem. Oczywiście byłem pod wpływem narkotyku, ale można się z tego wyleczyć. Przez długi czas byłem na łądzie. Właśnie wróciłem.

– Jakieś krętactwo?

– Nie dla pana, Mallard. Wycofałem się. Wspomniałem o tym, żeby udowodnić, iż jestem wypłacalny.

Mallard zadrwił: – Niczego pan nie udowodnił. Z łądu nikt nie wraca bogaty.

– Zrobiłem pieniądze tutaj, zanim się wyniosłem. -Sam spojrzał chytrze.

– Wszystko na ten temat pamiętam. Rząd znalazł pańskie skrytki. Nie mogło panu zostać ani grosza. – Mallard go drażnił.

Sam zmienił ton. – Nazywa pan siedemdziesiąt tysięcy niczym!? – krzyknął ze starczym gniewem.

Mallard skrzywił się pogardliwie na łatwość, z jaką zaszachował starego głupca.

– Skąd mam wiedzieć, że Sam Reed to pan? Może pan to udowodnić?

– Odciski palców...

– Zbyt łatwo podrobić. Ale rogówka... – zawahał się Mallard. Najwyraźniej bił się z myślami. Po chwili jednak powiedział coś do mikrofonu. Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś mężczyzna z ogromnym aparatem fotograficznym. Sam na jego prośbę spojrzał w obiektyw i na chwilę został oślepiony. Dość długo czekali w milczeniu.

Przenośny głośnik zaburczał przed Mallardem. Odezwał się w nim metaliczny głos: – W porządku, Doc. Obraz zgadza się z kartotekami. To jest ten człowiek.

Włączywszy mikrofon Mallard powiedział: – Dobra, wejdźcie chłopcy. – Drzwi otworzyły się i weszli czterej mężczyźni. Mallard rzucił im przez ramię: – To jest Sam Reed, chłopcy. Chce nam dać siedemdziesiąt tysięcy papierków. Namówcie go do tego, dobra?

I ci czterej fachowo ruszyli ku Samowi.

Metody trzeciego stopnia niewiele się zmieniły. Tu, w podejrzanym mieszkaniu, polegano na zwykłym fizycznym bólu, co na ogół działało. Podziało też w przypadku Sama. Wytrzymał ból na tyle, na ile stać było starszego człowieka, a następnie załamał się i zaczął mówić.

Był jeden niedobry moment, kiedy obawiał się, że odpadnie mu broda. Artysta jednak znał swój fach. Sztuczna tkanka trzymała się mocno i będzie się tak trzymała, dopóki Sam nie użyje zawartości trzymanej w kieszeni buteleczki przypominającej uchwyt ramienia gramofonu.

Oddychając krótko i ciężko, odpowiadał na pytania Doca Mallarda.

– Miałem... podwójną skrytkę. Otwieraną kluczem z korium...

– Przez jaką ilość?

– Jeden-przecinek... jeden-przecinek-trzy-cztery...

– Dlaczego nie wyciągnął pan wcześniej tych siedemdziesięciu tysięcy?

– Właśnie... właśnie wróciłem z łądu. Znaleźli wszystkie skrytki. Wszystkie, oprócz tej... a nie mogę otworzyć jej bez korium. Gdzie dostanę... tyle korium? Jestem zrujnowany. Siedemdziesiąt tysięcy papierków – a nie mogę kupić klucza, żeby otworzyć zamek! – Samowi załamał się głos.

Mallard podrapał się w ucho.

– To sporo korium – powiedział – no, ale jest to najbezpieczniejszy zamek świata.

Sam przytaknął na zawartą w tej uwadze pochwałę z gorliwością właściwą starym ludziom. – Nie otworzy się bez precyzyjnej ilości promieniowania radioaktywnego skierowanego na zamek. Kiedyś byłem zręczny. Trzeba znać dokładną ilość. Nie można naświetlać na chybił-trafił. Trzeba wiedzieć...

– Jeden-przecinek-trzy-cztery, co? – przerwał mu Mallard. – Sprawdź, ile by to kosztowało – zwrócił się do jednego ze swych ludzi.

Sam usiadł głębiej, a broda ukryła jego uśmiech. Był to zimny uśmiech. Nie podobał mu się Mallard ani jego metody. Zaczynał wracać dawny gniew, który towarzyszył mu przez pierwszych czterdzieści lat – ta jakże znana niecierpliwość, pragnienie, aby zmiażdżyć wszystko, co stoi mu na drodze. A teraz Mallard... Zacisnąwszy palce ukryte w fałdach płaszcza pomyślał, jak przyjemnie byłoby zatopić je w tej grubej, wysmarowanej na brązowo szyi.

I wtedy po raz pierwszy przyszła mu do głowy dziwna, nowa myśl. Czy morderstwo stanowiło wystarczającą zemstę – dla Nieśmiertelnego? Teraz otworem stanęły przed nim inne sposoby. Mógł przyglądać się, jak jego wrogowie powoli umierają. Mógł pozwolić im się starzeć.

Bawił się tą myślą o czekaniu na właściwy moment. Czas – jak wiele go ma i jak mało! Musi korzystać z niego krok po kroku, tak aby wykorzystać swą nieśmiertelność.

Krok za krokiem poszedł z bandą do skrytki.

Każdy z tych kroków był sztywny, osiemdziesięcioletni.

W piwnicy Sam, wahając się, wskazał Docowi, gdzie należy umieścić ładunek korium. Było to korium U233 – zaktywizowany tor – i z pewnością nie służyło do zabawy. Nie mieli go zbyt dużo. Niewiele było potrzeba. Znajdował się w specjalnie izolowanym pudełku, zbyt dużym, aby włożyć je do kieszeni, a Doc przyniósł składany ekran ochronny – jedyną osłonę, jaka była niezbędna w czasie krótkiego, jednorazowego naświetlenia. Ustawił ją w miejscu wskazanym przez Sama.

W piwnicy oprócz Sama znajdowało się czterech ludzi – Doc Mallard i trzech jego kumpli. Wszyscy byli uzbrojeni. A Sam nie był. Na zewnątrz w uliczce stał jeszcze jeden człowiek, czujka. Jedyne, co zdołał zrobić teraz Sam w ramach swych przygotowań, to wetrzeć w nasadę włosów brody płyn „destabilizujący”. Dzięki temu da się ją zerwać jednym szarpnięciem.

Było tak cicho, że słyszało się tylko oddechy. Sam zaczął robić głębokie wdechy magazynując rezerwę tlenu, której zapewne wkrótce będzie potrzebował. Przyglądał się, jak Mallard ostrożnie ustawia ekran i pudełko z korium przypominające staromodny aparat fotograficzny, miało ono zresztą, podobnie jak aparat, przesłonę i czasomierz.

– Tutaj? – zapytał Mallard stukając koniuszkami palców w ścianę z plastikowych cegieł.

Sam skinął głową.

Mallard nacisnął właściwy guzik i cofnął się za osłonę. Klik-klik!

I to wszystko.

Sam odezwał się pospiesznie: – Skrytka jest tam, gdzie mówiłem. Nie przy zamku. – Zrobił krok

naprzód z wyciągniętą ręką, ale jeden z mężczyzn chwycił go za ramię.

– Tylko nam pokaż – powiedział – przy szmalu może być zadekowana broń.

Sam im wskazał. Mallard sprawdził końcami palców luźną cegłę. Odetchnął z zadowoleniem.

Wyciągając cegłę zaczął mówić: – Myślę...

Sam wciągnął głęboko powietrze i nie zamykał oczu akurat tak długo, żeby dostrzec buchającą ze skrytki chmurę dymu. Kątem oka upewnił się co do położenia pudełka z korium. Następnie zaczął działać.

Poruszał się szybko słysząc zaniepokojone głosy a następnie huk wystrzału. Jasna smuga nie ugodziła go. Wyczuł pod dłonią ostre kandy pudełka z korium, schylił się i drugą ręką wyciągnął inną obluźowaną cegłę ze ściany. Korium znalazło się w tej awaryjnej skrytce, a cegła łatwo wsunęła się z powrotem w otwór.

– Strzelać bez przerwy! – usłyszał krzyk Mallarda. -W kierunku drzwi. Pollard! Nie wchodź tu! Zatrzymaj Reeda...

Sam był już za drzwiami i otworzył oczy. Absolutnie nic nie widział w gęstym, buchającym przez próg dymie, słyszał natomiast głos żałośnie wypyującego się Pollarda -czujki. Przykucnął szukając kanciastej bryły metalu, którą tu zadekował. Zniknęła. Nie – wyczuł ją pod dłonią. Palce jego zacisnęły się pieścizotliwie na zimnym, twardym stopie. Zdążył podnieść i cofnąć rękę akurat w chwili, gdy ujrzał Pollarda przez rzadniejące smugi dymu.

Tamten miał w ręku broń. Sam krzyknął: – Gdzie Reed?! Czy...

To wystarczyło. Palec zawahał się na języku spustowym, gdy Pollard starał się zidentyfikować niewyraźną postać wyłaniającą się z dymu. Broń Sama przygotowana już była do uderzenia. Grzmotnął nią w twarz Pollarda. Poczuł, jak trzaska kość, i usłyszał głuchy, zdławiony jęk, gdy Pollard odchylił się w tył i zaczął padać. Sam przeskoczył przez ciało, zanim dotknęło ziemi. Przebiegł kilka metrów i skoczył za węgiel. Natychmiast zerwał z siebie płaszcz i brodę. Rzeczy te, wsadzone do kieszeni, nie wypychały jej zbyttnio. W dalszym ciągu biegł. Zerwał z głowy kapelusz, zgrabnie wyrzucił go na drugą stronę i z powrotem wcisnął na głowę. Miał nowy kształt i kolor. Sam wbiegł na ścieżkę i odwrócił się w kierunku, z którego przybiegł. Dwoma pospiesznymi ruchami rozpiął sprzączki przy butach tak, iż ukazały się jasne kokardy, które zmieniły ich wygląd. Nie musiał wykorzystywać sztucznego, czerwonego barwnika. Na ręce miał krew – nie własną. Rozmazał ją wokół ust i na policzkach.

Odwrócił następnie głowę i patrzył za siebie, dopóki nie usłyszał dudniących kroków.

Z alei wybiegł Doc Mallard i jeden z jego kompanów. Stanęli rozglądając się i ujrzawszy Sama skoczyli ku niemu. Z alei wyszedł jeszcze jeden mężczyzna i pobiegł za Mallardem. W ręku miał broń.

Sam poklepał się lekko po policzku, zamruczał i zrobił nieokreślony gest ku tyłowi. Odezwał się: – Cze... czego...? – Jego głos nie był już starczy.

Z alei wyszedł czwarty mężczyzna. – Pollard nie żyje! -krzyknął.

– Stul pysk – powiedział Mallard zaciskając usta. Spojrzał na Sama. – Gdzie on poszedł? Ten stary...

– W tamtą stronę – odrzekł Sam wskazując kierunek. – On... wpadł na mnie od tyłu. Ja... leci mi krew z nosa. – Na potwierdzenie tego dotknął nosa i spojrział na mokre palce. – Tak. W tamtą stronę.

Mallard nie czekał. Zebrał swoich ludzi i ruszył uliczką wskazaną przez Sama. Sam rozejrzał

się. Ulica była prawie pusta, tylko jakiś człowiek zbliżał się ku niemu z przeciwnej strony.

Sam wstał i gestem ręki powstrzymał Dobrego Samarytanina. – Wszystko w porządku! – zawołał. – Nic mi nie jest. – Ocierając krew z twarzy zaczął się oddalać.

Skręcił w uliczkę, z której wybiegł. Nie musiał się spieszyć. Mallard będzie polował na starego człowieka w przekonaniu, iż dogoni powoli poruszającego się osiemdziesięciolatka. Później Mallard wróci do tej piwnicy, ale nie tak od razu, przypuszczał Sam.

Wciąż buchał z niej dym. Potknął się o ciało Pollarda, dzięki czemu ustalił, gdzie są drzwi. Zorientowawszy się po ciemku w rozkładzie piwnicy, odnalazł luźną cegłę. Wyciągnął ją, wyjął pudełko z korium i wsadził cegłę na miejsce. Wszedł niosąc korium i trzydzieści sekund później znalazł się na najszybszej wstędze najszybszego Szlaku, szybko oddalając się od Doca Mallarda i spółki.

Co dalej?

Korium nadawało się do spieniężenia, ale na pewno nie oficjalnie. Łup powinien zostać upłynniony za pośrednictwem nielegalnych kanałów. Sam nie przypominał już starego człowieka, który oszukał Mallarda. Tym niemniej wołał nie uczestniczyć w tej transakcji – dopóki nie umocni swej pozycji. Mallard będzie węszył za podziemną sprzedażą korium i zechce je odzyskać.

Jakie kanały zostały się po czterdziestu latach?

Te same – kierowane jednak przez inne osoby. Nic to nie dawało, ponieważ w takiej transakcji najważniejsze było trafienie do odpowiednich ludzi. Po czterdziestu latach tacy ludzie nie mogliby być dalej szefami. Oczywiście z wyjątkiem Harkerów – Klanu Nieśmiertelnych. Sam skrzywił się i oblizwał wargi czując znowu suchość języka.

A zatem kto?

Przez trzy godziny jeździł Szlakami coraz bardziej rozwścieczony tym łatwym i prostym problemem, który kompletnie go zablokował. Oszukał Doca Mallarda na kilka tysięcy papierków. Miał w ręku korium. Stracił jednak wszystkie kontakty.

Był coraz bardziej głodny i spragniony. Nie miał ani grosza. Wszystko stracił przy kartach. Dostawał szału na myśl, że załatwia go tak prymitywna sprawa jak głód. Był Nieśmiertelny!

Jednak i Nieśmiertelni bywają głodni.

Te pospolite drobiazgi! Tak wiele było do zrobienia, tak wiele mógł teraz zrobić – otwierała się przed nim droga bez kresu – i nie jest w stanie zrobić niczego, dopóki nie wyleczy się z narkomanii.

I tak szukając po omacku dotarł w końcu do człowieka, który zajął się nim wiele lat temu.

Nie było nic dziwnego w fakcie, że Krętacz wciąż mieszkał w tej samej obskurnej dziurze w jakimś zakątku Twierdzy. Zadziwiające natomiast było, że jeszcze żył.

Tego Sam się nie spodziewał. Nie spodziewał się tak bardzo, iż zapomniał się ucharakteryzować.

Krętacz był w łóżku, jego monstrualnie otyłe ciało leżało na materacu, miał opuchniętą, sinawą twarz. Ciężko pociągał nosem. Przyjrzał się bacznie Samowi swymi małymi, złośliwymi oczkami.

– W porządku – wysapał. – Wejdz, chłopcze.

Pokój był plugawy. Stary człowiek na łóżku, sapiąc i mrugając powiekami, próbował się podnieść. Zrezygnowawszy z tego niewykonalnego zadania opadł w tył i spojrział na Sama.

– Daj mi łyka – wykrztusił.

Sam wziął ze stołu butelkę i otworzył. Kaleka zaczął łapczywie pić. Na zapadniętych policzkach pojawił się rumieniec.

– Posługaczka nigdy mnie nie słucha – wymamrotał. -Czego chcesz?

Sam przyglądał mu się z wyższością i zaskoczeniem. Ta monstrualna istota wydawała się tak nieśmiertelna jak sami Nieśmiertelni, ale była to jakaś potworna nieśmiertelność, której nie pragnąłby nikt przy zdrowych zmysłach. Musi już mieć ze sto lat – pomyślał Sam ze zdumieniem.

Podszedł do łóżka i wyjął butelkę z bezwładnej ręki Krętacza.

– Tak nie wolno. Oddaj to. Potrzebuję...

– Najpierw odpowiedz na kilka pytań.

– Oddaj butelkę.

– Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

Krętacz zaczął grzebać w brudnym legowisku. Gdy wyciągnął rękę, w tłustej dłoni trzymał pistolet. W sposób stanowczy wycelował w Sama małe wyloty lufy.

– Dawaj butelkę, chłopcze – miękko odezwał się Krętacz.

Sam wzruszył ramionami i podał mu ją z uczuciem uspokojenia. A zatem ten stary gość ma jeszcze trochę bigła. Może jednak trafił we właściwe miejsce.

– Słuchaj, Krętacz – powiedział – czy wiesz, ile czasu minęło, od kiedy widziałeś mnie ostatnio?

Z bezkształtnych warg wydobyło się prychnięcie. – Kawał czasu, synu. Kawał czasu. Trzydzieści... nie, niemal czterdzieści lat, co?

– Przecież mnie znałeś. Nie zmieniłem się. Nie zestarzałem. A ty nawet się nie zdziwiłeś. Musiałeś o mnie wiedzieć, Krętacz. Gdzie byłem?

Ogromne, przewalające się cielsko zadygotało od głębokiego chichotu. Łóżko zaskrzypiało. -

– Myślisz, że naprawdę istniejesz? – spytał Krętacz. – Nie bądź głupcem. Ty mi się śnisz, no nie? – Wyciągnął rękę i poklepał opalizującą kulę wielkości pięści. – To jest to, chłopcze. Dopóki masz przy sobie Pomarańczowego Diabła, nie czujesz żadnego bólu, choćby nie wiem co ci dolegało.

Sam podszedł i popatrzył na jasny proszek wewnątrz kuli.

– Aha – powiedział.

Krętacz zerknął na niego małymi, przenikliwymi oczkami w fałdach tłuszczu. W oczach tych pokazał się błysk. -Jesteś prawdziwy, co? – mruknął. – Tak myślę. W porządku, synu, teraz jestem zaskoczony.

Sam przyglądał się pomarańczowemu proszkowi. Wiedział, co to jest. Narkotyk osłabiający zdolność odróżniania obiektywnego od subiektywnego tak, iż wytwory wyobraźni stają się dla człowieka niemal rzeczywiste. Nadzieją, którą miał przez chwilę, znowu zgasła. Nieprawdopodobne, żeby dowiedział się od Krętacza, gdzie spędził te zgubione czterdzieści lat.

– Co się z tobą stało, Sam? – wysapał Krętacz. – Powinieneś już dawno nie żyć.

– Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest sypanie mi w twarz narkotycznym proszkiem. To było czterdzieści lat temu. Ale nie zmieniłem się!

– Proszek usypiający... to nie utrzymuje młodości.

– A czy cokolwiek utrzymuje? Czy w ogóle istnieje jakikolwiek sposób, który mógłby zachować mnie w takim stanie jak... ten?

Łóżko znowu wezbrało potężnym chichotem.

– No pewno – powiedział Krętacz. – No pewno. Trzeba być zrobionym z odpowiedniego materiału – wtedy żyje się tysiąc lat.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Sam poczuł nagle, że drży. Nie miał dotychczas czasu, żeby zastanowić się nad tym wszystkim. Obudził się, był młody, podczas gdy powinien być stary, ergo był nieśmiertelny. Ale nie zastanawiał się jeszcze dlaczego i w jaki sposób tak się stało. Dzięki jakiejś głębokiej, podświadomej pewności przyjął, iż podobnie jak długonodzy Nieśmiertelni, i on posiada możliwość życia przez tysiąc lat. Ale dotychczas wszyscy Nieśmiertelni byli smukli, wysocy, zgrabni...

– Zawsze byłeś łysy? – zapytał znacząco Krętacz i gdy Sam przytaknął nieznacznym skinieniem, ciągnął dalej: – Może to skutek chorób, jak byłeś mały. Albo i nie. Kiedy cię poprzednio znałem, miałeś tu i ówdzie kilka niewielkich blizn. Teraz widzę, że większość zniknęła. Ale Krętacz jest sprytny, chłopcze. Dawno temu słyszałem różne plotki – aż do tej chwili nie łączyłem ich z tobą. Pewna kobieta, lekarz, kiedyś coś robiła przy jakimś niemowlęciu i dostała za to Szatę Szczęścia.

– Co robiła? – zapytał Sam ostro.

– Jakieś rzeczy z hormonami. Coś ci to mówi?

– Tak – powiedział Sam ponuro. Poczuł ucisk w gardle i pulsowanie krwi w skroniach i w szyi. Podeszedłszy do plastikowego krzesła, chwycił je i złamał na kolanie. Twardy plastik łamał się ciężko, zadrasnął mu trochę dłoń i otarł nogę. Ostateczny trzask krzesła przyniósł ulgę.

Niewystarczającą, ale jednak. Z ogromnym wysiłkiem stłumił w sobie tę jałową wściekłość okiełznując ją jak wilka z bajki, żeby czekała na swój czas. Ostrożnie odstawił krzesło i spojrzał na Krętacza.

– Jestem Nieśmiertelny – powiedział. – Oto, co mi to mówi. Wyglądałbym jak oni, gdyby... gdyby ktoś nie przekupił tej lekarki. Kto to zrobił?

Całe posłanie się zatrzęsło. – Nie mam pojęcia! – Krętacz niespokojnie przewalał się z boku na bok. – Daj mi jeszcze łyka.

– Przecież masz butelkę – burknął Sam. – Słuchaj, zapomnij o tej nieśmiertelności. Ja się tym wszystkim zajmę. Przyszedłem do ciebie w innej sprawie. Czy masz jeszcze swoje kontakty?

– Zachowałem je – odrzekł Krętacz przechylając butelkę.

Sam pokazał mu pudełko, które zabrał ludziom Mallarda. – To jest korium. Potrzeba mi dwa tysiące papierków. Weź sobie wszystko, co będzie ponad to. Przypilnuj, żeby transakcja była dyskretna.

– Skradzione? – zapytał Krętacz. – Lepiej podaj mi nazwisko, żebym się nie rąbnął.

– Doc Mallard.

Krętacz zachichotał. – W porządku, chłopcze. Załatwię to. Nastaw ten ekranik.

– Spieszę się.

– Przyjdź za godzinę.

– Dobra. Jeszcze jedno – nikt poza tobą nie wie, że jestem młody. – Sam wyciągnął z kieszeni skołtunioną brodę i pomachał nią.

– Rozumiem. Zaufaj Krętaczowi, chłopcze. Zobaczymy się za godzinę.

Sam wyszedł.

W szpitalu będzie musiał podać nazwisko. Czy rozpoznają w nim oszusta z dawnych czasów Kolonii? Ktoś mógłby. W kartotece znajdował się obraz jego oczu, zarejestrowano więc i inne dane identyfikacyjne. Zwykły człowiek, dostrzegając w nim dalekie podobieństwo, przypisze to czystemu przypadkowi. Ale w szpitalu znajdzie się pod znacznie dokładniejszą obserwacją, z pewnością zbyt ścisłą, aby móc nadal udawać osiemdziesięciolatka.

Nagle Samowi przyszło na myśl, iż tylko jeden człowiek mógłby przypominać go w sposób prawdopodobny i jednocześnie być w wieku, na który i on teraz wyglądał. Jego własny syn. .

Nie miał syna, to prawda. Ale mógł mieć. Wiedziano powszechnie, iż niscy osobnicy nie byli nieśmiertelni, co nie przeszkadzało się im rozmnażać. Mógł więc zachować swą drogocenną tajemnicę i przy niewielkiej charakteryzacji funkcjonować dalej jako syn Sama, Reeda.

Pod jakim imieniem? Z mnóstwa lektur czytanych zachłannie w owych latach, jakby dopiero co zakończonych, przypominał sobie proroka Samuela, którego najstarszy syn nosił imię Joel.

A było imię *jego pierworodnego Joel...**

Imię dobre jak każde inne. Nazywa się więc Joel Reed...

Trzydzieści pięć minut później stał przed szpitalnym okienkiem przyjęć osłupiały ze zdumienia i gapił się przed siebie, a jego mózg gorączkowo starał się znowu funkcjonować. Był jednak zbyt gwałtownie i całkowicie zdezorientowany. Tkwił więc jedynie w miejscu powtarzając bezsensownie: – Co? Co pan powiedział?

Młody dyżurny powtórzył cierpliwie: – Wypisaliśmy pana dziś rano jako zdrowego.

Sam otworzył i zamknął usta. Nie był w stanie nic powiedzieć.

Młody człowiek bacznie na niego spojrzał. – Amnezja? – wyraził przypuszczenie. – Rzadko się to zdarza, a!e... może chce pan porozmawiać z lekarzem?

Sam skinął głową.

– Sześć tygodni temu – powiedział mężczyzna w gabinecie – przywieziono tu pana w celu przeprowadzenia

* *Biblia*, Księgi Królewskie, VIII, 1 (wszystkie cytaty z *Biblii* w tłumaczeniu ks. J. Wujka).

kuracji. Przekazał parta I wpisał człowiek, który podał nazwisko Evans. Nie podał stałego adresu, oświadczył, że zatrzymał się przejazdem w hotelu. Jeśli pan chce, może pan spróbować go później poszukać. Opłatę uregulowano anonimowym przekazem poleconym, tuż przed pańskim przybyciem. Przy przyjęciu wyglądał pan na człowieka w dobrym stanie fizycznym. – Lekarz powołał się znowu na leżącą przed nim księgę przyjęć. – W czasie przeprowadzania kuracji był pan znarkotyzowany. Wypisano pana dziś rano. Był pan całkowicie normalny. Zgłosił się po pana jakiś człowiek, inny niż poprzednio, chociaż również podał nazwisko Evans. To wszystko, co mogę panu powiedzieć, panie Reed.

– Ale... – Sam potarł czoło w oszołomieniu – dlaczego zapomniałem o tym? Co to znaczy? Ja...

– Niestety, na czarnym rynku jest wiele amnezyjnych preparatów – odrzekł lekarz. – Miał pan tu przyzwoite ubranie, a w kieszeni sto banknotów. Czy po obudzeniu się znalazł je pan?

– Nie. Ja...

– Prawdopodobnie obrabowano pana.

– Tak, ja... na pewno tak było. – Sam aż zmrużył oczy na myśl o tym, w jak wiele sposobów można człowieka doprowadzić do nieprzytomności – sypnięcie proszkiem w twarz w jakiejś bocznej uliczce, uderzenie w głowę... Co prawda rabusie rzadko kiedy troszczyli się o wsadzenie na

ogłoconą ofiarę własnych łachmanów, ale poza tym historyjka ta brzmiała prawdopodobnie.

Tylko ten człowiek, który czekał obok w momencie, gdy Sam się obudził.

Wstał, wciąż lekko oszołomiony. – Gdybym mógł dostać adres, który dał panu ten Evans...

Nic mi to nie da – myślał patrząc na zagryzoloną karteczkę, podczas gdy ruchomy Szlak wolno ślizgał się pod jego stopami unosząc go coraz dalej od szpitala. Ktokolwiek był sprawcą tajemniczego łańcucha wydarzeń, które doprowadziły go aż tutaj, z pewnością skutecznie zatarł wszystkie ślady.

Czterdzieści lat temu ktoś zaaplikował mu usypiający proszek. Zachariasz Harker – tego był pewien. Sygnał dała Kedre Walton, ale stał za tym Zachariasz. *G/os ten jest głosem Jakuba, ale ręka ta jest ręką Ezawa**

Czy to Harker pilnował go przez te czterdzieści lat? Może Kedre? Według lekarza, ktoś wykonał tę pracę bardzo starannie. Ktoś w końcu zapłacił za wyleczenie go, wypisał ze szpitala – oraz obrabował i ogłosił do tego stopnia, że gdy Sam się obudził, posiadał pod względem materialnym dokładnie tyle, ile w momencie przyjścia na świat.

Nawet mniej – bo wtedy miał prawa przysługujące mu z tytułu urodzenia. No, pod tym względem jednak go nie wykołowali. I Sam poczuł nagle przyływ dumy, że gdyby istniał Joel Reed, byłby znacznie wyższy od ojca, miałby długie, proste nogi, byłby smukły i elegancki jak sam Zachariasz, byłby Nieśmiertelny pod względem fizycznym i pod względem swego dziedzictwa.

Poczuł niemal bolesne napięcie umysłu, gdy próbował spojrzeć w czekający go bezmiar lat. Gdy myślał teraz o Krętaczu, dostrzegał go z zupełnie nowej, niemal przerażającej perspektywy czasu. Było to dziwnie podobne do uczucia, jakie mógł mieć w stosunku do kota lub psa. Zawsze miał poczucie, które od teraz będzie mu nieustannie towarzyszyło, że czas życia zwykłego człowieka jest zbyt krótki.

Nic dziwnego, iż Klany stały się zwartymi klikami. Przecież tylko dla równego sobie można odczuwać prawdziwą przyjaźń lub miłość nieskażone litością. Na tym polegała pradawna przepaść między bogami i ludźmi. Nic, co nieśmiertelne, nie było sobie obce.

Nie załatwiało to jego aktualnych kłopotów. Oto znajduje się tutaj dzięki czyjejś cichej zgodzie, dzięki łasce czyjegoś kaprysu. Czyjej? Gdybyż zdołał przytrzymać tego człowieka w zaułku do chwili odzyskania pełnej świadomości! Ktoś celowo wybawił go ze stanu nieświadomości i puścił wolno bez grosza i w łachmanach – dlaczego? Zeby zobaczyć, co zrobi? Byłby to pomysł godny Boga. Zachariasz? Rozejrzał się bezradnie po tłumie, który wraz z nim znajdował się na Szlaku. Czy któraś z

* *Biblia*, Genesis, XXVII, 2.

tych twarzy ukrywa baczne zainteresowanie jego zachowaniem? A może nieznany opiekun poczuł się zmęczony i postawiwszy go na nogi odszedł?

Dowie się o tym we właściwym czasie. Lub nie dowie się nigdy.

Wspaniałym rezultatem kilku ostatnich godzin były w każdym razie pieniądze, które miał w kieszeni – dwa tysiące banknotów do własnej dyspozycji. Jakby niechcący udało mu się zrobić następny krok. Teraz trzeba wyrównać kilka starych porachunków, zająć się kilkoma szczegółami, a później – Nieśmiertelność!

Nie chciał o tym myśleć, zastanawiać się nad przeogromną złożonością i fantastycznymi możliwościami łączącymi się z nowym, długim życiem. Zamiast tego skupił uwagę na dwóch ludziach o nazwisku Evans, którzy doprowadzili go do szpitala i zabrali stamtąd. Krętacz powinien rozpocząć

poszukiwania w tej sprawie – zanotował w pamięci. Rosathe. Również i tu Krętacz byłby użyteczny. Innymi sprawami zajmie się osobiście.

Poczuł suchość w gardle. Zaśmiał się do siebie. Nie było to sztuczne pragnienie wywołane brakiem narkotyku. Sam siebie musi o tym po prostu przekonać. W każdej chwili może ugasić pragnienie wodą – upewniał się. Zszedł ze Szlaku przy najbliższej stacji pogotowia i rzucił się na chłodną wodę, odświeżająco chłodną, cudownie kojącą, pijąc aż do utraty tchu.

Spojrzał na rozświetlony Szlak, na górujące w dali budynki migocące światłami, i poczuł, że coś go rozpiera coraz bardziej i bardziej, aż zaczęło mu się wydawać, iż to nowe poczucie nie może pomieścić się w Twierdzy. Spojrzał na kopułę z impervium starając się przeniknąć wzrokiem znajdujące się nad nią płytkie morze i mrok, i migocącą pustkę, poza które nigdy jego spojrzenie nie sięgnęło. Tyle jest teraz do zrobienia. Nie musi się spieszyć. Ma czas. Niezmierzone bogactwo czasu.

,Czas, żeby zabijać.

*Kości jego napelnione są grzechami młodości jego, a w prochu z nim leżeć będą. A choć złość słodnieje w ustach jego...**

**Biblia, Księga Hioba, XX, 11-12.*

Przerwał kontemplację otoczenia i znalazł się w ramionach dwóch umundurowanych mężczyzn, którzy na podeście przy Szlaku podeszli od tyłu. Mundury nie zmieniły się – należały do policji rządowej i – zanim padło jakiegokolwiek słowo, Sam wiedział, że nie ma sensu się kłócić.

Był zresztą raczej zadowolony, gdy starszy z nich błysnął mu przed nosem wygrawerowaną odznaką i powiedział: – Proszę z nami. – Wreszcie ktoś zrobił jakiś konkretny ruch. Może teraz znajdzie odpowiedź na niektóre dręczące go pytania.

Ruszyli z nim Szlakiem szybkiego ruchu w kierunku centrum Twierdzy. Wśród błyszczących wokół świateł miasta ludzie przyglądali się im z zaciekawieniem. Sam przytrzymał się poręczy, żeby zachować równowagę, przy twarzy czuł nieznaną mu dotąd trzepotanie włosów rudej peruki rozwiewanych przez podmuch spowodowany szybkością. Z zainteresowaniem i niecierpliwością obserwował kierunek, w którym zmierzali.

W każdej Twierdzy Nieśmiertelni zamieszkiwali kilka wysokich kolorowych wież w centrum miasta otoczonych pierścieniem ogrodów za murami. Policjanci prowadzili Sama prosto ku wysokim, rozświetlonym siedzibom Klanu Harkerów. Nie zdziwiło go to. Było nieprawdopodobne, żeby Zachariasz, nakazawszy czterdzieści lat temu zniszczenie Sama, nie pilnował go przez następne czterdzieści lat. Z drugiej strony wydawało się niemożliwe, że Zachariasz w ogóle pozwolił mu żyć. Sam wzruszył ramionami. Wkrótce powinien dowiedzieć się prawdy.

Poprowadzili go przez małe, tylne drzwi w najwyższej, wieży, po przezroczystych, plastikowych schodach, pod którymi płynął do ogrodów strumień siwej wody, a w nim czerwone i złote rybki, długie błękitnocętkowane węgorze, warkocze kwitnących roślin wodnych.

U stóp schodów czekała niewielka, poślaczana winda. Dwaj policjanci wsadzili do niej Sama i bez słowa zamknęli za nim drzwi. Ujrzał jeszcze przez szklaną tafłę, jak ich obojętne twarze znikają w dole. I został sam w klatce, która z łagodnym szumem wznosiła się ku wierzchołkowi wieży Harkerów.

Na ścianach windy znajdowały się lustra. Sam,

czując się trochę niezręcznie w roli Joela Reeda, zastanawiał się, czy osoba czekająca na niego na górze wie już, że jest on Samem Reedem. Charakteryzacja była dobra. Nie mógł wyglądać dokładnie jak jego domniemany ojciec, istniało jednak silne, naturalne podobieństwo. Ruda peruka

równoważyła krzaczaste rude brwi, przycięte teraz i trochę przyglądzone. Komplet koronek na zębach zmienił zarys dolnej części twarzy. Szkła kontaktowe sprawiły, iż oczy z szarych stały się jasnobłękitne. I nic więcej.

Szkła kontaktowe spełniały taką samą funkcję psychologiczną jak ciemne okulary – dawały Samowi poczucie zamaskowania. Może przez nie patrzeć, ale jego nikt nie może dostrzec. Bez takiej osłony trudno wytrzymać bezpośrednie spojrzenie, jeśli ma się coś do ukrycia.

Ucisk na podeszwy stóp zmniejszył się. Winda zwalniała. Zatrzymała się, drzwi się rozchyliły i Sam wyszedł na długi korytarz, którego ściany i sufit stanowiła gęstwa zielonych liści. Od strony świecących ścian przez liście miękko przedostawał się blask sztucznego światła dziennego. Rośliny wyrastały z hydroponicznych pojemników znajdujących się pod podłogą, a u góry przytrzymywała je drucziana siatka. Od kołyszących się wokół liści kwiatów i owoców płynął na całą altanę wonny powiew. Dla zwykłego człowieka z Twierdzy było to nieprawdopodobnie egzotyczne.

Sam szedł ostrożnie wzdłuż cichego korytarza uchy-lając się przed liśćmi muskającymi go po twarzy. Jak wszyscy wychowani na Wenus ludzie instynktownie obawiał się groźnych płodów ładu i nie ufał im.

Z drugiego końca korytarza dochodziło przyjemne dzwonienie i szmer płynącej wody. Sam zatrzymał się na progu pomieszczenia, do którego doprowadzał tunel, i przyglądał się w zdumieniu.

Pomieszczenie to było również altaną. Zwisające liście ozdobione były kiściami kwiatów, a powietrze było ciężkie od ich zapachu. Podłogę natomiast stanowiło woda. Błękitna woda, płytkie jezioro na jakąś stopę głębokie, które zajmowało pokój od ściany do ściany. Jedne kwiaty

odbijały się w jego powierzchni, inne unosiły się na niej. Wśród pływających liści przemykały drobne rybki. Jedna lub dwie lśniące meduzy leżały nieruchomo na błękitnej wodzie jak niebezpieczne, zwiewne kawałki strojnych tkanin.

Brzegi basenu spinał filigranowy most ze szkła wyglądający jak smuga mrozu na szybie. Jego jeden kraniec znajdował się u stóp Sama, drugi zaś przy niskiej znajdującej się po przeciwnej stronie komnaty platformie pokrytej poduszkami. Na poduszkach leżała na brzuchu jakaś kobieta, jedna jej ręka spoczywająca na krawędzi basenu zanurzona była aż po łokieć, akurat rozpryskiwała bowiem lśniącą wodę. Twarz jej zakrywały włosy, których kręcone końce zanurzały się w wodzie. Były to bardzo jasne, zielonozłote włosy, zupełnie nierealne w tym swoim kolorze i połyskliwości lustra wody.

Sam znał ją. Smukłe linie ciała Kedre Walton, leniwe ruchy, kształt jej głowy i rąk nie pozostawiały wątpliwości, chociaż miała zakrytą twarz. Dlaczego znajdowała się w fortecy Harkerów, dlaczego sprowadziła go tutaj, miało się dopiero okazać.

– Kedre? – odezwał się.

Uniosła głowę. Samowi na chwilę zakręciło się w głowie. Była to Kedre – i nie Kedre. Ta sama delikatna, wąska i pogardliwa twarz o przesłoniętych powiekami oczach i tajemniczych egipskich ustach – a przecież patrzyła na niego inna osoba. Jakaś złośliwa, strasznie chwiejna osobowość – pomyślał przy pierwszym spojrzeniu.

– Nie, jestem Sari Walton – odrzekła kobieta o jasnych włosach, uśmiechając się złośliwie. – Kedre jest moją babką. Przypominasz sobie?

Przypominał sobie. Sari Walton, która dawno temu opierała się władczo na ramieniu Zachariasza, gdy ten rozmawiał z nim o zamordowaniu Robina Hale. Sam prawie jej wtedy nie zauważył. Poszukał szybko w pamięci – i przede wszystkim przypomniał sobie ową wrogość,

wrogość między Sari i Kedre, skrywaną, lecz silną, gdy obie piękne kobiety o bliźniaczo podobnych twarzach siedziały naprzeciwko siebie.

– W porządku – powiedział. – Co to znaczy? – Wiedziała już wszystko. Joel Reed nie mógł pamiętać sceny, w której uczestniczył Sam Reed. Sari wie, kim jest. Wie zatem, że on również jest nieśmiertelny.

– Podejź tu. – Sari zrobiła gest białą, mokrą od wody ręką. Usiadła na poduszkach podwijając nogi. Sam spojrzał z powątpiewaniem na szklany most. – Utrzyma cię. No, chodź. – W głosie Sari zabrzmiała drwina.

Most utrzymał, chociaż przy każdym kroku wydawał delikatne dźwięki. Na gest Sari Sam z wahaniem zajął obok niej miejsce na poduszkach, ale siedział sztywno, całą swą postawą odrzucając to egzotyczne gniazdko i bajkową altanę o podłodze z wody.

– Jak mnie odnalazłaś? – zapytał szorstko. Roześmiała się przechylając na bok głowę, aż zielonozłote

włosy przesłoniły ją niby kurtyna. W jej oczach i śmiechu było coś, co mu się bardzo nie podobało.

– Kedre czuwała nad tobą przez te czterdzieści lat – powiedziała. – Ostatnio wysledzili cię chyba na podstawie archiwalnego zapisu twoich oczu. W każdym razie znaleźli cię, a przecież tylko o to chodzi, prawda?

– Dlaczego nie ma tu Kedre?

Znowu zaśmiała się, śmiechem lekko zabarwionym złościwością. – Ona nie wie. Oto dlaczego. Tylko ja wiem.

Przyjrzał się jej uważnie. W oczach Sari było wyzwanie, a w całym zachowaniu jakaś nieobliczalna kapryśność, co do której nie wyrobił sobie jeszcze zdania. Dawniej stosował jedną tylko odpowiedź na tego rodzaju problemy. Szybkim, miękkim ruchem wyciągnął rękę i zacisnął palce na jej przegubie tak, iż straciwszy równowagę upadła na kolana giętka niby wąż. Nieprzyjemnie oślizgła, zwinęła się w jego uścisku i wybuchnęła kpiącym śmiechem.

Z męskim, agresywnym zdecydowaniem dotknęła dłonią policzka Sama i przyciągnęła jego głowę. Pozwolił jej na to, ale pocałunek, którego się domagała, wykonał z dzikością. Następnie z gniewem w oczach gwałtownie zepchnął ją z kolan.

Znowu się zaśmiała. – Kedre nie jest jednak taka głupia – powiedziała dotknąwszy wargi delikatnym palcem.

Sam wstał i kopnął leżącą przed nim poduszkę. Bez słowa wszedł na dźwięczący most i zaczął się oddalać.

Kątem oka zauważył, jak Sari Walton z gibkością węża zerwała się na nogi. – Wróc – powiedziała.

Sam szedł dalej. W chwilę później usłyszał przy uchu świst i poczuł palący podmuch pocisku z miniaturowej broni. Znieruchomiał w obawie przed następnym strzałem. I rzeczywiście. Świst i płomień musnęły drugie ucho. Były to świetne strzały – zbyt świetne jak na gust Sama. Nie odwracając głowy powiedział: – Dobrze, wracam. Muszę usłyszeć, jak odrzucasz broń.

Dobiegło go miękkie uderzenie o poduszki i niemal równocześnie miękki śmiech Sari. Sam odwrócił się, ruszając ku niej.

Stojąc obok niej musiał odchylić głowę do tyłu, żeby móc patrzeć jej w oczy. Nie podobało mu

się to. Nic mu się w Sari nie podobało, najmniej jej zarozumiała agresywność, która od niepamiętnych czasów stanowiła cechę mężczyzny, a nie kobiety. Wyglądała równie krucho jak ten most ozdobiony wzorami mrozu, równie delikatnie kobieco jak większość chronionych kobiet – była jednak jedną z Nieśmiertelnych i do jej rasy należał świat. Czas wielu pokoleń pracował na to, aby utrwaliły się w niej cechy takiej złośliwości i pewności siebie.

Ale – czy rzeczywiście? Sam przyglądał się jej bacznie i na chwilę wszystko przesłoniła mu pewna myśl. Ta piękna, krucha istota w przeciwieństwie do Kedre wydawała _ się zdumiewająco niedojrzała. Tak – to była właśnie niedojrzałość. To z niej brała się kapryśność i skłonność do złośliwości, które wyczuwał. Zdawał sobie sprawę, że owa dojrzałość Nieśmiertelnych musi formować się bardzo, bardzo długo. Zapewne i jemu brakowało jeszcze wiele pod tym względem, ale zaprawa z młodych lat ułatwiała mu stanie się dorosłym.

Nic dziwnego, że Sari – mająca zawsze poczucie bezpieczeństwa, uprzywilejowania i niemal boskich możliwości – robiła wrażenie rozchwianej, zanim ostatecznie utrwaliły się w niej cechy dojrzałości o wielu wiekach tradycji. Pomyślał, że nigdy nie utrwali się do końca. W istocie nie była osobą zrównoważoną. I nigdy nie stanie się kobietą, którą się lubi lub której się wierzy. Teraz miała jednak więcej słabych punktów, niż przypuszczał. I w głosie Sama zaczął kiełkować podstępny plan wykorzystania słabostek przeciwnika.

– Siadaj – rozkazał jej Sam.

Podniosła obie ręce nad zielonozłotą głowę, żeby zerwać kiść jasnych, podobnych do winogron owoców zwisających na gałązce pnącza. Sam dostrzegł poprzez nie jej ruchliwe palce – owoce były niemal przezroczyste i w środku małych kulek prześwitywały niebieskie nasiona. Uśmiechnęła się do niego i opadła na kolana z ową aż nienaturalną miękkością.

Sam spojrzał na nią. – W porządku – powiedział. -No więc, dlaczego mnie tu sprowadziłaś? Jeżeli to Kedre wydała rozkazy, dlaczego nie ma jej tu zamiast ciebie?

Sari włożyła do ust jasną, szklistą kulkę i zgryzła ją. Wypluła niebieskie pestki. – Powiedziałam ci, że Kedre nic nie wie. – Spojrzała na niego spod ciężkich powiek. Miała oczy bardziej jasnyniebieskie niż Kedre. – Nakazu aresztowania nie było przez czterdzieści lat. W tym tygodniu Kedre jest w Twierdzy Newada.

– Czy została zawiadomiona?

Sari potrząsnęła głową, a lśniące, niezwykle włosy miękko się zakołysały. – Nikt o tym nie wie prócz mnie. Chciałam ciebie zobaczyć. Zachariasz byłby wściekły, gdyby się dowiedział. On...

– Zachariasz kazał uśpić mnie narkotykiem – przerwał jej Sam niecierpliwie, chcąc jak najszybciej wyrobić sobie pogląd na całą tę sprawę. – Czy Kedre brała w tym udział?

– Zachariasz kazał ciebie otruć – sprostowała Sari uśmiechając się do niego. – Chciał, żebyś umarł. Kedre powiedziała: nie. Pokłócili się o to potwornie. – Uśmiech jej zrobił się tajemniczy, jakby rozkoszowała się miłym wspomnieniem. – Kedre zamieniła to na narkotyczny proszek – ciągnęła po chwili dalej. – Nikt nie mógł zrozumieć dlaczego. Po tym wszystkim na nic nie mogłeś się jej przydać, ani żywy, ani martwy, ani młody, ani stary. – Głos jej ucichł łagodnie. Siedziała trzymając w palcach przezroczysty owoc w pół drogi do ust i nie poruszyła się przez długą chwilę.

Sama uderzyła nagła, zaskakująca myśl. Uklęknął prz«d nią, podstawił pod jej brodę palec i obróciwszy twarz ku sobie, zajrzał w oczy. I na chwilę aż zachłysnął się poczuciem triumfu.

– Narkotyki! – powiedział cicho. – A niech mnie szlag trafi! Narkotyki!

Z gardłowym śmiechem Sari pochyliła się, żeby oprzeć czoło o jego ramię, a jej oczy błyszczały

owym dziwnym, lśniącem blaskiem tak charakterystycznym dla narkomanów.

Wyjaśniało to bardzo wiele – jej chwiejność, dziwną obojętność, fakt, iż nie zdawała sobie do końca sprawy z niezwykłej młodości' Sama. Jakże to dziwne, pomyślała, i jakże znamienne, że obie spotkane osoby, pamiętające go sprzed wielu lat, były zamroczone narkotycznymi wizjami.

Sari odepchnęła go. Włożyła owoc do ust nie zdając sobie sprawy, iż w czynności tej nastąpiła przerwa, wypluła pestki, uśmiechnęła się z ową ostrą, zjadliwą złośliwością bez żadnego powodu. Oczywiście nie zwróciła uwagi na jego niewytłumaczalną młodość. Była przyzwyczajona do widoku twarzy, które nie zmieniały się przez dziesięciolecia. A przy działaniu narkotyku głównym objawem jest pogodna, pozbawiona wątpliwości akceptacja wszystkiego, co się widzi. Ale teraz w każdej chwili mogła odzyskać jasność umysłu. A Sam musiał dowiedzieć się jeszcze wielu rzeczy.

– Kedre zastąpiła trucizną proszkiem usypiającym -powiedział. – Czy później kazała komuś mnie pilnować?

Zielonkawę włosy rozpostarły się jak chusta, gdy Sari potrząsnęła głową.

– Miała taki zamiar. Myślę, że zajął się tym Zachariasz. Kedre była tego pewna. Gdy jej ludzie zaczęli cię szukać – zniknąłeś. Od tego czasu nie było cię – aż do teraz. Gdzie byłeś, Samie Reed? Mogłabym cię chyba polubić, Sam. Zdaje się, że już wiem, dlaczego Kedre wysłała swoich ludzi, by cię znaleźli i wyleczyli. Ja...

– Co robisz tu, w domu Harkerów?

– Mieszkam – Sari zaśmiała się, w śmiechu tym zabrzmiał jakiś paskudny ton, i nagie zacisnęła wokół kiści owoców delikatne dłonie o długich palcach. Bezbarwny sok wyprysną! spomiędzy palców. – Mieszkam tu z Zachariaszem – powiedziała. – On pragnie Kedre. Ale ponieważ nie może jej mieć, ja ją zastępuję. Któregoś dnia pewno zabiję Zachariasza. – Znowu słodko się uśmiechnęła, a Sam zastanawiał się, czy Zachariasz zdaje sobie sprawę z jej stosunku do niego i tego, że jest narkomanką. Wątpliwe. Ta kombinacja dawała mieszankę wybuchową.

Zaczął już myśleć o tym, jak świetna okazja mu się nadarza, ale od razu ogarnęły go poprzednie wątpliwości. Czy było to jednak przypadkowe? W jakim stopniu wszystko, co działo się z nim od chwili przebudzenia, było rezultatem świadomego planu? Wciąż nie znajdował wytłumaczenia obecności owego obserwatora w uliczce. A człowiek ten wiedział, co robi. To, co dotychczas przydarzyło się Samowi Reedowi, wynikało z jakiegoś precyzyjnego planu, a nie z narkotycznych majaczeń.

– Dlaczego mnie sprowadziłaś? – nalegał. Sari chlapała ręką w wodzie, żeby zmyć lepki sok. Musiał ponownie zapytać, zanim zareagowała. Spojrzała na niego z jasnym, nieobecnym uśmiechem.

– Z ciekawości. Już od dłuższego czasu podglądam prywatne życie Kedre. Ona nie wie o tym. Gdy przyszła wiadomość, że cię znaleźli, pomyślałam, że warto by... że mogłabym cię wykorzystać. Przeciwno Kedre albo przeciwno Zachariaszowi – jeszcze nie jestem pewna. Pomyślę o tym później, nie teraz. Teraz myślę o Zachariaszu. I o Harkerach. Nienawidzę Harkerów, Samie. Nienawidzę wszystkich Harkerów. Nienawidzę nawet siebie, ponieważ jestem w połowie Harkerem. Tak, myślę, że wykorzystam cię przeciwko Zachariaszowi. – Pochyliła się ku Samowi dotykając jego ramienia zasłoną zielonozłotych włosów i spoglądając nań spod ciężkich powiek błyszczącym spojrzeniem jasnoblękitnych oczu.

– Również nienawidzisz Zachariasza, prawda, Samie? Powinieneś. Chciał cię otruć. Jak myślisz, co by go najbardziej zabolalo? Gdyby Kedre wiedziała, że żyjesz – i jesteś młody. Młody? – Jej wąskie brwi ściągnęły się w krótkiej chwili zdumienia. Był to jednak temat wymagający

zastanowienia, a stan Sari nie pozwalał na zajmowanie się poważnymi problemami. W tej chwili funkcjonowały jedynie najgłębsze warstwy jej świadomości, te, które działają automatycznie, bez sterującej nimi woli.

Nagle odrzuciła do tyłu głowę i zachłystnąwszy się niemal śmiechem spojrzała na Sama mętными oczami. -To cudowne! – wykrzyknęła. – Mogę ukarać ich oboje, no nie? Teraz, skoro żyjesz, Zachariasz będzie musiał czekać, aż Kedre zmęczy się tobą. A Kedre nie będzie mogła cię mieć, jeśli nie będzie wiedziała, gdzie jesteś. Samie, czy mógłbyś odejść i gdzieś się schować? W jakimś miejscu, gdzie nie mogliby cię znaleźć ludzie Kedre? Samie, proszę, idź i schowaj się! Dla Sari. Sari będzie taka szczęśliwa!

Sam wstał. Most zadzwonił dźwięcznie pod jego krokami, był to piękny, delikatny akompaniament do śmiechu Sari. Przechodząc przez okratowany korytarz poczuł na twarzy pachnący powiew. Winda czekała tam, gdzie z niej wysiadł. Nikogo nie zauważył, gdy wyszedł z niej na dole i zszedłszy po szklanych schodach nad szumiącym strumieniem znalazł się na zewnątrz.

Oszołomiony, wszedł na najbliższy ruchomy Szlak i na chybił—trafił pozwolił mu się nieść przez miasto. Ostatnia przygoda miała nieść wszystkie cechy snu. Musiał intensywnie o niej pomyśleć, żeby upewnić się, iż w ogóle się zdarzyła. Na pewno zawierała w sobie załączek ogromnej szansy, musi tylko wyodrębnić z niej rzeczy istotne.

Harkerowie mają słaby punkt, o którym nie wiedzą – Sari. A jeżeli Sari rzeczywiście jest z rodu Harkerów, wynika z tego również większa nawet słabość. Bo Sari na pewno nie jest normalna. Narkotyki i ewentualna niedojrzałość jej umysłu tylko częściowo wyjaśniają ową rozdygotaną chwiejność samego jądra jej osobowości. Fakt ten otwierał w myśleniu Sama nowe perspektywy. Zatem nawet Nieśmiertelni nie byli w pełni odporni, nawet w ich dziedzicznych cechach znajdowały się ukryte słabości.

Istniały dwa dyskretne sposoby, które umożliwiają mu zastawienie pułapki na Zachariasza. Trzeba je będzie zbadać. Przyjdzie na to czas później.

W tej chwili przede wszystkim powinien się ukryć, dopóki wszystkiego nie przemyśli. Im dłużej Sam zastanawiał się nad tym, tym bardziej skłonny był do odwiedzenia Kolonii, gdzie Robin Hale sprawował swą jałową władzę.

Zapewne Hale od razu by go zastrzelił. Ale czy zastrzeliłby Joela Reeda? O Samie nie wiedział nikt oprócz Sari, któż jednak zgadnie, co Sari uczyni pod wpływem wariackich pomysłów, zanim oh znajdzie się twarzą w twarz z Halem? Powinien działać szybko.

I tak zrobił.

Najbardziej zaskakujące w Kolonii było to, że równie dobrze mogła znajdować się pod wodą.

Dotychczas Sam Reed ani razu nie miał nad sobą otwartego nieba. Najpierw była to kopuła Twierdzy zrobiona z impervium, a nad nią warstwa wody. Następnie – kabina samolotu ze stopu i plastiku. Później – ogromne budowle Kolonii z urządzeniami zabezpieczającymi przed infekcją – osłony z promieni ultrafioletowych, rozpylacze kwasów i tak dalej – a teraz stał na lądzie Wenus. Zaś przezroczysta kopuła z impervium wywoływała tęczę, gdy tylko słabe słońce przedzierało się przez pokrywą chmur. Powietrze pachniało podobnie. Było to ostrzeżenie. Powietrze na Wenus zawierało mało tlenu i dużo dwutlenku węgla. Nadawało się do oddychania, ale nie było zbyt dobre i natychmiast się je rozpoznawało. Tutaj, pod kopułą, składniki atmosfery zostały starannie dobrane. Przed bujnym szaleństwem, którego pełno było na lądzie Wenus, konieczna było osłona z impervium – życie przyrody buchało ku światłu, krwawo i bezwzględnie dążyło do kwitnięcia i wydania nasion,

do kojarzenia się i rozmnażania w środowisku tak płodnym, iż tracącym z tego powodu równowagę.

Na brzegu stał stary fort będący niegdyś warownią Wolnych Żołnierzy z Twierdzy Doone. Odbudowano go. Przykrywało go również impervium – ogromna osłona o średnicy czterystu metrów. Stały tam tu i ówdzie niewielkie budynki, ale bez żadnego planu. Każdy miał inny kształt, wielkość i kolor. Przy braku deszczów i wiatru architekci mieli wolną rękę. Jedyne ograniczenie związane było z siłą ciężenia, a osłony antygravitacyjne umożliwiały stawianie nawet krzywych wież. A jednak ani w tworzywie, ani w zdobnictwie nie było ekstrawagancji.

Żadnego przepychu. Z całej Kolonii biła atmosfera stagnacji.

Spod kopuły nie widać było otwartego lądu.

Ziemia grubo wyłożona plastikowym przykryciem. Ochrona przed liszajami? Prawdopodobnie. Wielkie hydroponiczne zbiorniki stanowiły ogrody, jakkolwiek tylko w kilku płaskich pojemnikach znajdowała się wysterylizowana gleba. Ludzie pracowali dość leniwie. Robiło to wrażenie sjęsty.

Sam poszedł ścieżką prowadzącą według drogowskazu w kierunku Administracji. Odczuwał pewien lęk otwartej przestrzeni. Przez całe życie mieszkał pod matową kopułą wiedząc, iż hektolitry wody oddzielają go od naturalnej atmosfery. Teraz przez przezroczyste impervium dostrzegał blade światło słońca, światło to nie było' sztuczne, jakkolwiek wyglądało na kiepską imitację światła dziennego padającego z lamp w Twierdzy.

Miał bardzo wyostrzoną uwagę. Wchłaniał wszystko, co widział, klasyfikował, składał fakty i wrażenia, jakby w obawie, że mogło by zwyciężyć w nim lenistwo. Na razie odłożył sprawę Sari i Harkerów. Niech się uleży i dojrzeje. Teraz najważniejszym zagadnieniem było, jak Robin Hale przyjmie Sama Reeda lub jego syna. Nie uważał, żeby był Hale'owi cokolwiek winien. Sam nie rozumował w tych kategoriach. Rozumował wyłącznie w kategoriach tego, co przyniesie największą korzyść Samowi Reedowi – a Kolonia wciąż wyglądała pod tym względem obiecująco.

Dziewczyna w różowym kitlu, pochylona nad pojemnikiem z roślinami, spojrzała na niego, gdy przechodził. Nawet rozproszone światło dawało interesujący efekt na twarzach mieszkańców lądu. Skóra dziewczyny była kremowa, a nie mlecznobiała jak u Sari. Miała miękkie, kasztanowate włosy, gładko uczesane, i piwne oczy o źrenicach różniących się subtelnie od źrenic mieszkańców Twierdzy. Była zamknięta pod kopułą z impervium równie dokładnie jak ludzie w Twierdżach, jednak przez kopułę przenikało światło słońca i otaczał ją gwałtowny napór dżungli – głodnej, żywej dżungli, a nie martwe tony wody morskiej. Z oczu dziewczyny można było odgadnąć, iż jest tego świadoma.

Zatrzymał się na chwilę. – Administracja? – zapytał bez potrzeby.

– Tędy. – Miała miły głos.

– Podoba się pani tutaj?

Wzruszyła ramionami. – Urodziłam się tu. Twierdze muszą być cudowne. Nigdy nie byłam w Twierdzy.

– Nie dostrzegłaby pani różnicy, nie ma żadnej – zapewnił ją Sam i pochłonięty pewną myślą ruszył dalej. Urodziła się tu. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Była ładna, ale niezupełnie w jego guście. Przyszło mu na myśl, że gdyby choć w pewnym stopniu posiadała cechy, które lubił w kobietach, mógłby poczekać na jej córkę lub na córkę jej córki – jeśli wystarczająco starannie chciałby wybrać protoplastów takiego finalnego dzieła. Nieśmiertelny mógł wyhodować całą ludzką odmianę, tak jak śmiertelny – eleganckie koty lub szybkie konie. Z tym, że w tym drugim przypadku rezultatem może być tylko cięty kwiat, który więdnie po jednym dniu. Zastanawiał się, ilu Nieśmiertelnychcoś takiego robiło, w rezultacie dopracowując się haremu w czasie i przestrzeni.

Byłoby to wspianiałe, dopóki nie angażowałoby uczuć.

Gubernator Kolonii powinien być zajęty. A nie był. W chwilę po tym, jak Sam przekazał swoje domniemane imię, drzwi otworzyły się automatycznie i wszedł do biura Robina Hale'a.

– Joel Reed? – zapytał powoli Hale. Spojrzenie jego było badawcze i Sam musiał wykorzystać wszystkie swe siły, żeby wytrzymać je bez zmieszania.

– Tak. Sam Reed był moim ojcem – powiedział szarżując odrobinę.

– W porządku – odrzekł Hale. – Siadaj.

Sam przyjrzał mu się przez delikatną osłonę szkieł kontaktowych. Hale zmienił się tak niewiele, jakby widzieli się wczoraj. A jednak zmienił się, ale w sposób niezauważalny dla oka. Więcej na ten temat mówił głos. Hale wciąż był szczupłym, śniadym, spokojnym mężczyzną, przywykłym do cierpliwości przez lata, które przeżył, i stulecia, które wciąż były przed nim. Każdą porażkę mógł uznać za chwilową i każde zwycięstwo za przemijające.

Zmiana w nim również była tymczasowa, co nie czyniło jej mniej prawdziwą. W jego głosie i zachowaniu nie było owego cichego zapału, który Sam zapamiętał. Cel, do którego z taką nadzieją dążył wtedy, gdy się rozstali, stał się teraz faktem i ostateczną porażką. Był to jednakże tylko epizod w całości doświadczeń Hale'a, doprawdy tak było – uświadomił sobie Sam patrząc na niego.

Robin Hale pamiętał czasy Wolnych Żołnierzy, długie, wojenne lata. Minęły całe pokolenia od chwili, gdy ostatni przedstawiciele ludzkości mogli przemierzać morza i patrzeć w twarz niebezpieczeństwa. Sam wiedział, iż tak naprawdę było. Męska sprawa, a nie dęta przygoda. Emocje były jednak potężne, a Wolni Żołnierze prowadzili życie nomadów, ostatnich nomadów przed całkowitym wycofaniem się ludzkości pod osłonę Twierdz, w podmorską stagnację. Twierdze były grobem lub łonem, albo jednym i drugim – dla ludzi na Wenus, którzy na Ziemi zaczęli życie jako plemienne dzikusy.

Sam po raz pierwszy zaczął odczuwać zainteresowanie swoim gatunkiem jako długoterminową inwestycją długowiecznego Nieśmiertelnego.

– Czy jesteś ochotnikiem? – zapytał Hale.

Sam z trudem oderwał się od swoich myśli. – Nie -odrzekł.

– Nie wiedziałem, że Sam Reed miał syna. – Hale wciąż patrzył na niego spokojnym, badawczym spojrzeniem, które trudno było wytrzymać. Czy jeden Nieśmiertelny może rozpoznać drugiego, pomimo przebrania, po prostu dzięki nawykom, których nikt nie jest w stanie całkowicie ukryć? Uznał to za prawdopodobne. Nie dotyczyło na razie jego, bowiem nie był jeszcze nieśmiertelny w takim sensie jak tamci. Nie doszedł do swej perspektywy czasowej, dzięki której tamci osiągnęli życiowy spokój.

– Dopiero ostatnio dowiedziałem się, kim jestem – powiedział przybierając rzeczowy ton. – Po skandalu z Kolonią matka zmieniła mi nazwisko.

– Rozumiem – powiedział wymijająco Hale.

– Czy pan wie, co stało się z moim ojcem? – napierał prowokująco Sam. Jeśli Hale odpowie: „Wiem, ty jesteś Samem Reedem” – przynajmniej rozproszy to niepewność. Ale jeśli tak nie odpowie, niekoniecznie będzie to znaczyć, iż nie zdołał rozpoznać Sama.

Wolny Żołnierz pokręcił głową. – Zapadł w narkotyczny sen. Przypuszczam, że już nie żyje. Narobił sobie wrogów z powodu tego skandalu.

– Wiem. Pan... pan musiał być jednym z nich.

Hale znowu potrząsnął głową uśmiechając się lekko. Sam wiedział, co oznacza ten uśmiech. Przemijających śmiertelników ani się nie nienawidzi, ani nie kocha. W najgorszym przypadku budzą chwilowe rozdrażnienie. Tym niemniej Sam nie miał ochoty powiedzieć, kim jest. Mieszkańcy Olimpu posiadają boski przywilej pozostawania nieodgadnionymi. Zeus miotał pioruny pod wpływem kaprysu.

– To nie była wina Sama Reeda – powiedział Hale. – Nic na to nie mógł poradzić, że jest oszustem. To w nim tkwiło, taki się urodził. Zresztą był tylko narzędziem. Gdyby nie stał się nim Sam, stałby się kto inny lub co innego. Nigdy go nie nienawidziłem.

Sam przełknął ślinę. W porządku, sam się tego dopraszał. Szybko przeszedł do następnej kwestii. – Chciałbym prosić o radę, gubernatorze Hale. Tylko co dowiedziałem się, kim naprawdę jestem. Sprawdziłem to. Wiem, że mój ojciec był kanciarzem i oszustem, ale władze znalazły jego skrytki i wszystko zostało spłacone, prawda?

– Tak.

– Przez czterdzieści lat nic po nim nie miałem, nawet nazwiska. Na wszelki wypadek i to sprawdziłem. Gdy ojciec zapadł w sen, została jedna rzecz, której mu nie odebrano. Darowizna ziemi. Czterdzieści lat temu rząd nadał mu prawo do jakiejś ilości ziemi na Wenus i prawo to wciąż jest ważne. Chcę tylko wiedzieć, czy jest to coś warte?

Hale zabębnił palcami po biurku. – Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

– Gdy zaczynała się Kolonia, mój ojciec był z panem. Doszedłem do wniosku, że musi pan coś wiedzieć. Powinien pan pamiętać. Jest pan Nieśmiertelny, żył pan wtedy.

– Wiem, oczywiście, o tym uprawnieniu – powiedział Hale. – Starłem się je wydostać. Jednak wydano je wyłącznie na nazwisko pańskiego ojca. Rząd tego nie odda. W gruncie rzeczy darowizna ziemi nie można cofnąć. Nie bez powodu. Istnienie wszystkich kolonii na Wenus zależy w gruncie rzeczy od Twierdzy, a bardzo łatwo odciąć w razie potrzeby zaopatrzenie. A zatem odziedziczył pan to uprawnienie?

– Czy to jest coś warte? – powtórzył Sam.

– Tak. Harkerowie sporo by zapłacili, żeby o tym nie mówić.

– Harkerowie? Dlaczego?

– Dlatego, żebym nie mógł budować nowej kolonii -powiedział Hale, rozprostowując powoli palce zaciśniętej w pięść dłoni. – Zaczęłem budować tę Kolonię po tym, jak pański ojciec... po tamtym niepowodzeniu. Mimo wszystko chciałem to ciągnąć. Reklama, jaką stworzyliśmy, odbiła się bumerangiem. Musieliśmy zaczynać z garstką chętnych. Z nielicznymi, którzy wierzyli w to, tak jak ja. Niewielu z nich jeszcze żyje. Było bardzo ciężko na początku.

– Teraz tak nie wygląda – powiedział Sam.

– Teraz? Bo i nie jest. Kolonia zniewieściała. Widzi pan, Harkerom zależało, żeby w ogóle powstrzymać mnie od budowy Kolonii. Nie zdołali. A gdy już zacząłem, bali się, żebym nie splajtował. Chcą bowiem w końcu skolonizować Wenus, a wobec tego nie chcą, żeby utrwalił się psychologiczny skutek takiej klęski. Nie mogąc pozwolić mi na porażkę, nie chcieli jednocześnie, żeby mi się udało. Nie wierzyli, że mogłoby mi się udać. Zatem...

– Zatem?

– Wojna na wyniszczenie. Ciężko harowaliśmy przez pierwszy rok. Darliśmy pazurami. Ledwo liźnęliśmy dżunglę, no, ale zaczęliśmy. Oczyszciliśmy teren i zaczęliśmy budować. Była to walka o

każdy metr, ponieważ dżungla ciągle napierała. Nie dawaliśmy za wygraną. Wreszcie byliśmy w stanie umocnić się – zdobyć nowy przyczółek na brzegu. I wtedy Harkerowie zahamowali nas. Odcięli dostawy.

Siedzieli w Twierdzach pilnując, żeby nie było następnych ochotników.

Wykańczał się sprzęt. Wykańczały się możliwości. Przestały przychodzić urządzenia.

Według umowy musieliśmy wykazywać się rocznym dochodem. W innym przypadku wkroczyć mogły władze, żeby przejąć zarząd, póki sprawy się nie wyrównają. Nie mogli odebrać mi praw, ale mogli ograniczyć podstawowe dostawy tak, aby Kolonia nie była w stanie dawać zysku. I trzydzieści cztery lata temu właśnie to zrobili. Od tego czasu administruje tu rząd utrzymując status quo.

Administrują. Dostarczają nam tylko tyle, żebyśmy się utrzymali. A'2 za mało, żebyśmy mogli się rozwijać. Nie chcą, żebyśmy szli naprzód, ponieważ wiąże się z tym ryzyko niepowodzenia, chcą czekać, aż nie będzie żadnego ryzyka. A taki czas nie nadejdzie nigdy.

Hale spojrział na Sama. Jego oczy pod ściągniętymi brwiami zaczęły lśnić głębokim blaskiem. Czy zwracał się do Joela Reeda, czy do Sama? Trudno było odgadnąć. Z pewnością powiedział więcej, niż zdradziłby przypadkowemu gościowi.

– Mam związane ręce – ciągnął Hale. – Formalnie jestem Gubernatorem. Formalnie. Wszystko tu się zatrzymało. Gdybym miał dalsze prawo do ziemi, zacząłbym następną kolonię... – przerwał, spoglądając na Sama spod ściągniętych brwi. – Nie dadzą mi takiego prawa. Widzi więc pan, jak ważne jest to, co pan ma. Harkerowie dobrze panu zapłacą, żeby tego nie ruszać.

O to więc chodziło. Oto dlaczego mówił z taką otwartością. Skończył, ale nie spojrział na Sama. Siedział nieruchomo za pustym biurkiem. Czekał. O nic jednak nie prosił i do niczego nie namawiał.

Cóż bowiem mógł zaproponować siedzącemu przed nim człowiekowi? Pieniądze? Harkerowie mogli mu dać więcej. Udział w nowej kolonii? Do czasu gdy zaczną przynosić zyski, każdy śmiertelny dawno już nie będzie żył.

– Co mógłby pan zrobić z tym uprawnieniem, Gubernatorze? – zapytał impulsywnie Sam.

– Znowu zacząć, i tyle. Nie mógłbym zapłacić zbyt wiele. Mógłbym pożyczyć od pana to pozwolenie, ale przez wiele lat nie byłoby z tego dochodu. Zyski zostałyby zjedzone przez koszty. Na Wenus Kolonia musi znajdować się w ruchu, rozszerzać się. To jedyny sposób. Teraz już to wiem.

– A co będzie, jeśli panu się nie powiedzie? Czy znowu nie zaczną administrować tym rząd i wszystko się nie powtórzy? Czy nie zauważą, że nie udaje się panu?

Hale milczał.

Sam zaczął go naciskać: – Na zaczęcie nowej kolonii będzie pan potrzebował dużych środków. Pan...

– Nie chcę się kłócić – odezwał się Hale. – Powiedziałem, że Harkerowie dadzą panu więcej.

Z kolei zamilkł Sam. Zaczęły przychodzić mu do głowy dziesiątki pomysłów – jak zdobyć pieniądze, żeby przechytrzyć Harkerów, jak rozwinąć propagandę, żeby pomimo wszystkich sprzeciwów zapewnić nowej kolonii sukces. Wydawało mu się, że tym razem zdoła to zrobić. Miał do dyspozycji ogrom czasu, i czas ten warto zainwestować w udaną kolonię.

Hale przyglądał mu się, a w atmosferze fatalistycznej inercji, którą przeniknięte było to, co dotychczas powiedział, zaczynała pobłyskiwać iskierka nadziei. Ten człowiek zadziwił Sama. Żyjący tak długo, z całą swą niebywałą dojrzałością będącą sumą doświadczeń, już raz zwrócił się do Sama Reeda, i gotów był uczynić to ponownie, zwrócić się do śmiertelnego, którego

niedojrzałość musi się wydawać z jego punktu widzenia infantyлизmem. Hale gotów był skazać swe wyhołubione przedsięwzięcie na klęskę spowodowaną brakiem pomysłów i inicjatywy, chyba że siedzący przed nim mężczyzna, śmiertelny jak kot i niemal tak samo krótkotrwały przejmie całą sprawę.

Dlaczego?

Samowi przyszło na myśl dalekie porównanie ze społecznymi dziejami Starej Ziemi. W swych lekturach spotkał się gdzieś z teorią, iż te kraje na Ziemi, które w

bardzo dawnych czasach przeżyły najazd mongolskich hord, zostały przez to straszne doświadczenie tak całkowicie obojętne, że nigdy już nie zdołały odzyskać inicjatywy. Mimo możliwości, jakie posiadały, mieszkańcy nie wiedzieli, jak je wykorzystać i jak współzawodniczyć z innymi narodami, których nie obrabowano z iskry życia.

Być może to samo przydarzyło się Robinowi Hale. Był ostatnim żyjącym spośród tych, którzy walczyli wspólnie z Wolnymi Żołnierzami. Czy w tamtym dzikim, pełnym życia okresie zużył ową iskrę, która teraz byłaby dlań bodźcem, gdyby wciąż ją posiadał? Miał za sobą stulecia doświadczenia, wiedzy i pełną dojrzałość, ale nie miał tej jednej, podstawowej rzeczy, dzięki której mógłby je wykorzystać.

Sam miał ją w nadmiarze. Przyszło mu nagle na myśl, że być może posiada ją jako jedyny spośród żyjących. Hale'a czekało długie życie, ale brakowało mu woli, żeby to wykorzystać. Inni Nieśmiertelni mieli dosyć inicjatywy, lecz...

– Jeśli będziemy czekać na Klany, nigdy nie nadejdzie okazja do działania – powiedział Sam ze zdziwieniem w głosie, jakby, po raz pierwszy dowiedział się o tym.

– Oczywiście, że nie – odrzekł Hale spokojnie. – Może już jest za późno.

Sam nie słuchał go. – Wydaje im się, że mają rację – ciągnął rozwijając myśl, która przedtem nie przychodziła mu do głowy. – Oni w ogóle nie chcą zmian! Będą po prostu nadal czekać, aż uświadomią sobie, że czekali zbyt długo, a wtedy może będą nawet zadowoleni, że już jest za późno. To konserwatyści. Ludzie na górze zawsze są konserwatystami. Każda zmiana jest zmianą na gorsze, o ile ich dotyczy.

– Dotyczy to również mieszkańców Twierdz – powiedział Hale. – Cóż możemy im zaproponować lepszego, od tego, co już posiadają? Wygodę, bezpieczeństwo, mnóstwo rozrywek, całkowicie ucywilizowane życie. A tu mamy tylko niebezpieczeństwo, trudy i szansę, iż być może za dwieście lat zaczną na lądzie podwajać bez

konieczności pracy to, co w tej chwili mają już pod wodą. Nikt z nich nie zechce liczyć na takie zyski, nawet jeśli widzą konieczność zmian.

– Już raz odpowiedzieli – przypomniał Sam – gdy... gdy mój ojciec wystąpił z projektem pierwszej Kolonii.

– O, tak. Wiele jest niezadowolenia. Wiedzą, że coś tracą. Co innego jednak rozprawiać o romantyzmie i przygodzie, a co innego przetrwać niebezpieczeństwa i trudy, które na nie się składają. Tym ludziom brak rozpędu. Pionierzy są pionierami, ponieważ warunki w domu stają się nie do zniesienia lub ponieważ gdzie indziej warunki wyglądają bardziej obiecująco... albo ponieważ istnieje jakiś Grall albo Ziemia Obiecana, albo coś innego, co ich wzywa. A tutaj chodzi o mało ważną sprawę ocalenia ludzkiej rasy – no, ale oni nie są w stanie pojąć rzeczy mało uchwytnej.

Sam zmarszczył rude brwi: – Ocalenie ludzkiej rasy? – powtórzył.

– Jeśli kolonizacja nie zacznie się teraz lub wkrótce, nie zacznie się *nigdy*. Będzie do tego zbyt

mało korium. Mówiłem o tym setki razy, mechanicznie, przy każdym otworzeniu ust. Rasa ludzka wyginie w ciągu kilku następnych stuleci, stłoczona w bezpiecznych powijkach Twierdz, a źródło energii i wola życia będą zanikać, aż nic z nich nie zostanie. Klany zamierzają kontrować każdy mój ruch, wciąż przeciwstawiają mi się ze śmiertelnym uporem, aż będzie za późno na cokolwiek. – Hale wzruszył ramionami. – Stare krakanie. Podobno tam, w Twierdzach, nie wypada już nawet mówić o tym.

Sam bacznie mu się przyglądał. Głos Nieśmiertelnego był pełen przekonania. Wierzył Hale'owi. O ile ostateczny los rasy był czymś zbyt nieokreślonym, aby Sam w ogóle miał się tym przejmować, o tyle zwiększone możliwości jego własnego życia czyniły z najbliższych kilku stuleci problem niesłychanie ważny. Poza tym, miał z Harkerami porachunki do wyrównania. No, a w projekcie kolonizacyjnym kryły się niemal nieograniczone możliwości, jeśli zajmie się tym ktoś taki jak Sam Reed.

Zaczął już dostrzegać załazek wspianego pomysłu.

– Uprawnienie należy do pana – powiedział rzeško. – A teraz...

Robin Hale zamknął za sobą przesłonięte żaluzją drzwi Administracji i samotnie poszedł powoli plastikową ścieżką. Nad jego głową blask wenusjańskiego dnia rozświetlił się blaskiem błękitnego nieba i słońca rozproszonym przez warstwę impervium. Spojrzawszy w górę skrzywił się trochę od tego blasku i przyszły mu na myśl dawne dni.

Nie opodał jakiś mężczyzna w brązowym kombinezonie niespiesznie grzebał motyką przy korzeniach roślin na jednej z rozległych upraw założonej na arcyżyźnej glebie Wenus. Człowiek ten poruszał się spokojnie, nawet trochę sztywno, ale ruchy jego były celowe, jak kogoś, kto zna i lubi swoją pracę. Gdy Hale zatrzymał się przy płytkim pojemniku, mężczyzna uniósł ku niemu wychudłą, długą twarz.

– Ma pan wolną chwilę? – zapytał Hale.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Niejedną – powiedział. – Co cię trapi?

Hale postawił stopę na krawędzi pojemnika i oparł ręce na zgiętym kolanie. Starszy mężczyzna wygodnie wsparł się na motyce. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a lekki uśmiech na ich twarzach był niemym dowodem tego, co ich łączy. Spośród wszystkich żyjących aktualnie ludzi, tylko oni dwaj pamiętali życie pod otwartym niebem, następstwo nocy i dnia, słońca i księżyca, naturalny rytm świata nie nakazany przez człowieka.

Tylko Logik pamiętał czasy, gdy gleba otwartej planety nie była śmiertelnym wrogiem człowieka. Wśród wszystkich pracujących tu ludzi tylko on mógł posługiwać się motyką ze spokojnym poczuciem wspólnoty z przewracaną ziemią i nie uważając jej za wroga. Dla innych sam widok gleby oznaczał widoczne i niewidoczne niebezpieczeństwo, znane i nie znane – grzyby w ciemnych bryłach, które spulchniali, bakterie o nieodgadnionej sile działania, tajemnicze insekty i drobne żyjątka przyczajone w oczekiwaniu następnego uderzenia ostrza. Gleba ta, oczywiście, była oczyszczona i niegroźna, ale uprzedzenia znikają powoli. Tylko Logik naprawdę lubił bruzdy odsłoniętej ziemi.

Hale nie zdziwił się specjalnie, gdy po raz pierwszy, jak sądził, rozpoznał chudą postać z motyką, wracającą powoli ścieżką między ciemnymi grządkami. Było to niedawno – może kilka tygodni temu. Przystanął wtedy przy pojemniku puściwszy podwładnych przodem, a starszy mężczyzna wyprostował się i rzucił Hale'owi ostre, kpiące spojrzenie.

– Nie jest pan chyba... – zagadnął Hale z wahaniem.

– Ależ tak – uśmiechnął się Logik. – Powiniennem się był ujawnić znacznie wcześniej, ale musiałem skończyć pewną pracę. Cześć, Hale. Jak się masz?

Hale powiedział coś gwałtownie.

Logik zaśmiał się. – Kiedyś na Ziemi byłem farmerem – wyjaśnił. – To tak jak z uczuciem świędzenia. W każdym razie jest to jakiś powód. Teraz jestem zarejestrowanym ochotnikiem. Pod własnym nazwiskiem. Nie zauważyłeś?

Hale nie zauważył. Wiele przeżył od czasu, gdy ostatni raz stał w Świątyni Prawdy słuchając głosu tego człowieka sugestywnie wydobywającego się z mówiącej kuli. Nie zwrócił uwagi na nazwisko Bena Crowella, chociaż listy ochotników były obecnie na tyle szczupłe, iż powinien znać je na pamięć,

– W gruncie rzeczy specjalnie się nie dziwię – powiedział.

– Nie powinieneś. Ty i ja jesteśmy teraz jedynymi ludźmi, którzy pamiętają otwartą przestrzeń. – Wytarł starannie nos, a następnie spojrzął krzywo na kopułę z impervium. – Tylko my wiemy, na czym polega różnica. Czy udało ci się odnaleźć jeszcze kogoś z Wolnych Żołnierzy?

Hale potrząsnął głową. – Jestem ostatni.

– Hm... – Crowell odtrącił motyką jakieś zabłąkane stworzonko. – W każdym razie trochę tu pobędę. Ale nieoficjalnie. Nie mogę odpowiadać na żadne pytania.

– Nie robił pan tego nawet w Świątyni – przypomniał sobie Hale o swych żalach. – Przez te czterdzieści lat kilkanaście razy chciałem zobaczyć się z panem. Nie udzielił mi pan ani jednej audiencji. – Spojrzął na Logika i zaczął mówić szybciej pod wpływem nedorzeczej nadziei: – Dlaczego teraz przyszedł pan na ląd? Czy coś ma się zdarzyć?

– Może. Może. – Crowell zajął się motyką. – Prędzej czy później zawsze coś się dzieje, prawda? Jeśli czeka się wystarczająco długo.

Nic więcej Hale nie zdołał z niego wyciągnąć. Hale pamiętał o tamtej rozmowie opowiadając Logikowi, co się właściwie zdarzyło.

– Czy dlatego pan się tu zjawił? – zapytał na zakończenie. – Wiedział pan?

– Hale, nie mogę ci powiedzieć. Naprawdę. Nie mogę.

– Wiedział pan?

– To nie ma z tym nic wspólnego. Nie zapominaj, że każdy talent ma również swoje ujemne strony. Posiadam nie tyle umiejętność przewidywania, ile nieomyślność – a jest ona z samej definicji zawodna. Powiedziałem ci kiedyś, że chodzi bardziej o chłopski rozum niż o cokolwiek innego. – Crowell robił wrażenie lekko poirytowanego. – Nie jest Bogiem. Nie zaczynaj myśleć jak ludzie w Twierdzach, którzy chcą odsunąć od siebie wszelką odpowiedzialność. To właśnie jest złe na Wenus. Bzdura ze spychaniem na kogo innego. Kto inny też nie jest Bogiem. A sam Bóg nie może zmienić przyszłości, chociaż wie, co się zdarzy. Z chwilą, gdy się w to wmiesza – rozumiesz – wprowadza do równania nowy czynnik, a jest to czynnik zmienny.

– Ale...

– Och, ingerowałem raz czy dwa – ciągnął Logik. – Nawet zabiłem kiedyś człowieka, ponieważ uznałem, że nie byłoby nic gorszego, niż pozwolić żyć temu facetowi. Okazało się, że – w tym przypadku – miałem rację. Ale jeżeli nie muszę, nie ingeruję. Jeśli robię to, wkraczam jako czynnik zmienny, a wtedy, jako że jestem już w środku sytuacji, trudno spojrzeć na całe równanie z zewnątrz. Nie mogę też przewidzieć swoich reakcji, rozumiesz?

– Mniej więcej – zamyślił się Hale. – A jednak ingerował pan wtedy, kiedy pan musiał.

– I tylko wtedy. A później dążyłem do tego, żeby sprawy znowu się wyrównały. W ten sposób istnieje jakaś równowaga. Jeśli wchodzę na szalę po prawej stronie – waga przechyla się w tym kierunku. Wobec tego staram się następnie popchnąć trochę drugą szalę – tak żeby „x” znowu równało się „y”. Jeśli z jednej strony dodaję „y”, staram się odjąć „y” po drugiej stronie. Przyznaję, że nie wydaje się to 'rozsądne z twojego punktu widzenia, ale z pewnością wydaje się takie z mojego, synu. Jak mówię – nie jestem Bogiem. I z pewnością nie Boga potrzebują dziś Twierdze. Spodziewają się, że Bóg przyjdzie do nich i wszystko za nich załatwi.

Przerwał, westchnął i spojrzał na kopułę z impervium, przez którą ze smugi błękitnego nieba słońce oświetliło na chwilę Kolonię. – Czego chciał Reed? – zapytał. – Przypuszczam, że miał jakieś pomysły. Jakie?

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym panu o tym opowiadać. – Hale był poirytowany. – Zapewne wie pan na ten temat więcej niż ja.

Logik uderzył lekko pięścią w trzonek motyki. – Niezupełnie tak, synu. Z bardzo ważnego powodu nie mogę powiedzieć ci, co wiem. Być może kiedyś ci to wyjaśnię. W tej chwili byłbym bardzo zadowolony, gdybym mógł się dowiedzieć, co zamierza młody Reed.

– Przejrzeliśmy mapy. Jego prawo własności obejmuje powierzchnię trzystu kilometrów, w tym prawie sto wybrzeża. Na początku prosiłem o to, ponieważ na tym wybrzeżu stał Fort Wolnych Żołnierzy. To dobra baza. Pamiętam, że miejsce to wybrano na port. Osłania je łańcuch wysp, które długim szeregiem biegną na zachód.

Mimo woli Hale zaczął mówić szybciej. – Kolonia ta nie będzie przykryta kopułą z impervium. Najpierw więc trzeba się będzie zaadaptować. Nie można osiągnąć równowagi ekologicznej mając inną atmosferę na zewnątrz i inną wewnątrz. Będzie nam jednak potrzebne zabezpieczenie przed przyrodą ładu. Sądzę, że woda rozwiąże ten problem. Wyspy wyznaczają naturalny kierunek ekspansji. Będziemy je opanowywali stopniowo, jedną po drugiej.

– Taak... – Logik w zamyśleniu podrapał się po nosie. – Co jednak powstrzyma Klany przed użyciem sposobów, które zastosowali, żeby zablokować tę Kolonię?

Hale odkaszlnął. – To się dopiero okaże – powiedział.

Dla człowieka wychowanego w Twierdzy nawet zapadająca noc wyglądała dziwnie i egzotycznie. Sam mocno trzymał się poręczy fotela w miotanym wiatrem samolocie, który unosił go z powrotem do Twierdzy Delaware, i zafascynowany wpatrywał się w gęstniejącą nad morzem głęboką ciemność. Prądy powietrzne na Wenus są zdradzieckie. Nieliczne samoloty latają tylko wtedy, gdy jest to rzeczywiście niezbędne, a i te loty są krótkie. Podziwianie widoku w dole przerwały Samowi wstrząsy. Ale daleko w gęstniejącej ciemności mógł dostrzec plamę blasku na powierzchni wody. Była to Twierdza. Ogarnęło go nieznane dotychczas uczucie. Ten rozległe rozprzestrzeniający się blask oznaczał dom – bezpieczeństwo, wspólnotę, światło i muzykę i śmiech. W porównaniu z tym Kolonia wydawała się martwa, była miejscem pełnym niebezpieczeństw i klęski.

Niedobrze. Powinien pomyśleć o czymś bardzo przyjemnym, żeby przeciwdziałać tego rodzaju uczuciu, które przecież odziedziczył i on, i tysiące mieszkańców Twierdz. Pionier – żeby iść naprzód – potrzebuje ciężkich warunków i nadziei, iż po drugiej stronie puszczy będzie Grall lub Eldorado. Musi być pchany i ciągnięty – pomyślał Sam. Z punktu widzenia organizatora, w tym przypadku ciężkie warunki były jednak po złej stronie szali. Trzeba coś zrobić.

Żeby osiągnąć sukces, trzeba mieć korium, entuzjastycznych ochotników i zgodę, jeśli nie poparcie, Harkerów. Na razie nic z tego nie ma. A będzie musiał działać szybko. W każdej chwili, od kiedy udał się na ląd, tajna policja może pojawić się tak jak poprzednio i Sam Harker zniknie, prawdopodobnie na zawsze. Miał niewiele pieniędzy, nie miał autorytetu, nie miał przyjaciół oprócz starca umierającego z powodu narkotyków i starości, a i tę przyjaźń musiał kupić.

Sam zaśmiał się cicho do siebie. Czuł się wspaniale. Czuł się radośnie pewny siebie. Był absolutnie pewny sukcesu.

– Pierwszą rzeczą, jaką muszę zrobić – powiedział do Krętacza – to wystąpić przed publicznością. Szybko.

Mniejsza z tym jak, ale muszą mnie ujrzyć jako przeciwnika Klanów, i to na tyle szybko, żeby Klany nie zdążyły mnie dopaść. Następnie postaram się, aby rozumiano, że jeśli zniknę, odpowiedzialne za to będą Klany.

Krętacz kiwał się i pociągał nosem. Mały pokój był duszny, . ale stosunkowo bezpieczny. Dopóki Sam siedział w tego rodzaju znanych sobie zakamarkach, było mało prawdopodobne, żeby porwano go do warowni Harkerów. Gdy jednak wyjdzie, sprawa może wyglądać zupełnie inaczej.

– Daj mi jeszcze łyka – wykrztusił Krętacz w odpowiedzi.

– Mam dwa tysiące kredytów – powiedział Sam podsuwając bliżej butelkę. – Hale może dołożyć jeszcze ze dwa tysiące. Musimy z tym szybko zaczynać. Powiedz mi, jak to wydać, żeby dotrzeć jak najszerzej. Będzie mi potrzebna pora serwisu informacyjnego i dobry stylistą do opracowania naszych wystąpień. Jak już zaczniemy, znajdą się pieniądze na dalszy ciąg. Tym razem nie mam zamiaru wywalić ich do rynsztoka. Zostaną wydane na to, co będzie najbardziej pożyteczne.

– Na co? – Krętacz znad butelki nastroszył pytająco wyliniałą brew.

– Na flotę – powiedział poważnie Sam. – Tym razem nowa kolonia powstanie na łańcuchu wysp. Mamy zamiar być w ciągłym ruchu. Będziemy walczyli o wyspy z morskimi bestiami, ufortyfikujemy je i zasiedlimy. Będą nam potrzebne dobre, szybkie statki, dobrze opancerzone, dobrze wyposażone w broń. Na to pójdą pieniądze.

Krętacz milcząco pociągnął z butelki.

Sam nie czekał ze złożeniem zamówień na wyposażenie łodzi, aż machina propagandowa zacznie przynosić dochód. Łapał, co się dało, jednak większość jego czterech tysięcy poszła pod fikcyjnymi nazwiskami na dyskretne zamówienia sprzętu, który Hale uznał za podstawowy.

Tymczasem ruszyła propaganda. Nie było ani czasu, ani pieniędzy na bawienie się w subtelności, które Samowi bardziej by odpowiadały. Na przykład pomocne byłoby dłuższe reklamowanie zręcznie ułożonych pieśni sławiących uroki życia na lądzie, otwarte niebo, gwiazdy, następstwo nocy i dnia. Przydałaby się jakaś popularna sztuka, jakaś nowa książka ze stosownym wydźwiękiem. Nie było jednak na to czasu.

Telewizja nadała płatne reklamówki. Robin Hale poinformował o zakładaniu nowej Kolonii na odrębnych zasadach. Odważnie i wprost ogłoszono również o związku Joela Reeda z tymi zamierzeniami, ponieważ nie można było ani temu zapobiec, ani tego ukryć.

Joel mówił z ekranu szczerze o hańbie swego ojca. Oświadczył, że go nie znał. – Nigdy go nie znałem – powiedział, wkładając w te słowa całą swą ogromną siłę przekonywania. – Zapewne wielu z was odrzuci wszystko, co mówię, ze względu na moje nazwisko. Nie zamierzam go ukrywać. Wierzę w tę Kolonię i nie stać mnie na to, żeby upadła. Przypuszczam, że większość z was to zrozumie. Może to będzie dowodem, iż rzeczywiście tak uważam. Nie ośmieliłbym się stanąć przed

wami używając prawdziwego nazwiska obciążonego całą hańbą, o której wiecie, gdybym nie był pewny, że ta Kolonia musi się udać. Nikt o nazwisku Reed nie ośmieliłby się postąpić dwa razy w ten sam sposób. Nie mam takiego zamiaru. Wiem, że jeśli Kolonia ta upadnie, będzie to oznaczać moją ruinę. Kolonia się uda. – W głosie jego była spokojna pewność i coś z tego zapału zostało przekazane słuchaczom. Tym razem nie kłamał. Niektórzy mu uwierzyli. Dla jego celu było ich w tym momencie wystarczająco dużo.

Wciąż istniały te same bodźce i napięcia, dzięki którym udały się pierwsze zamierzenia kolonizacyjne. Ludzie mieli nieokreślone poczucie, że tracą coś żyjąc w Twierdzach. Niejasno tęsknili za utraconym dziedzictwem, a tęskniących było na tyle dużo, aby dostarczyć Samowi i Hale'owi środków na najpilniejsze potrzeby. Nie było tego wiele, ale wystarczało. Pozostali siedzieli z założonymi rękami i czekali, żeby ich przekonano.

Sam zaczął działać, żeby i ich przekonać.

Oczywiście Harkerowie nie próżnowali. Po pierwszym zaskoczeniu również zaczęli działać, i to szybko. Mieli jednak nieco utrudnione zadanie. Otwarcie nie mogli przeciwstawić się planom kolonizacji. Należy pamiętać, iż uchodzili za jej zwolenników. Nie mogli sobie pozwolić na prawdziwe niepowodzenie Kolonii. Wszystko, co mogli uczynić, to przystąpić do kontrpropagandy.

Zaczęły krążyć pogłoski o jakiejś odmianie ostrej zarazy, która pojawiła się na lądzie. Na ekranach kroniki filmowej rozbił się spektakularnie samolot automatyczny, rozerwany w atmosferze wściekłymi uderzeniami wiatru. Coraz częściej mówiono, że na lądzie jest bardzo niebezpiecznie. Zbyt niebezpiecznie, zbyt niepewnie...

Właśnie wtedy Sam wykonał następne zuchwałe uderzenie. Zaatakował Harkerów niemal otwarcie. Prawie dosłownie obciążył ich odpowiedzialnością za niepowodzenie istniejącej na lądzie Kolonii. – Potężne siły zamierzają zapobiec kolonizacji na lądzie – oświadczył Sam. – Można domyślać się dlaczego. Każdy może się domyślić. Postawcie się w położenie kogoś potężnego, jakiejś potężnej grupy ludzi. Gdybyście zarządzili Twierdzą, czy nie byłibyście całkowicie zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy? Czy chcielibyście jakichkolwiek zmian? Czy nie robilibyście wszystkiego, żeby zdyskredytować tych, którzy takim ludziom jak my oferują szansę na lądzie? – Na ekranie Sam pochylił się do przodu wpatrując się w widzów stanowczym i znaczącym spojrzeniem. – Czy nie staralibyście się uciszyć każdego, kto walczy o to, aby zwykłemu człowiekowi dać szansę? – zapytał i wstrzymał oddech czekając na przerwanie audycji.

Nic się jednak nie stało. Operatorzy transmisji byli pewno zbyt oszołomieni. Zapewne nawet Harkerowie nie ośmielili się aż tak ostro wystąpić przeciwko opinii publicznej. Wobec tego Sam kontynuował: – Mam nadzieję, że będę mógł dalej działać w sprawie nowej Kolonii. Owszem, pracuję dla siebie, ale również dla was wszystkich, którzy nie jesteście władcami Twierdzy. I dopóki będę żył – będę działał. Jeśli jutro nie pojawię się na ekranie, żeby przedstawić nasze następne zamierzenia, no, cóż, wy, mieszkańcy Twierdzy, będziecie wiedzieli dlaczego.

Gdy Sam się wyłączył, a słowa jego jeszcze dźwięczały w powietrzu, przez ulice Twierdzy Delaware przeszedł niezwykle, cichy, narastający szum głosów. Po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat tłumy znowu zaczęły się gromadzić przy ogromnych ekranach informacyjnych i po raz pierwszy w dziejach ludzkości na Wenus szum ludzkich głosów wznosił się ponad ulice Twierdzy. Dźwięk ten napawał jakby lękiem, był to cichy szum, zawierający w sobie bardziej zdziwienie niż groźbę, ale nie można było się z nim nie liczyć.

Dotarł do Harkerów. A oni postanowili czekać na właściwy moment. Mieli tak wiele czasu, iż mogli sobie pozwolić na czekanie.

W ten sposób Sam chwilowo zabezpieczył się przed tajną policją. Działał szybko w celu wzmocnienia swej pozycji. Musiał mieć przeciwko Harkerom jakąś broń silniejszą niż chwiejne poparcie nieobliczalnych mas.

Jedyną szansą była Sari. Sari Walton półkrwi z rodu Harkerów i z całą pewnością nienormalna. Dlaczego? Sam usilnie starał się tego dowiedzieć. W kartotekach znajdowało się niewiele informacji o Nieśmiertelnym – tylko statystyka urodzin, nazwiska, i krótkie życiorysy. Dzięki swej ogromnej długowieczności Nieśmiertelny z pewnością nie podlegali wielu stresom, które zwykłych ludzi wpędzają w nerwicę. Ale ta sama długowieczność musi powodować innego rodzaju stresy, niepojęte dla zwykłych ludzi.

Sam szukał i zastanawiał się, zastanawiał się i szukał. Wiele koncepcji prowadziło w ślepe uliczki, więc je porzucał. Wreszcie trafił na pewien drobny szczegół, który wyglądał obiecująco. Co prawda niczego nie przesądzał, najwyżej sugerował. Wskazywał jednak interesującą możliwość.

Sam z zaciekawieniem odkrył, iż w czasie gdy przyszła na świat Sari Walton, w rodzinie Harkerów urodził się syn – którego nazwano Blaze. Dzieci te były jedynymi noworodkami zarejestrowanymi w owym czasie w Twierdzy Delaware.

Blaze Harker najwyraźniej zniknął.

Ze wzrastającym zainteresowaniem Sam przeglądał kartoteki szukając wyjaśnienia, jakie były losy tego człowieka. Nie znalazł żadnej informacji o śmierci. Normalne dane dotyczące wykształcenia oraz rozmaitych obowiązków i przedsięwzięć Blaze'a zostały zarejestrowane aż do jakiegoś momentu przed siedemdziesięcioma laty. I skończyły się.

Wszystkie te informacje Sam zanotował z głębokim przejęciem.

– To powinno się nadawać – powiedział Wolny Żołnierz odsuwając się od lunety. – Spójrz.

Sam przeszedł niepewnie przez rozkołysany pokład i pochylił się ku wizjerowi. Czuł się na wpół pijany z powodu tej niezwykłej atmosfery, kołysania się łodzi, wilgotnego wiatru wiejącego mu prosto w twarz. Do tak wielu rzeczy trzeba było przyzwyczać się na otwartym powietrzu – nawet lekki powiew wydawał się niepokojący, w Twierdzach bowiem wiatr był zupełnie czymś innym niż swobodne wiatry na lądzie.

Wokół nich spiętrzała się pod mglistym niebem mlecznobiała woda. Na brzegu ogromna, obwieszona festonami roślinności bryła zrujnowanego fortu jakby się chwiała pod naporem szalejącej nad nią dżungli. Z dżungli dochodził nieprzerwany pomruk, przez który przebijały wrzaski, gwizdy, syki i ryk niewidocznych zwierząt. Morze głośno uderzało o burty. W uszach szumiał Samowi nie znany dotąd wiatr. Łąd był dla mieszkańca Twierdzy czymś dziwnie obcym.

Przytknął czoło do specjalnego oparcia i spojrzał w dół.

Ujrzał nagle inny świat, świat świetlnych migotań i rozkołysanych roślin, a wśród nich rozchybotane kształty podwodnych istot, ryby o drżących płetwach, jamochłony ciągnące za sobą przezroczystobiałe pióropusze, meduzy pulsujące własnym rytmem. Anemony zaciskające się z senną powolnością we wspaniałe kule. Ogromne wachlarze zdumiewająco kolorowych gąbek rozkołysane podwodnymi prądami.

A w tym jasnym, ruchomym świecie leżała bryła zatopionego statku, którego zarysy ledwo prześwitywały spod morskiej roślinności.

Był to trzeci odnaleziony przez nich wrak, który Hale uznał za warty uratowania. – Są w lepszym stanie, niż przypuszczasz – zapewnił Sama. – Te stopy są mocne. W dawnych czasach remontowano gorsze wraki niż ten. – Umilkł pod wpływem wspomnień i zapatrzył się na puste

morze.

Można było wyobrazić sobie na nim floty Wolnych Żołnierzy, tak jak musiał je widzieć Hale przypominając sobie minione pokolenie. Twierdze były wtedy świętością podobnie jak teraz, ponieważ cywilizacja zdołała przetrwać tylko dzięki ich kopułom z impervium. Toczyły się jednak między nimi symboliczne wojny na powierzchni szarych mórz, prowadzone przez floty najmitów. Twierdza, która popierała przegranych, płaciła okup z korium, czasami dopiero po zrzuceniu symbolicznych bomb głębinowych przypominających jej mieszkańcom, jak są słabi.

Wszystko to przeminęło. Dżungla pożarła ogromne forty, a morskie olbrzymy zatoneły w miejscach przycumowania. Nie rozpadły się jednak. Było to już oczywiste. Co prawda zewsząd oplatała je roślinność, a porosty przeżarły pokrycie, ale silny szkielet konstrukcji ocalał.

Hale i Sam przeszukali wybrzeże łądu Wenus, gdzie niegdyś stały stare forty. Hale znał je, gdy jeszcze funkcjonowały. Znał porty i potrafił wymenić wartość bojową Oddziałów. Dwa uratowane przez nich w pierwszej kolejności wraki były już niemal gotowe do ponownego wyjścia w morze. W głosie i oczach Hale'a znowu pojawił się zapał.

– Tym razem nie zamkną nas pod impervium – powiedział do Sama chwytając za burtę i krzywiąc się, gdy wodny prysznic uderzył go w twarz. – Tym razem utrzymamy zdolność poruszania się bez względu na koszty.

"– Koszty będą wielkie – przypomniał mu Sam. – Większe niż to, czym dysponujemy. Większe niż to, co zamierzamy jeszcze zdobyć, chyba że zagramy bardzo ostro.

– Jak?

Sam spojrzał na niego bacznie, zastanawiając się czy nadszedł już moment, aby wtajemniczyć Hale'a w swe plany. Zmierzał do tego od kilku tygodni, krok po kroku podprowadzając Hale'a do rozwiązania, któremu na pewno sprzeciwiłby się w ich pierwszej rozmowie.

Przy rozwiązywaniu tego problemu Sam stosował dokładnie takie same metody, jakie zastosował – niemal instynktownie – wówczas, gdy obudził się w owej uliczce czując jeszcze w nozdrzach zapach usypiającego proszku. W okresie, który upłynął od tego przebudzenia, szybkimi krokami powtórzył drogę podobną do przebytej niegdyś, tyle że osiągnięcia tamtych czterdziestu lat zawarł w kilku krótkich tygodniach. Oto dwa razy już pojawił się na świecie bez grosza, bezradny, sam przeciwko wszystkim. Dwa razy dźwignął sam siebie ku niepewnemu sukcesowi. Tym razem znajdował się na pierwszym szczeblu drabiny prowadzącej aż do gwiazd. Upewnił się co do tego. Klęska była dlań nie do pomyślenia.

Dzięki przebiegłości i podstępowi nabrał Doca Mallarda na zainscenizowaną sztuczkę i zdobył korium, które było mu potrzebne do rozpoczęcia drogi w górę. Teraz znowu potrzebował korium, ale tym razem przeciwnikami jego byli Harkerowie, którzy stanowili trudniejszy problem.

Pamiętając o metodzie zastosowanej wobec Doca Mallarda, na próżno szukał jakiejś przynęty, przy pomocy której mógłby postawić ich w trudnej sytuacji. Niczego nie mógł wymyślić. Harkerowie mieli wszystko, czego dusza zapagnie. Pozycja ich było nie do ruszenia. Oczywiście, była jeszcze Sari. Sam zdawał sobie sprawę, że jeśli zdołałby wywołać w niej gniew, nie gwałtowny, lecz głęboki, i gdyby zdołał zapewnić to, by była wówczas pod wpływem narkotyku, prawie na pewno zabiłaby albo Zachariasza, albo siebie, albo zrobiłaby jedno i drugie. Było to jednak przerażająco niepewne, a jednocześnie zbyt mocne. Zamierzał zabić Zachariasza, ale w ostateczności. Śmierć nie rozwiązywała jednak jego obecnego problemu.

Istniało jakieś podobieństwo między bronią, jaką dysponował Sam, i bronią, przy pomocy której

ludzie mogli ruszyć na podbój wenusjańskiego lądu. W obu przypadkach broń ta była albo za słaba, albo za mocna. Całkowite zniszczenie nie było żadnym rozwiązaniem, a jego jedyna alternatywa nie dawała zwycięstwa nad przeciwnikiem.

Sam zdawał sobie sprawę, iż musi albo zupełnie się poddać, albo uczynić jakiś ogromnie śmiały krok, który przyniesie mu pełny sukces lub całkowitą porażkę.

– Hale – powiedział gwałtownie – jeśli chcemy mieć korium na skolonizowanie lądu, musimy zrobić coś, czego nigdy dotychczas nie robiono. Musimy zbombardować Twierdze.

Hale zerknął na niego i wybuchnął śmiechem: – Chyba żartujesz.

– Może. – Sam zgarbił się i spojrzał na majaczący nad wodą fort. – A wymyślisz coś lepszego?

– Nie wymyślę niczego gorszego – głos Hale'a był ostry. – Nie jestem mordercą, Reed.

– Byłeś Wolnym Żołnierzem.

– To zupełnie inna sprawa. My...

– Walczyłeś w bitwach między Twierdzami, na rozkaz Twierdz. W ówczesnej sytuacji było to niezbędne. Robiłeś, co do ciebie należało, jeśli idzie o zabijanie, grabienie – byłeś w gruncie rzeczy piratem. Twierdza, która przegrała, płaciła okup w korium albo miała być zbombardowana. Przypuszczam, że był to bluff. Nigdy żadnej naprawdę nie zbombardowano. I ja proponuję również bluff. Klany będą tego świadome. My również. Musimy jednak je przebić.

– W jaki sposób?

– Co mamy do stracenia? Pod tym względem tamci są w gorszej sytuacji – mają do stracenia wszystko. A my mamy wszystko do zdobycia.

– Ale będą wiedzieć, że nie ośmielimy się tego zrobić. Ludzie nawet nie potraktują poważnie takiej groźby. Pamiętaj, jacy są mieszkańcy Twierdz. Bezwładni. Nigdy nie czuli się zagrożeni. Nie pojmą, że możemy ich zbombardować. Wyśmieją nas. Ta rasa wyzbyła się poczucia zagrożenia. Trzeba będzie zbombardować jedną Twierdzę i pozabijać tysiące ludzi, żeby przekonać ich, na co jesteśmy zdecydowani. Ja...

Przerwał mu śmiech Sama. – Nie jestem tego taki pewny, wciąż jesteśmy ludźmi. Rzeczywiście wiele pokoleń nie przeżywało już ani wojen, ani niebezpieczeństw – ale ludzi wciąż prześladowuje sen o spadaniu sięgający czasów, gdy pierwszy małpolud odpadł od konaru drzewa. Gdy człowieka ogarnia gniew, nadal rozszerzają mu się nozdrza, ponieważ w momencie gdy odruch ten został w nim zakodowany, człowiek musiał jakoś oddychać, albowiem jego zęby w gryzały się we wroga! Nie sądzę, żebyśmy zdołali pozbyć się do reszty naszych strachów, tak jak przypuszczasz.

– A jednak nie zrobię tego – powiedział Hale stanowczo. – Tego byłoby za wiele. Nie ma wątpliwości...

Gdy groźba zabrzmiała po raz pierwszy z ekranów informacyjnych, wszystko zadrżało jak od wybuchu bomby. Po tym, jak słowa te padły z ogromnych ekranów, we wszystkich Twierdzach na długą chwilę zapanowała śmiertelna cisza. Następnie zamieszanie. I śmiech.

Hale częściowo miał rację. Nikt nie uwierzył w zagrożenie ze strony odbudowanej floty. Samo istnienie Kolonii zależało od dostaw z Twierdz. Nie odważą się zniszczyć źródeł zaopatrzenia. A jeśli będą aż takimi szaleńcami, żeby to zrobić – rozumował każdy w ciągu tych pierwszych kilku minut – istnieją duże szanse, iż uderzenie bomb głębinowych spadnie na jakąś inną Twierdzę – nie na tę, w której mieszkam.

Następnie za pośrednictwem publicznych ekranów Sam wymienił tę Twierdzę – Delaware.

Określił czas – natychmiast. Wymienił swą cenę – korium.

Zaczęła się wojna nerwów.

Dokonując owego bluffu Sam dysponował bronią, która dawała mu poczucie pewności siebie. Nie była zbyt silna, co oznaczało, że po prostu musi sprytnie się nią posłużyć. Musiało mu się udać. W tym momencie nie miał już odwrotu.

Broń ta, jak wszystkie skuteczne środki, których człowiek może użyć przeciwko człowiekowi, miała charakter osobisty.

Odnalazł Blaze'a Harkera.

W ostatecznym rozrachunku cała walka sprowadzała się do konfliktu między dwoma ludźmi – Samem i Zachariaszem. Klany Nieśmiertelnych rządziły Twierdzami, model ten ustanowili dla wszystkich Klanów Harkerowie, a Zachariasz stał na czele Klanu Harkerów. Zachariasz niekoniecznie musiał wiedzieć, co jest najważniejsze, Sam jednak to wiedział. Postawił wszystko na jedną kartę mając nadzieję, iż przy pomocy tego klucza – a cały plan przygotował bardzo dokładnie – może przelicytować Zachariasza.

Zdawał sobie sprawę, oczywiście, że Klany muszą opracowywać własne plany działań. Poprzednim razem tamci działali po cichu i w tajemnicy, dopóki nie nadszedł właściwy moment, a wtedy wszystkie projekty Sama doszczętnie się rozleciały. Tym razem będzie inaczej.

Na polecenie Sama Krętacz odnalazł Blaze'a. Gdy nadeszła wiadomość, Sam udał się możliwie jak najszybciej do cuchnącej nory w slumsach Twierdzy Delaware. Gdy przyszedł, Krętacz pogrążony był w majaczeniach wywołanych przez narkotyk zwany Pomarańczowym Diabłem, w zamroczeniu nazwał Sama imieniem jakiegoś Klanu i opowiadał o dawnych zbrodniach, których nawet Sam nie pamiętał.

Dał Krętaczowi łyka, a wtedy opadło z niego zamroczenie i wielkie cielsko chichocząc i pociągając nosem uniosło się na łóżku.

– W sprawie tego Harkera, synku... zdobyłem dla ciebie adres. – I podał mu go, chrząkając.

Sam zawrócił do drzwi.

– Chwileczkę, synku, przyhamuj! Dokąd chcesz lecieć?

– Odnaleźć Blaze'a.

– Nie wejdiesz tam. To miejsce jest pilnowane.

– Wejdę.

– Potrzeba na to, synku, sześciu tygodni. Żeby wejść do tego kompleksu gmachów, będziesz musiał wynaleźć kogoś, kto bierze łapówki. Będziesz potrzebował przynajmniej jednego fałszerza. Będziesz musiał mieć zorganizowany szybki odwrót. Będziesz...

– No, dobra, dobra! Więc zaczynajmy. Mógłbyś się tym zająć?

– Być może. Mógłbym spróbować.

– Więc zaczynaj! Ile to zajmie? Nie mogę czekać sześć tygodni. Trzy ci nie wystarczą? – Umilkł, przerwał mu bowiem coraz głośniejszy chichot, od którego zatrzęsło się okryte kocami cielsko.

– Daj spokój, chłopcze. Już to załatwiłem. – Sam otworzył szeroko oczy. Krętacz krztusił się ze śmiechu. – Stary jeszcze się trzyma, mój chłopcze. Nie myśl, że robota nie była ciężka, ale wszystko zrobione. Zasłoń okno i zgaś światło. A teraz spójrz.

Na ścianie pojawił się przyćmiony, świetlny kwadrat. Poruszały się na nim jakieś cienie o

konturach rozmazanych z powodu nierówności ściany. Patrzyli na film zrobiony przy pomocy małej, szpiegowskiej kamery niewątpliwie przymocowanej na wysokości pasa człowieka poruszającego się nierównomiernie. Czasami szedł, a obraz filmowy przesuwał się w miękkim, rytmicznym kołysaniu, czasami biegł, a wtedy rytm obrazów stawał się poszarpany. Gdy zatrzymywał się, obiekt wstrzymywał się wraz z nim. W rezultacie film, chociaż nierytmiczny, był przekonujący.

Przez pierwsze sekundy filmu mała kamera najwyraźniej skierowana była na znajdujące się blisko obiektu zakratowane wejście. Pojawiły się nogi w białych spodniach, brama się otworzyła, w perspektywie ukazały się na chwilę ogrodowe alejki i tryskające fontanny. Niewątpliwie była to jedna z warowni Nieśmiertelnych.

W filmowym obrazie, w jego delikatnym przesuwaniu się raz ku prawej, raz ku lewej stronie zgodnie z ruchami człowieka badającego otoczenie, wyczuwało się szybką, wyostrzoną czujność. Dwukrotnie człowiek ten uskoczył, żeby się ukryć. Obraz niósł na kilka sekund, gdy człowiek z kamerą chował się za drzewami lub zasłoną. W tym szybkim marszu przez korytarze był nastrój tajemniczości – kręciło się od tego w głowie.

Potem człowiek z kamerą nagle przyspieszył – zaczął biec. Ściany podskakiwały, gwałtownie się przesuwały, gdy mężczyzna skręcał za róg korytarza. Film zrobił się niemal zupełnie ciemny, ściana znalazła się tuż przed

kamerą. Jazda w górę windą o szklanych ścianach. Znowu jakieś korytarze w biegu.

Przystanek przed następnymi okratowanymi drzwiami i znowu ważny szczegół – pręty z ozdobami. Pręty zrobiły się ogromne, aż rozmazały się i zniknęły. Obiekt znalazł się tuż przy drzwiach zaglądając do znajdującego się za nimi pokoju.

Kluczowa scena ukazała się tylko na chwilę. Na moment można było zobaczyć bogato umeblowany pokój i jakiegoś mężczyznę, nad którym pochylali się dwaj inni. Mężczyzna ten chyba z nimi walczył.

Nagle obiekt uskoczył w bok i zatrzęsł się tak, iż wszystko na obrazie zadygotało. W szybkim ruchu w górę pokazał na chwilę wysokie ściany, następnie mignął sufit, a potem w obiektywie pokazała się wykrzywiona twarz i uniesiona ręka z czymś błyszczącym.

Film zbladł i urwał się z głośnym trzaskiem.

Następnie ukazał się znowu. Czas zaczął wracać. Obiekt powolutku zbliżał się do prętów, które się rozplywały. Bardzo powoli ukazało się wnętrze pokoju. Walczący mężczyzna i jego dwóch współtowarzyszy zbliżali się do ściany z upiorną powolnością, która patrzącym dawała okazję przestudiowania każdego szczegółu.

Cały pokój był wyłożony poduszkami. Miękki dywan ugiął się pod nogami trzech mężczyzn. Wykładzina z pięknie pikowanego welwetu pokrywała ściany na wysokość człowieka. Meble były pękate i miękkie, bez krawędzi.

Walczący mężczyzna był wysoki, szczupły, zgrabny. Miał pięknie ukształtowaną głowę i nawet w konwulsyjnych ruchach wykazywał zadziwiającą płynność i wdzięk. W pierwszym momencie trudno było dostrzec jego rysy, tak zniekształcały je szybko zmieniające się dzikie grymasy. Twarz miał umazaną krwią z rozbitych warg, a oczy tak wywrócone, że nie widziało się ich tęczówek.

Jego dwaj przeciwnicy starali się obezwładnić go przy pomocy kaftana bezpieczeństwa.

Powoli dawali sobie radę. Wszystko działo się w owym dziwnym, zwolnionym tempie, które nadawało całej scenie jakąś celową rytmiczność jak w balecie, i pozbawiało walkę wszelkiej

spontaniczności – tak powoli się odbywała. Wysoki mężczyzna uderzył się po bokach skrępowanymi rękami, odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się dziko i bezgłośnie, a krew spływała mu po policzku. Śmiech ten gwałtownie zamienił się w zwykły gniew i mężczyzna sprytnie przechyliwszy się odskoczył na bok, ściągając na podłogę jednego z tamtych. Ten drugi pochylił się nad nimi i nagle cała scena szaleńczo zawirowała, obiektyw odchylił się w górę i film się skończył.

– To był Blaze Harker – powiedział Krętacz, gdy na chwilę zapadła cisza. – Daj mi łyka, synu. Też sobie łyknij – chyba ci się przyda.

– ... i do tego wszystko się sprowadza – oświadczył Sam tysiącom ludzi słuchających go we wszystkich Twierdzach – albo dacie nam korium, do którego mamy prawo, albo poniesiecie konsekwencje. Skończył się czas targów i obietnic. Jest to ostateczna próba. Jaka jest twoja odpowiedź, Harker?

Na dnie wszystkich mórz, pod kopułami z impervium, zapanowała śmiertelna cisza, gdy tłumy zobaczyły, jak na wszystkich ekranach wielokrotnie powiększona twarz Sama odwraca się w oczekiwaniu odpowiedzi. A gdy oczekiwanie przedłużało się, w dziewiętnastu Twierdzach zaczął narastać szum głosów. W tym momencie był to dla nich problem czysto teoretyczny.

W Twierdzy Delaware był to jednak problem istotny. Zapanowała w niej cisza i chyba po raz pierwszy od czasu, gdy wzniesiono Twierdzę, pod wydętą jak balon kopułą można było usłyszeć głęboki, jednostajny szum przesuwających się bez końca ruchomych Szlaków.

Zachariasz wyczekał do ostatniej chwili. Następnie, ze znakomitą wyczuciem czasu, dał sygnał ze swego odległego gabinetu akurat w momencie, gdy dalsza zwłoka stała się nie do zniesienia. Twarz Sama zaczęła znikać z ekranów wszystkich Twierdz, aż pozostał tylko jej cień w tle. Stopniowo nałożyła się na nią pogodnie przystojna twarz Harkera.

– Jesteś głupcem, Reed. – Głos Zachariasza był chłodny i spokojny. – Wszyscy wiemy, że jest to dziecinny bluff.

Cień, który był twarzą Sama, nabrał nagle ostrości, a twarz Zachariasza stała się przezroczysta. Sam odezwał się: – Oczekiwałem, że to powiesz. I przypuszczam, że mu wierzycie. Przed wszystkim muszę wszystkich przekonać. Zostało mało czasu, zatem – spojrzcie.

Kontury obu twarzy rozmazały się i zniknęły z ekranu. Ukazał się natomiast lśniący pejzaż morski. Padające zza chmur promienie słońca nadawały szarej toni oślepiającą, błękitną poświatę. Prosto na widzów płynęła flota pięciu okrętów przeorywując tę poświatę opancerzonymi dziobami, wokół których rozpryskiwały się migocące fontanny.

Były to niewielkie okręty, ale przeznaczone do specjalnych zadań. Całkowicie pokrywało je impervium, sylwetki ich były gładkie, niskie i szybkie. Wyglądały groźnie. I były groźne. Widzów przede wszystkim uderzała ich wzbudzająca strach absolutna bezdusność. Nie widziało się na nich ludzi, jedynie jakieś niewyraźne cienie przemykały zdecydowanie wewnątrz kadłubów. Były to niszczycielskie maszyny zmierzające do wykonania zadania, dla którego zostały zrobione.

Z ekranu odezwał się głos niewidocznego Sama: – Uwaga! – I w chwilę później, w pewnej odległości za ostatnim okrętem, morze nagle zakipiało i wytrysnęło wysoką fontanną, która opadła jak diamentowy prysznic.

Okręty zniknęły. Ekran zrobił się na chwilę pusty, po czym ukazał się inny obraz. Tym razem był to podwodny świat przesycony falującym światłem i zielonożółty, gdyż znajdował się tuż pod powierzchnią. Znajdujący się w górze strop wydawał się prawie namacalny, a marszczyły go i wydymały skrócone perspektywnie cienie fal. Przecinały go ślizgowym ruchem długie, ostre dna

okrętów – jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty – opancerzone i ciemno połyskujące.

Obraz poszarzał, kile okrętów uniosły się i zniknęły, kamera zaczęła opadać głębiej śledząc ruch jakiegoś ciemnego, cylindrycznego kształtu, który został wystrzelony z ostatniego okrętu. Obiektyw skierował się na bombę, która opadała cicho w wenusjańskie morze. Widzowie w Twierdzach zaczęli zadawać sobie pytanie, od którego cierpła im skóra: – Co jest celem?

Morze było w tym miejscu głębokie. Bomba głębinowa opadała bez końca. Mało kto obserwował sam pocisk. Większość wpatrywała się w dolne krawędzie ekranów w oczekiwaniu na to, co się ukaże na dnie... Ukazał się piasek.

Gdy bomba uderzyła, obraz natychmiast został zmieniony tak, iż ukazały się skutki wybuchu. Niewiele jednak było widać. I to właśnie wydawało się najbardziej przerażające – ten wir dzikiego, podmorskiego chaosu, bezkształtny żywioł na ekranie i wyraźnie słyszalny głęboki grzmot wybuchu.

Wybuch zaczął się rozszerzać.

Nie tylko na ekranach. Fale dźwiękowe ruszyły przez sążnie wody i z całą siłą uderzyły w ogromną kopułę z impervium Twierdzy Delaware. Czyżby w samej Twierdzy dało się odczuć najlżejsze drzenie, choćby najmniejsza

wibracja?

Czyżby Twierdza – sama Twierdza! – zatrzęsała się lekko, gdy podmorski Tytan uderzył młotem w dno morza? Dźwięk zamarł. Zapanowała cisza.

Daleko w górze na okręcie flagowym Sam rozsunął dźwiękochłonne płyty i odwrócił się do ekranu pomocniczego. Przyjmował meldunek.

Przy tym połączeniu na ultrakrótkich falach świetlnych nie ukazała się żadna twarz. Nie rozległ się żaden dźwięk. Sam automatycznie przetłumaczył powikłany kod na zrozumiały język.

„Kedre Walton godzinę temu opuściła Twierdzę Montana. Właśnie weszła do Delaware”.

Sam instynktownie spojrzał w dół. Uruchomił urządzenie kodujące.

„Czy zna sytuację?”

„Nie wiadomo. Dowie się z publicznych telewizorów w Delaware”.

„Czy Sari otrzymała specjalną przesyłkę?”

„Od razu, jak dowiedzieliśmy się, że Kedre wyjechała z Montany. Już chyba to zażyła”.

Drugi ekran uporczywie wzywał do odbioru adresata. Z jeszcze innego odezwał się głos Robina Hale'a.

– Reed! Dajesz sobie radę?

– Jakoś idzie – odpowiedział Sam i powrócił do

połączenia z Twierdzą. Popatrzył przez chwilę w oczy Zachariasza porządkując myśli. Nie mógł powstrzymać krzywego, triumfującego uśmiechu na widok wyniosłej, lecz złudnej pewności siebie Nieśmiertelnego.

Sprawdzał się bowiem jego plan działania. Z wielką precyzją wybrał najwłaściwszy moment. Kluczem do niego, godziną zero, stał się powrót Kedre Walton do Twierdzy Delaware. Przeciwno Nieśmiertelnym ciosy psychologiczne były znacznie bardziej skuteczne niż jakakolwiek bomba.

Teraz Sari powinna już mieć w rękach proszek narkotyczny, o który Sam wystarał się dla niej dzięki swym nowym kontaktom z podziemiem. Narkoman o nic nie pyta. Powinna zażyć proszek natychmiast, gdy do niej dotarł – a nie był to zwykły narkotyk.

Znajdował się w nim dodatkowy składnik.

Teraz wstrząs po wstrząsie powinien szarpać nerwami Sari. W jej mózgu powinna już kumulować się wysoka energia, która na jakiś czas rozkruszy osłonę ostrożności i samodyscypliny spajającej osobowość. Powinna być bliska wybuchu, gdy pęknie cieniutka nitka zapalnika. A kierunek tego wybuchu został już ustalony przez jej własne uwarunkowania i otoczenie. Poza tym – urodziła się pod tą samą gwiazdą co Blaze Harker. Nie był nią Mars, lecz znacznie bardziej złowieszcza, świecąca chłodno nad chmurami Wenus – gwiazda Ziemia, od której pochodziło groźne dziedzictwo i umysłowe rozchwianie Sari.

– Nie zastraszysz nas, Reed – powiedział spokojnie Zachariasz. – Nie zniszczysz Twierdzy Delaware.

– To była pierwsza bomba – odrzekł Sam. – Płyniemy w kierunku Delaware. Będziemy zrzucali bomby co pięć minut, do chwili gdy zatrzymamy się nad wami. Ale i wtedy nie przestaniemy bombardować.

– Czy zastanowiłeś się nad skutkami?

– Owszem – powiedział Sam. – Mamy radar i broń przeciwlotniczą. Mamy pociski sterowane. A żadna z Twierdz nie jest uzbrojona. Poza tym – znajdują się na dnie morza. Jesteście bezpieczni – dopóki nikt was nie zaatakuje. Bo wtedy – nie możecie wykonać kontruderzenia. Możecie tylko czekać i umrzeć.

Głos jego umilkł na publicznych ekranach. Sam włączył ekran pomocniczy, żeby obserwować jeden z wielkich, publicznych ekranów znajdujący się na gwiazdzistym skrzyżowaniu Szlaków. Zobaczył, że zgromadził się tam tłum. Ze wszystkich stron, niby krwionośnymi arteriami, ludzie zmierzali do tego punktu informacyjnego. Jak czerwone, a nie białe ciała – byli budowniczymi, a nie wojownikami. Tak, potrzebni im byli budowniczowie, żeby skolonizować Wenus.

Na razie jednak walczył przeciwko Twierdzom.

Zaczął niepokoić się trochę o Hale'a. Nie był pewny Wolnego Żołnierza. Czy Hale rzeczywiście zrzuci bombę na Delaware, gdy dojdzie do ostatecznej rozgrywki? A czy on sam by to zrobił?

Nie powinien dopuścić, żeby sprawy zaszły aż tak daleko.

W tej chwili Kedre musi być w drodze do warowni Harkerów. Powinna już wiedzieć, co się stało; w całej Twierdzy telewizory przekazywały informacje. Pospieszy, by stanąć u boku Zachariasza. Zachariasza, którego przez setki lat kochała miłością różną od nieruchomego światła lampy radowej, taką jak planeta nieuchronnie zbliżająca się w peryhelium do słońca, odbiegająca ku innym planetom i powracająca zgodnie z torem swej orbity. Tak, w czasie tego kryzysu będzie chciała znajdować się u boku Zachariasza.

– Następną bomba – powiedział Sam.

Obraz przesunął się ponownie. Znowu spadła bomba. Tym razem uderzyła w skałę. Przez publiczne ekrany przetoczył się długi huk wybuchu, a tłumy zakołysały się w rytmie fali wibracji jak falująca w wodzie roślinność.

I znowu rozległo się dudnienie, gdy podwodne fale dźwiękowe zderzyły się z falami telewizyjnymi.

Tym razem ludzie upewnili się. Twierdza Delaware lekko zadrżała.

Zapadła cisza. Na Szlakach rozległ się pomruk. Mieszkańcy Twierdz czekali. Tłumy na Szlakach były większe niż kiedykolwiek od czasu, gdy człowiek po raz pierwszy dotarł na Wenus. Stado,

któremu zawsze, aż do teraz.

przewodzili Nieśmiertelni – obserwowało pojedynek Zachariasza Harkera z piratem.

– Przypuśćmy, że się poddacie – powiedział Sam. – Klany mogą trochę stracić, ale nie tracą zwykli ludzie. Czy boicie się pozwolić zwykłym śmiertelnikom wyjść na ląd? Boicie się, że nie będziecie mogli nimi tam rządzić?

– Każdy, kto chce na ochotnika zaciągnąć się do waszej Kolonii, może to zrobić – odrzekł Zachariasz. – Jest wolny, tak jak wszyscy mieszkańcy Twierdzy. Ale wy chcecie zdobyć niewolników. Ludzie nie powinni jeszcze wychodzić na ląd. Jeszcze nie czas. Nie możecie zdobyć ochotników. Twierdzicie, że potrzebujecie korium. Sądzę, że jest to zaledwie wasze pierwsze żądanie. Następnie zażądacie ludzi na przymusowe roboty w Kolonii.

– Za późno na słowne przepychanki – powiedział Sam, wiedząc, że jego głos słyhać we wszystkich Twierdzach na Wenus. – Słuchajcie! Dacie nam korium albo zbombardujemy Twierdzę Delaware!

– Nie zbombardujecie tej Twierdzy. Zginęłoby pół miliona ludzi.

– Dla was to i tak niska cena za powstrzymanie kolonizacji, prawda? Może chcecie zginąć razem z Delaware, ale co z innymi Nieśmiertelnymi? Podobno wszyscy Harkerowie oprócz ciebie opuścili już Twierdzę, a na ciebie czeka okręt ewakuacyjny. Skąd nadajesz?

Zachariasz nie ośmielił się przemilczeć tego wyzwania. Sam wiedział, że miał u siebie kontrolny ekran, na którym widział tłumy w Twierdzy. Cały prestiż Harkera – prestiż Nieśmiertelnego – zależał od utrzymania zaufania. A oni nie poparliby władców nie będących przywódcami.

Zachariasz znowu odwrócił się ku ekranowi i powiedział krótko do Sama i do wszystkich Twierdzy: – Żaden Nieśmiertelny nie opuścił Delaware. Jak widzicie, mówię do was z Sali Rady Harkerów.

Obraz na ekranie zmienił się. Ukazała się dobrze znana Sala Rady, w której znajdował się tylko Zachariasz siedzący przed aparaturą nadawczą na końcu długiego stołu.

Drzwi Sali otworzyły się i zaczęła wchodzić grupa mężczyzn i kobiet. Sam rozpoznał Raula. Szukał jeszcze jednej znanej mu twarzy.

Czy dobrze zsynchronizował czas?

– A inne Klany... – powiedział Zachariasz. – Możemy szybko wszystkie sprawdzić.

Na ekranie ukazały się pozostałe Sale Rad – sanktuaria wielkich Klanów Twierdzy Delaware. Zapęłniały się szybko klanami: Randolfów, Woodów, Davisonów i Mawsonów. Wszyscy jednak wiedzieli, iż rzeczywistymi władcami Delaware byli Harkerowie. Kamera skierowała się znowu na Zachariasza. Było też długie ujęcie ukazujące Geoffreya, Raula i kilku innych przy stole. Sam wypatrywał Sari i ujrzał ją. Wolałby zobaczyć ją dokładniej. Czy zażyła podniecający narkotyk?

Siedziała nieruchomo. Ale nagle splotła gwałtowne spoczywające na stole dłonie i Sam już był pewny.

– Twój bluff nie udał się – powiedział Zachariasz. – Żaden Nieśmiertelny nie opuści Twierdzy.

– Zatem wszyscy wolicie raczej umrzeć, niż oddać trochę korium – odezwał się Sam. – Wasze życie – wasza sprawa. Ale korium nie należy do was, a do mieszkańców Twierdzy. Oni je zrobili i jest ich – lub powinno być. Nie macie prawa decydować, czy ludzie mają żyć, czy umrzeć.

– My jesteśmy ludem – odrzekł Zachariasz.

– Kłamiesz – powiedział Sam. – Cóż wy o nas wiecie? Jesteście bogami. Nic nie wiecie o zwykłych ludziach, którzy muszą harować na złote jabłko, którego nawet nie powąchają. Ale wy je dostaniecie. Dostaniecie je tylko czekając i nic nie robiąc, podczas gdy zwykli śmiertelnicy pracują, mają dzieci i umierają – tak samo ich dzieci. Możecie odkładać kolonizację łąd, ponieważ będziecie żyli wystarczająco długo, żeby móc pochodzić sobie pod gwiazdami i w słońcu, w dodatku znacie to z dawnych czasów na Ziemi. Na statkach kosmicznych wyruszyście ku planetom. Dostaniecie złote jabłko. Ale co z nami? Umrzemy, poumierają też nasze dzieci i, dzieci naszych dzieci – trudząc się przy stawianiu piramidy, której nigdy nie ujrzą ukończoną. Nie jesteście ludem! – Głos Sama przeszedł w krzyk. – Nie jesteście nawet ludźmi! Jesteście Nieśmiertelnymi!

– Rządzimy z woli ludu. Ponieważ mamy najlepsze do tego kwalifikacje.

– Kwalifikacje? – zapytał Sam i dodał: – Gdzie jest Blaze Harker?

– W tej chwili nie ma go w Twierdzy Delaware...

– Dajcie kanał wysokiej częstotliwości – powiedział Sam.

Nastąpiła przerwa. Następnie Zachariasz wykonał gest. We wszystkich Twierdzach ekrany zszarzały i zgasły. Tylko dwa ekrany pośredniczyły teraz w rozmowie: ekran Sama i Harkerów.

Sam również nastroił prywatny kanał wysokiej częstotliwości. Powiedział: – Wiem, gdzie znajduje się Blaze Harker. Mam go na filmie. Mogę ten film nadać, a dobrze wiesz, co będzie oznaczało dla prestiżu Harkerów, jeśli ludzie dowiedzą się, iż Nieśmiertelny może zwariować.

Sam usłyszał za sobą sygnały kodu. Automatycznie przetłumaczył: „Kedre Walton wchodzi do budynku Harkerów...” Zbliżała się wyznaczona chwila.

Nagle sygnały odezwały się znowu. Tylko Sam usłyszał, o czym mówiły: – Posłuchaj, co dzieje się w Twierdzach! Włącz dźwięk! Posłuchaj!

Nie chciał słuchać. Nie spodziewał się takiego zakłócenia. Tak wiele zależało teraz dosłownie od ułamków sekund i od szczęścia, że będzie skończony, jeśli cokolwiek pójdzie nie tak jak trzeba. Ani na chwilę nie chciał odrywać uwagi od nieprzerwanego nacisku, który kierował na Harkerów. Jednak włączył szybko prywatny ekran – i przez chwilę słuchał z najwyższą uwagą.

Tam, w Twierdzach, ekrany milczały. Ludzie zostali odcięci od tej fascynującej, niezwykle ważnej dyskusji akurat w najistotniejszym momencie.

I ludziom to się nie podobało.

Stłoczone tysiące zaczęły wydawać z siebie głęboki pomruk gniewu. Tłumy kołysały się niespokojnie, nerwowo, falowały ku ekranom, jakby przeciskanie się do nich mogło spowodować ukazanie się obrazu. W miarę upływu sekund rósł pomruk gniewu. Od czasu do czasu odzywały się głośne okrzyki – jak ostateczne rozkazy wydawane przez tłum. Powinno się na nie odpowiedzieć. I to szybko – bardzo szybko. ,

Sam błyskawicznie podszedł do bezpośredniego połączenia z Harkerami. Z ich Sali Narad dochodził odległy dźwięk tego samego, rosnącego pomruku gniewu. Również obserwowali nastrój tłumów. Również zdawali sobie sprawę, iż czas biegnie zbyt szybko. Sam uśmiechnął się ironicznie. Nie może być lepiej. Miał ich już w garści, czy zdawali sobie z tego sprawę, czy nie. Bowiem aż do tej chwili żaden Nieśmiertelny nie doświadczył takiego nacisku. Nie byli do tego przyzwyczajeni. A Sam przez całe życie znajdował się pod presją. Potrafił szybko myśleć. Jeśli teraz uda mu się wystarczająco prędko powiedzieć...

– Prestiż Nieśmiertelnych! – zaczął gwałtownie, korzystając z prywatnego kanału łączności. – Zatraciliście wszelki związek z istotami ludzkimi. Cóż wiecie, wy Nieśmiertelni, o ludzkich

uczuciach? Wierność... lojalność... czyżby tak bardzo zmieniły się po kilkuset latach? Jestem szczęśliwy będąc zwykłym śmiertelnikiem!

Zachariasz patrzył oszołomiony, gdy Sam przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu. Słowa jego nie brzmiały zbyt prawdziwie i Zachariasz wyczuł w nich fałszywą nutę. Taka retoryka i ogólniki doskonale pasowały do przemówienia do tłumów, ale były nie na miejscu w wystąpieniu na prywatnym kanale. Prawie słyszało się, jak Zachariasz myślał: taka heroicznosc jest dla ciasnych umysłów stłoczonej zbiorowosci. Lub dla jakiegoś małego umysłu wśród nas, skołowanego i zmętniałego...

Sam zbyt późno ujrzał na twarzy Nieśmiertelnego błysk zrozumienia. Chciał jeszcze rzucić kilka słów do' nadajnika i gdy koncentrował się, by to zrobić, ujrzał, jak drzwi za Zachariaszem szeroko się otwierają, co uzmysłowiło mu, iż niemal się spóźnił.

– Zatem ludziom -takim jak ty wolno poderwać na chwilę jakąś naiwną, głupiutką kobietkę, a potem ją kopnąć, gdy tylko można wrócić do...

Kedre Walton przeszła cicho przez drzwi wchodząc do Sali Rady. Kątem oka Sam dostrzegł błysk zielonozłotych włosów Sari, gdy podniosła głowę, zauważył też napięcie jej przygarbionych pod lśniącym szalem ramion. Obserwował jednak Kedre.

Wyglądała, jakby nie usłyszała jego słów. Przeszła szybko przez Salę, wysoka, absolutnie doskonała, odchylając do tyłu głowę pod ciężarem spadających kaskadą włosów, jakby były zbyt ciężkie dla jej wysmukłej szyi. Wchodząc rozpięła długi płaszcz, pozwoliła, żeby w błyszczących zwojach ześliznęła się na podłogę i szła dalej, wyciągnąwszy ku Zachariaszowi wąskie, białe dłonie.

Sam był przekonany, że to właśnie tak się stanie. Zbyt wiele lat intymnej zażyłości łączyło ją poprzednio z Zachariaszem, aby teraz mogła o tych więzach zapomnieć. Te długie okresy przeszłości stworzyły między nimi jakąś wspólnotę ciała i myśli, która działała najdoskonalej, gdy byli obok siebie. Jeśli Zachariaszowi kiedykolwiek jej brakowało, to właśnie teraz. Przybyła najszybciej jak mogła. Wszyscy na Sali zauważyli, iż tych dwoje tworzyło jedność tak wielką, na jaką tylko stać dwoje ludzi, tak zresztą zawsze musiało być w chwilach, gdy byli zagrożeni.

Sam skierował spojrzenie na Sari. Podobnie uczynił Zachariasz – ale zbyt późno. O ułamek sekundy wcześniej obaj wiedzieli, co nastąpi, nie było jednak czasu, by ją powstrzymać. Scenariusz był bezbłędny. Szok za szokiem wstrząsał Sari, która starała się powstrzymać skumulowane reakcje nerwowe spowodowane dostarczonym przez Sama sfalszowanym narkotykiem.

Działanie Sari zostało już ukierunkowane. Nienawidziła Zachariasza i Kedre. W tym momencie został przekroczony punkt krytyczny.

Urodziła się pod gwiazdą Ziemią, która wybuchła. Wydawało się, że Sari również ogarnia żywioł szaleństwa i wściekłości.

W ciągu kilku sekund zgromadzenie Nieśmiertelnych zamieniło się w prymitywnie kotłujący się tłumek, który próbował rozluźnić morderczy uścisk Sari na gardle Kedre.

Nacisnąwszy włącznik Sam ujrzał w miniaturze swą twarz daleko w dole, na publicznych ekranach. Gdy Sam krzyknął, posępny, wzrastający powoli, lecz nieustannie pomruk tłumy gwałtownie ucichł.

– Harker! Harker! Nie widzę cię! Pokaż się! Jakże mogli się pokazać? Nie było odpowiedzi.

– Harker! Harker! Czyżbyś opuszczał Twierdzę?

Spadła następna bomba głębinowa.

Przez przetaczający się grzmot eksplozji, przez złowieszcze trzeszczenie impervium nad miastem pod naporem uderzenia, znowu dobiegł głos Sama:

– Gdzie jesteście, Harker? Jeśli Harkerowie uciekli, kto zajął ich miejsce? Odpowiedzcie!

W szybkim, krótkim ujęciu ukazała się twarz Zachariasza. Oddychał ciężko. Krew z podłużnej rany spływała mu po policzku. Był lodowato opanowany.

Odezwał się: – Nie uciekliśmy z Twierdzy. My...

Nie skończył. Ponieważ zupełnie zagłuszył go ryk tłumu. Ryk dobiegał z Twierdzy Montana. Po raz pierwszy w historii Wenus głos tłumu przebił się przez przykrywającą miasto kopułę, po raz pierwszy od czasu, gdy Nieśmiertelni uzyskali pełną kontrolę nad ludźmi, tłum ośmielił się kontrolę tę zakwestionować.

Zakwestionowali ją właśnie w tej chwili. Odrzucili ją – jeśli dźwięk ten cokolwiek oznaczał. Na ekranie Zachariasz bezgłośnie poruszał wargami. Ani jedno słowo nie zdołało się przebić przez powszechny, jednolity ryk.

Tłumowi musiało się już bowiem wydawać, iż Twierdza się wali. Widok Zachariasza, który niewątpliwie przed chwilą uczestniczył w jakimś groźnym przesileniu, ciężko łapiącego powietrze, z krwią spływającą po twarzy – był przerażający. Znajdująca się w górze kopuła wciąż trzeszczała pod uderzeniami bomb i w końcu nawet ten niewzruszony Nieśmiertelny wyglądał na ogarniętego paniką.

Ów ryk tłumu spowodowało przerażenie. Żądali, aby się poddać, nasilenie krzyku wzrosło.

I wówczas Sam popełnił pierwszy błąd.

Powinien stać na uboczu i pozwolić na dalszy rozwój wydarzeń. Ale na widok Zachariasza, który nawet w tym zamieszaniu zachował lodowaty spokój, poczuł pragnienie, aby trzasnąć w jego gładką, wiecznie młodą twarz, wydusić z niej jakąś oznakę śmiertelności – wymusić na niepokonanym Nieśmiertelnym przyznanie się do porażki. Jeśli w takiej postawie zasługiwało coś na podziw, Sam nie zwrócił na to uwagi.

Nie mogąc dosięgnąć Zachariasza pięściami, smagnął go głosem.

Nikt nie słyszał pierwszych słów, które ryknął do Nieśmiertelnego. Ale gdy Jego surowa twarz o rudych brwiach nabrała na ekranach ostrości, krzyk tłumu zaczął się stopniowo uspokajać, aż jego słowa stały się słyszalne.

– ... poddaj się! – wrzeszczał Sam. – Żaden Harker nie nadaje się do rządzenia! Albo dajcie nam to, o co prosimy, albo pokażcie, co stało się przed chwilą w waszej Sali Rady! Pokażcie nam! Pokażcie, jak przytomni są Harkerowie w chwili kryzysu! Nie, chwileczkę, ja pokażę! Mieszkańcy Twierdzy! Za chwilę zobaczycie Blaze'a Harkera i to...

Na ekranie cień, którym był czekający Zachariasz, zrobił niecierpliwy gest, i twarz oraz głos Sama, który wciąż gestykulował i krzyczał, poczęły zanikać. Ukazał się Zachariasz, pochylony do przodu, patrzący z góry niby bóg na ogarnięty paniką motłoch.

– Mieszkańcy Twierdzy, mam dla was nowinę – powiedział spokojnie. – Nic wam nie grozi. Nie spadły tu żadne bomby. I nie spadną. Ten człowiek nie jest tym, za kogo się podaje. Dotychczas zachowałem w sekrecie jego tajemnicę, nadszedł jednak czas, by przemówić. Joe! Reed oświadczył, że nigdy nie znał swego ojca. Przysiągł, że zmaże hańbę ze swego nazwiska i da wam jeszcze jedną szansę życia na lądzie, której pozbawił was Sam Reed. -Zachariasz przerwał.

– Ten człowiek to Sam Reed – powiedział.

Gdy Zachariasz umilkł, rozległ się pełen zdumienia szum głosów. Pozwolił mu trwać przez

chwilę, a następnie podniósł rękę i ciągnął:

– Mamy na to niewątpliwe dowody – odciski palców i wzór siatkówki oczu. Nasi specjaliści nie popełniają błędów. Człowiek, który tak wiele wam obiecuje, to Sam Reed, oszust i narkoman. Czy wiedząc to, możecie mu wierzyć? Samie Reed – przemów do Twierdzy! Obiecuj dalej! Przemów do ludzi, których oszukałeś! A może wyprzesz się tego, kim jesteś? Odpowiedz nam, Samie Reed!

Sam poczekał, aż jego twarz na ekranie nabierze ostrości. Z tyłu, w cieniu, czekał Zachariasz, miał jeszcze rozchylone wargi, wciąż ciężko oddychał, a krew spływała mu po policzku.

Zachariasz stracił głowę.

Początkowo nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, nawet

Sam. Sam wiedział tylko, iż musi zdobyć się na najszybszą w swoim życiu reakcję. Jego celowe rzekomo milczenie mogło trwać najwyżej kilkanaście sekund. Potem musi przemówić. Miał tę odpowiedź w podświadomości. Wiedział, że tam jest, niemal ją czuł. Ale prawie przez dziesięć lub piętnaście sekund na próżno starał się ją sformułować.

I nagle go olśniło. Zachariasz popełnił ogromny, fatalny błąd. Harkerowie nie byli przyzwyczajeni do szybkiego myślenia. Przez zbyt wiele stuleci nie stawiali wobec konieczności ogarnięcia w jednej chwili grożącego niebezpieczeństwa, ocenienia wszystkich możliwości i instynktownego wybrania najkorzystniejszego sposobu wyjścia. A Zachariasz był Nieśmiertelnym. Nie myślał tak jak normalni ludzie. Umysł Zachariasza działał w skali wielu dziesięcioleci i dwudziestolecia – a nie we właściwej dla zwykłego życia skali dni i tygodni.

Sam wybuchnął śmiechem. – Nie – powiedział – nie zaprzeczę temu. Chciałem pokazać, co jestem wart. Byłem wam i to winien. Popełniłem błąd i musiałem naprawić swoje postępowanie. Ale Harker się nie myli – ja jestem nieśmiertelny.

Odczekał chwilę, żeby informacja ta została odebrana. – Miałem czterdzieści lat, kiedy sypnęli mi w twarz usypiającym proszkiem – ciągnął. – Nie było mnie przez następne czterdzieści lat. Czy wyglądam na człowieka osiemdziesięcioletniego? Spójrzcie! Czy mam osiemdziesiąt lat?

Pochyliwszy głowę wyjął szkła kontaktowe, wyrzucił je, a następnie wypluł sztuczne koronki zębowe. Zerwał z głowy rudą perukę i uśmiechnął się do widzów z pełnym bezpośredniością zaufaniem, które jakby spłynęło na wszystkie Twierdze z ukazujących jego twarz tysięcy ekranów.

Była to twarz mocna, silna, o twardych rysach będących znamię gwałtowności, lecz nie podeszłego wieku. Nawet łysina jego głowy nie stanowiła symptomu starości – czaszka była zbyt harmonijnie ukształtowana, zbyt mocno i regularnie sklepiona, zgodnie z cechami Harkerów. Pełna życia, męska twarz – ale z całą pewnością nie była to twarz Nieśmiertelnego.

– Spójrzcie na mnie! – powiedział Sam. – Widzicie, że

nie jestem Nieśmiertelnym. Nie urodził się jeszcze żaden Nieśmiertelny, który byłby podobny do mnie. A jednak żyję osiemdziesiąt lat. – Cofnął się trochę, przerwał, obrzucił ich uważnym, mrocznym, złym spojrzeniem.

– Byłem taki jak wy – mówił. – Ale przebywałem na lądzie. Dokonałem wielkiego odkrycia. Dowiedziałem się, dlaczego Nieśmiertelni nie ośmielają się rozwijać Kolonii. Dobrze wiecie, jak bardzo starali się nas powstrzymać -teraz powiem wam dlaczego!

Wszyscy możecie być nieśmiertelni!

Zamieszanie uspokoiło się dopiero po jakiś pięciu minutach. Nawet wtedy Sam był niemal jedynym, kiedy usłyszał, jak Zachariasz powiedział ze znużeniem:

– Dobrze, Reed. Dostaniesz swoje korium. Ale, czy to kolejne oszustwo? Jeśli nie – ruszaj i daj im nieśmiertelność!

Część trzecia

Kiedy Izrael opuszczał Egipt

Bezpiecznie przeszedł przez morze Dniami jako obłok, nocą jako płomień

Wędrował przed nimi Bóg... Ujrzałem w oddali krainę,

W której nigdy nie postanę. Serce doszło tam, gdzie nie stanęła stopa,

*Na Ziemi Obiecanej**

Ścianę pokrywał długi fresk przedstawiający fantastyczne zielone morze poprzecinane purpurą i bielą, obmywające podnóże aksamitnie brązowych wzgórz. Kiedyś, dawno temu, na świecie pełnym światła istniały takie wybrzeża. Twórca fresku nigdy nie widział ani nagich wzgórz, ani kolorowego morza. W sposobie, w jaki oddał wyobrażoną rzeczywistość, był jakiś dziwnie niecodzienny sposób widzenia, który aż rzucał się w oczy, tym bardziej że pośrodku fresku kwadrat z jasno zarysowanymi, poruszającymi się cieniami ukazywał prawdziwe morze i prawdziwe, zatopione w dżungli wybrzeże oraz mknącą łódź na rozbryzgującej się w kształt litery „v” wodzie.

Dwoje ludzi milcząc siedziało w pokoju z freskiem i obserwowało owe obrazki z życia na łodzi, które powtarzały akcję dziejącą się daleko w górze. Kedre Walton ze skrzyżowanymi nogami siedziała na leżącej na podłodze płaskiej poduszce i układała pasjansa, tylko od czasu do czasu rzucając spojrzenie na migocący ekran. Natomiast zagłębiony w fotelu Zachariasz Harker nie odrywał oczu od pędzącej łodzi.

– Jada tam, biedni głupcy, jada tam – odezwał się właściwie do siebie. W jednej ręce trzymał kadzielniczkę z płonącym proszkiem winnym, od czasu do czasu poruszając nią delikatnie pod nosem. Winorośl ta obfitowała

* A. E. Housman, ok. 1900 r.

niegdyś w biały sok, który na łodzi trującymi kroplami spadał na każde zwierzę na tyle nieostrożne, żeby obok niej przejść. Po wysuszeniu i spaleniu, wydawała lekko narkotyczną woń kojącą zmysły i umysł. Zachariasz zaciągnąwszy się głęboko dymem dmuchnął nim w kierunku ekranu. – Tym razem – powiedział – Sam Reed chwycił więcej, niż zdoła przełknąć.

– Jakże to wulgarne – szepnęła Kedre posyłając mu promienny uśmiech. Był to uśmiech dosłownie promienny, ponieważ dzisiaj zrobiła się na supernowocześnie. Jej ciężkie, czarne loki połyskiwały, każdy włos otulony pasmem ze złota, a wszystko uplecione w ogromną mitrę tkwiącą jak hełm nad jej wąską, egipską twarzą. Nawet brwi tworzyły delikatne łuki ze złota, a na koniuszku każdej rzesy kołysał się złoty pyłek.

– Wyglądasz śmiesznie – zapewnił ją Zachariasz mrużąc oczy.

– Ależ oczywiście, wyglądam śmiesznie. Po prostu sprawdzam, jak daleko mogę się posunąć. Zobacysz jeszcze. Każda kobieta...

– Spójrz! – Poderwawszy się na krześle, Zachariasz zaczął wpatrywać się w ekran. Kedre odwróciła się trzymając uniesioną nad stołem kartę. Oboje siedzieli bez ruchu obserwując wydarzenia na ekranie. Wydawały się nierzeczywiste.

Łódź kierowała się ku miejscu lądowania za długim, półkolistym ramieniem falochronu, przy

wystającym ku spokojnemu morzu białym pomoście. W łodzi znajdowało się dziesięcioro pasażerów – młodych mężczyzn i kobiet zmierzających ku obiecanej nieśmiertelności. Szybkimi, nerwowymi ruchami odwracali się w stronę lądu wpatrując się w dziwny świat na powierzchni planety, który dla mieszkańców Twierdz zawsze oznaczał niebezpieczeństwo i nieprawdopodobną przygodę. Podobnie jak młodzieńcy i dziewice, których w dawnych czasach dostarczano Minotaurovi, z ogromnym podnieceniem patrzyli na zbliżającą się potężną ścianę dżungli i niskie, błyszczące, białe mury Kolonii Plymouth otaczającej pierwszą wyspę, która miała zostać opanowana.

Zwierzę, które wyłoniło się z wody tuż przed nimi, nie było co prawda Minotaurem, ale zamierzało sięgnąć po podobną ofiarę. W morzach tych żyło wiele jaszczurczych potworów. Tylko nieliczne spośród nich zdołano nazwać, a tego, który ociekając wodą wyłonił się przed łodzią z mlecznej toni, nikt nie znał. Jego błyszcząca ciemno szyja bez pośpiechu uniosła się na wysokość siedmiu metrów, a woda jak rozdarty jedwab opadała z obu stron wygiętego z wdziękiem łuku. Zwierzę otworzyło szeroko paszczę, w której mogła zmieścić się ludzka głowa, i przerażająco zasyczało. Paszcza usiana była kłami znajdującymi się z przodu, po bokach i u góry.

W rozkołysanej łodzi rozległ się brząający słabo nad wodą chór okrzyków i wrzasków, gdy oszaleli pasażerowie na próżno zaczęli się tłoczyć po jej przeciwległej stronie. Głowa opadła ku nim na szyi wygiętej jak gruba lina. Ten długi, miękki, węzowy ruch pełen był niedościgniętego wdzięku. Wyglądało na to, że bestia wybrała sobie jako pierwszą ofiarę dziewczynę znajdującą się najbliżej dziobu łodzi. Dziewczyna miała złote włosy, a jej pąsowa jak róża tunika lśniła na tle bladego opalizującego morza.

W małej łodzi na chwilę rozpętało się piekło. Następnie pilot ze sztucznie nonszalancką dokładnością pochylił się i nacisnął dźwignię. Z obu boków łodzi wyskoczyły dwie półkoliste części osłony z przezroczystego impervium i zatrzasnęły się w górze zamykając pasażerów i załogę pod szczelną kopułą.

Opuszczająca się głowa uderzyła z całej siły w tę kopułę. Łódź przechyliła się na bok, aż osłona z impervium sięgnęła wody, a pasażerowie zbili się w oszalały kłęb. Błysnął wynurzony ostry kil łodzi i wtedy uderzyła weń ciemna, długa szyja potwora.

Nad wodą uniósł się przesywający uszy ryk. Najeżony kłami pysk jaszczura poderwał się w górę. Wygięta szyja wyprostowała się sztywno, a z rozciętej, czarnej gardzieli trysnęła fontanna krwi, której kolor był niewiarygodnie podobny do purpury dziewczęcej tuniki.

Znowu rozległ się ryk, tym razem ostrzejszy. Krew bulgotała w długim gardle i tryskała z otwartego pyska. Ciemna szyja dwukrotnie uderzyła w wodę i opadła w głąb. W miejscu, gdzie utonęła, zaczęła się ukazywać piękna, karminowa plama.

Łódź skorygowała kurs i popłynęła w stronę pomostu.

Kedre zaśmiała się kładąc kartę na miejsce.

– Ten pilot! – powiedziała. – Jak go to nudziło! Nie zdziwiłabym się, gdyby Sam Reed przywiązał tam tę bestię, żeby zapewnić swym ochotnikom spektakularne powitanie. Ależ będą mieli co opowiadać!

– Nie lekceważ Sama Reeda, moja droga – odezwał się ponuro Zachariasz, znowu przesunąwszy pod nosem kadzielniczkę. – Zrobiłby zarówno to, jak i coś znacznie bardziej wyszukanie niebezpiecznego, gdyby dojrzał w tym jakąś korzyść. Jest bardzo niebezpieczny, Kedre, nie z powodu swej pomysłowości, ale dlatego, że jest nieobliczalny.

Kedre przytaknęła pochylając swój lśniący ozdobami hełm. – Oczywiście, masz rację. To wcale

nie jest śmieszne. Któż mógłby przypuszczać, że posunie się aż do rozboju! Można chyba spodziewać się kolejnego ataku przemocy, gdy tylko stanie mu coś na przeszkodzie, a on nie znajdzie na to prostego, legalnego sposobu. Mamy kłopot, Zachariaszu.

– Czyżby przeszła ci już skłonność do niego, moja droga?

Nie podniosła oczu słysząc w jego głosie nutkę wątpliwości. Zaczęła natomiast przesuwając wskazującym palcem leżące przed sobą karty, aż ukazała się karta o nazwie Wisielec. Była zrobiona równie pięknie jak pozostałe. Wisielec dyndał powieszony za prawą kostkę na drzewie w kształcie litery T, na starannie ułożonym ze złotych splotów tle. Wokół jego pogodnej twarzy i zwisających, rudych włosów, błyszczała złota aureola. Kedre odwróciła kartę i spojrzała z zadumą na drobną, namalowaną twarz.

– Nie pytaj mnie o to, Zachariaszu – powiedziała.

– Moja droga, kiedyś będziesz musiała odpowiedzieć. Teraz nie jest to już sprawa przemijającego kaprysu. Człowiek ten jest Nieśmiertelnym.

– Wiem.

– Czy wiesz, kim on jest? Spojrzała na niego szybko. – A ty?

Zachariasz przytaknął, zaciągnął się, po czym dłonią odgonił sprzed twarzy kłęb dymu. Zza tego dymu powiedział: – On jest Harkerem, Kedre. Czy znasz historię Blaze'a?

– Teraz już znam. Przypuszczam, że wszyscy znają. Sam, decydując się na zniszczenie autorytetu Harkerów, nie pozostawił zbyt wielu niedomówień. Ale czy on wie, Zachariaszu?

Nieśmiertelny zaśmiał się cicho. – Doprawdy, doskonały paradoks. Nie, nie wie. Poświęcił tak ogromnie wiele energii i myśli na zdyskredytowanie nas, iż zapewne nikt nie da już wiary niczemu, co powie jakiś Harker. Gdy odkryje, że jest to również jego nazwisko, będzie zniszczony. Chciałbym ujrzeć wtedy jego twarz.

– „Zniszczony” nie jest najlepszym słowem, prawda?

– Och, nie jest to nieodwracalne. Możemy odzyskać dobrą opinię. Mogliśmy popełniać błędy – zaczynam uważać, iż przede wszystkim myliliśmy się przeciwstawiając się kolonizacji – ale nasze perspektywiczne cele zawsze były rozsądne, i Sądzę, że wszyscy to przyznają. Sam wciąż myśli w kategoriach krótkoterminowych. Gdy zechcemy przeciągnąć opinię publiczną na naszą stronę, po prostu zrobimy to. W tej chwili skłonny jestem obserwować i czekać. I pomóc mu. Oczywiście, kolonizacja musi się teraz udać. Jakkolwiek myślę o tym niechętnie, w tej sprawie trzeba będzie współpracować z Reedem.

Kedre odwróciła kartę i zaczęła kłaść ją na stole, ale zawahała się patrząc na nią z lekkim uśmiechem. Przyglądając się obrazkowi na karcie powiedziała:

– Przez jakiś czas – tak. To zły człowiek, Zachariaszu. Zdaję sobie jednak sprawę, że coś do niego czuję. Musi jeszcze przebyć kawał drogi, zanim dostanie się na szczyt. A w tym czasie zrobi znacznie więcej, niż mógłby uczynić ktokolwiek z nas. Powodując się najgorszymi motywami będzie bohatercko budował mocną piramidę, aby wykorzystać ją jako podstawę swej siły. Stworzy podwaliny dla sprawnego systemu społecznego Ale tylko podwaliny. Nie może pójść dalej. Nie posiada koncepcji konstruktywnego społeczeństwa. W tym momencie trzeba go będzie zatrzymać.

– Wiem. Masz pomysł, jak to zrobić?

– Obawiam się, że trzeba będzie użyć jego własnych metod. Skierowanie na fałszywy trop. Wykorzystanie jego słabości i wykorzystanie przeciwko niemu jego własnej siły. Skuszenie przynętą,

której się nie oprze, a następnie... – Uśmiechnęła się przytknąwszy delikatnym palcem w kartę.

Zachariasz czekał.

– Nie mam jeszcze żadnego planu – ciągnęła Kedre – ale coś zaczyna mi świtać. Muszę o tym trochę pomyśleć. Jeśli okaże się realne, będzie to broń, której nie zdoła się przeciwstawić.

– Broń?

Uniosła polakierowane złotem brwi. Spojrzała nań spod ciężkiego kasku ze złota, kąci jej ust uniosły się w subtelnym egipskim uśmiechu, który w ogóle mógł nie być uśmiechem, lecz oznaką bólu. Złote brwi nadawały jej twarzy wyraz maski. Znowu uderzyła paznokciem w kartę. Zachariasz, mimo iż znał Kedre tak dobrze, nie był w stanie dociec, o czym myślała, gdy spojrzenie jej przybrało tego rodzaju wyraz. A takiego spojrzenia dotychczas nie widział.

Pochylił się milcząc, żeby zobaczyć kartę. Była to Dziesiątka Mieczy. Obrazek przedstawiał szare, amorficzne morze z ciemnym niebem o zachodzie słońca, z ostro odcinającymi się na jego tle rękojeściami dziesięciu mieczy. Dziesięć ostrzy tkwiło w ciele martwego człowieka.

Nadszedł dzień, gdy Kolonia Plymouth otrzymała pierwszy pełny kontyngent ochotników. Sam czekał na ten dzień z pewną niecierpliwością, ale i pewnym niepokojem, niecierpliwość jednak przeważała. Zawsze wolał bezpośrednio mierzyć się z trudnościami – być może dlatego, iż w przeszłości tak wielu spośród jego wrogów stosowało irytujące uniki. Spotkanie wprost miało znaczenie czysto psychologiczne. Miał wygłosić przemówienie i tysiącom poszukiwaczy nieśmiertelności powiedzieć dokładnie to, co należało.

Przed baterią telewizyjnych kamer odetchnął głęboko, przyglądając się zebranym. Mógł zaczynać. Powiedział:

– Zostaliście specjalnie dobrani. Dokładnie was sprawdzono i wszyscy przeszliście przez podstawowe testy. Były to trudne testy. Szukaliśmy w Twierdzach najsprytniejszego, najtwardszego i najsilniejszego materiału, ponieważ macie stanowić siłę uderzeniową nieśmiertelności.

Przerwał i popatrzył kolejno na poszczególne ekrany, na tysiące ludzi wpatrzonych w przekazywaną przez telewizję jego twarz.

– Nie każdy może osiągnąć nieśmiertelność. Po określonym czasie życia biologicznego zaczynają się utrwać procesy starzenia. Nie od razu są widoczne, u jednych występują one wcześniej niż u innych. Wciąż nie wiemy, co jest przyczyną starości, jakkolwiek potrafimy ją powstrzymać. Starość może być spowodowana po prostu przez jakiegoś wirusa. Kiedyś to odkryjemy. W tej chwili wiemy tylko, iż przy pomocy kuracji można powstrzymać proces starzenia. Rzadko jest ona jednak skuteczna w przypadku ludzi po czterdziestce – może dlatego, iż do tego czasu organizm postępuje już zbyt daleko w stronę obumierania.

Spojrzenie jego znowu przesunęło się przez ekrany. W tych tysiącach oczekujących kryło się niebezpieczeństwo. Trzymał w ręce odbezpieczony granat. I musiał nadal go trzymać, dopóki to będzie możliwe.

– Zostaliście zbadani i sprawdzeni pod względem fizycznym i psychicznym. Jesteście śmietanką Twierdz. Będziecie pierwszymi, którzy osiągną nieśmiertelność. Później stanie się ona również udziałem innych – wy jednak jesteście awangardą. Zapewnicie ją innym, a oni będą jej pilnować, podczas gdy wy będziecie się cieszyć nagrodą za wasz trud. Bo będzie to trud. Będzie bardzo ciężko. Zanim osiągniecie nieśmiertelność, musicie żyć przez jakiś czas na lądzie.

Miał na myśli okres pięciu lat. Może dłużej – ale Sam dopuszczał maksimum pięć lat. Z myślą o tym terminie kontrolował i uzupełniał testy sprawdzając najbardziej istotne punkty.

Przebadanie tysięcy osób – później dojdzie do milionów – byłoby procesem długim i trudnym, gdyby nie zainstalowano dla Sama specjalnych urządzeń. Biura statystyki ludności posiadały dane dotyczące większości populacji, ze wszystkimi niezbędnymi informacjami obejmującymi psychikę, cechy dziedziczne, przewidywaną długość życia (ważne!) oraz skłonności patologiczne. Sam potrzebował zgrabnych, odpornych, silnych mężczyzn i, oczywiście, kobiet – ale znacznie ważniejszy był jeszcze jeden czynnik. Od niego zależało powodzenie całego planu.

Potrzebni mu byli ludzie dojrzały, ale wyglądający młodzieńczo. Ponieważ w ciągu pięciu lat nie zestarzeją się zbyt wyraźnie.

Możliwość nieśmiertelności można udowodnić albo zdyskredytować jedynie empirycznie, chyba że...

Dopuszczał również i taką możliwość.

Powiedział: – Musicie żyć na lądzie. Pamiętajcie, że ja żyłem na lądzie prawie przez czterdzieści lat. Kuracja przeciętnego, dojrzałego człowieka trwa sześć do siedmiu lat. Jeżeli starość powodowana jest przez wirusa, im człowiek starszy, tym dłużej trwa jego zwalczanie. Jeśli dziecko zostaje poddane promieniowaniu tuż po urodzeniu – tak jak dzieci Nieśmiertelnych – wtedy wystarcza niewiele zabiegów. I znowu – może się tak dziać, ponieważ dzieci nie posiadają wirusa starości. W takim przypadku dziecko rośnie, osiąga dojrzałość – i zatrzymuje się w tym punkcie. Żyje setki lat nie starzejąc się.

Od tej pory dzieci urodzone w Twierdzach mają taką szansę. Inna sprawa z dorosłymi. Przed wami również jest taka szansa, ale będziecie musieli na nią zapracować i wywalczyć ją, ponieważ musicie być poddani promieniowaniu przez sześć lub siedem lat bez przerwy, a nie da się tego zrobić w Twierdzach.

Nie wiemy jeszcze zbyt wiele o tym promieniowaniu. Radioaktywny składnik znajduje się w glebie i w atmosferze Wenus, jednak w mikroskopijnych ilościach. Z przyczyn, których jeszcze nie rozumiemy, niezbędne jest również promieniowanie słoneczne i kosmiczne. W przyszłości dowiemy się więcej. W tej chwili wiemy tylko tyle: możemy zapewnić wam kurację antyśmiertelną, ale musicie przez cały czas znajdować się na lądzie tak, aby nasze działanie mogło się kumulować.

Proces ten jest zbyt skomplikowany, aby wyjaśnić go szczegółowo.

Może on być skuteczny tylko w odniesieniu do ludzi. Tyle już wiemy. Podobnie jak dawny zarazek trądu, oddziałuje ono na istoty ludzkie, a nie na zwierzęta. Trąd nie zarażał świnek morskich i właśnie dlatego tak długo nie można było odkryć na niego lekarstwa.

Nieśmiertelność jest dla istot ludzkich – dla was. Dla wszystkich Twierdz. Dla każdego, kto nie jest już zbyt stary, aby poddać się kuracji. Ale po to, by stać się nieśmiertelnymi, musicie przez jakiś czas żyć na lądzie. W Kolonii Plymouth nie ma miejsca dla wszystkich.

Musicie zbudować nowe kolonie.

To jedyny sposób. Zastanawialiśmy się nad możliwością wymiany grup ludności co siedem lat, ale, prawdę mówiąc, musielibyśmy wtedy przyjąć mężczyzn i kobiety znajdujących się w górnej granicy wieku umożliwiającego odniesienie korzyści z promieniowania. Zatrzymaliby się oni na tym poziomie, a pozostali dalej by się starzeli. Wydaje się nam, że najlepiej wybrać ludzi znajdujących się u szczytu możliwości intelektualnych i fizycznych, bo takimi pozostaną przez setki lat. Gdy wystarczająco rozbudujecie Kolonię, z Twierdz przybędzie następna grupa i będzie rozwijała Kolonię dalej. W ten sposób wszyscy skorzystają jednakowo.

Sam przyglądał się uważnie ekranom. Połknęli przynętę. Po pięciu latach zapewne wyglądałoby

to inaczej, ale do tego czasu nie powinny pojawić się żadne oznaki starzenia, których nie można by wyjaśnić wpływami środowiska naturalnego. Kolonizowanie Wenus oczywiście może zmienić człowieka.

– Musicie zapracować na nieśmiertelność – zwrócił się Sam do tysięcy słuchaczy. – Początkowo, po przejściu ze środowiska Twierdz, możecie czuć się wytrąceni z równowagi. Administracja liczy się z tym. Pamiętajcie jednak, że na lądzie musicie żyć sześć lat lub dłużej, a uda wam się to tylko pod warunkiem, że dostosujecie się do tradycji Kolonii.

Ludzie, którzy są tu przełożonymi, nauczyli się dawać sobie radę z lądem. Mają władzę i musicie ich słuchać. Mamy tu własne prawa – inne niż w Twierdzach. Tu jest ląd. Ląd, który w każdej minucie dnia i nocy chce nas zniszczyć. Jesteście teraz kolonistami, a nie mieszkańcami

Twierdz, i podlegacie prawom Kolonii. Zgodnie z kontraktami, które podpisaliście, nie możecie stać się mieszkańcami Twierdz, jeśli formalnie nie zwolni was Kolonia. A nastąpi to, gdy staniecie się – nieśmiertelni.

W gruncie rzeczy nikt nie będzie miał trudności z przystosowaniem. Znacie swoje zadania. Bądźcie gotowi zastąpić człowieka, który znajduje się przed wami. Awans w Kolonii będzie bardzo szybki. Przygotujcie się na to.

Na nieśmiertelność trzeba zapracować. Najbliższe sześć lub siedem lat mogą być dla was ciężkie. Ale nie poświęćcie na to jednej dziesiątej swego życia, poświęćcie mniej niż jedną setną. Pamiętajcie o tym. Siedem lat w Kolonii to mniej niż jeden miesiąc – gdy już będziecie nieśmiertelni.

Pamiętajcie o tym!

Pomyślcie o tym za każdym razem, gdy ogarnie was zwątpienie. Będziecie nieśmiertelni. Nie ma tak ciężkiej pracy, której silny człowiek nie wytrzymałby przez jeden miesiąc!

Wyłączył kanał telewizyjny. Był sam w pokoju. Przez chwilę siedział w milczeniu patrząc na tłum, który nie widział go już i nie słyszał.

Następnie powiedział cicho: – Gorzkie pigułki w cukrze. Ale to zawsze jest skuteczne. Zawsze.

Tłum wciąż patrzył na ekrany a jednocześnie poszczególne grupy otrzymywały rozkazy od swoich dowódców -należących do pierwszych osadników Kolonii Plymouth, twardych, wyćwiczonych mężczyzn, którzy wcześniej już pracowali pod rozkazami Hale'a i Sama. Ustawiali się w szeregu – symbolicznie i dosłownie.

Ekspansja Kolonii – na pewno. Ale raczej według innych zasad. Kolonizacja lądu będzie się rozwijała tak, jak rozrastające się dzięki pędowi maliny. Nie w ciągu pięciu lat – będzie to trwało znacznie dłużej. Od tej chwili jednak wzdłuż brzegów zaczną pojawiać się nowe osiedla, które Kolonia Plymouth będzie wspierała i strzegła, dopóki nie staną się samowystarczalne. Plymouth musi być w dalszym ciągu zwarta i silna.

Inne, nowe kolonie, które mają powstać...

Istniał pewien problem. Kolonie te nie mogą być słabe, nie wytrzymają bowiem ciągłego ataku ze strony kontynentu. Sam zdawał sobie jednak sprawę, iż powinny pozostać słabe w stosunku do niego.

Natomiast Kolonia Plymouth musi stać się absolutnie nie do pokonania.

Ma pięć lat, zanim sfora ta może zawrócić, żeby go rozszarpać.

Opanowywali łańcuch wysp tworząc kolejne mocne ogniwa. Nie było czasu na odpoczynek. Liczyły się nawet minuty. Tym niemniej Sam przypuszczał, iż Hale go zwodzi.

Gdy wszedłszy do biura Wolnego Żołnierza zastał je puste, chrząknął gniewnie i włączył służbowy telewizor. – Gdzie jest Gubernator? – rzucił rozkazująco.

– Kieruje Operacją Oczyszczania na Wyspie Szóstej.

– Połączcie mnie.

Ekran zgasł – widocznie Hale nie miał tam kamery telewizyjnej – natomiast odezwał się głos Gubernatora: – Mówi Hale.

– Tu Sam Reed. Mieliśmy się zobaczyć, prawda?

– Och – odrzekł Hale i ton jego głosu się zmienił. – Przepraszam, sprawy idą tak szybko... Nadszedł sprzęt, którego potrzebowaliśmy, i stwierdziłem, że możemy od razu zaczynać na Szóstce. Spotkamy się później.

Sam burknął coś i przerwał połączenie. Wyszedł i zażądał wodolotu. Tym razem był pewny, że Hale go oszukuje.

Pilot był jednym ze starych kolonistów Plymouth. Niedbale zsalutował Samowi i skierował dziób łodzi ku morzu. Zatoczyli szybko półkole i pomknęli w stronę Wyspy Szóstej. Wyspy, które mijali, zostały już skolonizowane, zniknęły potworne dżungle, zaczynała się kultywacja ziemi, tu i ówdzie stały baraki. W regularnych odstępach sterczały mola, których pilnowały bojowe schrony. Wyspy od Pierwszej do Piątej łączyły w sobie cechy rolnicze i wojskowe.

Pięć wysp, zaledwie pięć, stanowiło przeciwwagę dla ogromnych kontynentów Wenus, na których wrzało krwiożercze życie. A jednak stanowiły początek. Będą posuwali się dalej krok po kroku.

Sam przyglądał się twarzy pilota. Nie mógł z niej nic wyczytać. Zagrożenie – jeśli się pojawi – zapewne nie nadejdzie ze strony dawnej załogi Plymouth. Malkontentami będą nowi rekruci z Twierdz. Moment ten jeszcze nie nadszedł i Sam miał nadzieję, że nie nadejdzie przez wiele lat. Do tego czasu powinien ustanowić kontrolę tak ści-słą, jaka była mu potrzebna. A Hale?

Jakie było jego stanowisko? Jakie będzie za pięć lat? Zaczynało to bardzo niepokoić Sama. Z Klanami mógł sobie poradzić, ponieważ były jego wrogami. Ale Robin Hale posiadał wszystkie ukryte możliwości związane z nieśmiertelnością oraz pozycję, co może być dla Sama ogromnie niebezpieczne. Obaj byli formalnie współtowarzyszami idącymi ręką w rękę. Miało to swoje słabe strony. Nie był w stanie rozszyfrować Hale'a. I na tym polegała cała trudność. Co Wolny Żołnierz wie, a czego się domyśla? Czy Hale przez cały czas wiedział, że „Joel Reed” jest w rzeczywistości Samem Reedem? I w jakim stopniu podejrzewał szalbierstwo w kuracji zapewniającej nieśmiertelność?

Hale, na podstawie tego, co wiedział, mógł przypuszczać, że Sam mówi prawdę. Jeśli, jak twierdził Sam, Nieśmiertelni byli napromieniowani wkrótce po urodzeniu, nikt z nich nie może tego pamiętać. Wolny Żołnierz nie był jednak naiwny. Podejrzanie wyglądała nawet jego gotowość do podporządkowania się kierownictwu Sama. Oczywiście, pasywność Hale'a mogła wynikać ze zmęczenia spowodowanego ciężkimi doświadczeniami, ale nawet jeśli tak było, wywoływało to czujność Sama. Metal może być zmęczony, ale zjawisko to może ustąpić. Miecz jest z metalu.

Metal – metal. Samowi przyszła nowa myśl do głowy. Rekruci z Twierdz – wytrzymali, silni, na razie są podatnym materiałem w jego rękach. Na lądzie przejdą ciężką szkołę. Gdy metal zahartuje się w działaniu...

Znowu Miecz.

Muszę zabezpieczyć się ze wszystkich stron, pomyślał Sam.

Wodolot zbliżył się do Wyspy Szóstej. Większość lądu pokrywała dżungla, z wyjątkiem wysokiego wzgórza na jednym krańcu. Stał tam helikopter, a jakaś męska sylwetka odcinała się od tła perłowego nieba. Przy prowizorycznych przyczółkach na brzegu kołysały się barki i lekkie łodzie. Sam wskazał kierunek. Pilot skinął głową i zręcznie położył łódź w skręt przemykając między łódkami. Woda rozbryzgiwała się na boki i jak deszcz spryskiwała przezroczyście dziób łodzi.

Patrząc na zachmurzone niebo Sam uznał, iż tego dnia nie powinno padać. To dobrze. Meteorologia odgrywała w Plymouth ważną rolę – warunki na lądzie były i tak bardzo trudne, nawet bez zmagania się z ulewnymi deszczami, pracę przydzielano zatem zależnie od prognoz pogody. Na Wyspie Szóstej potrzeba było kilku pogodnych dni, żeby założyć bazę. Później, znacznie później, przerzucony zostanie most do Wyspy Piątej i w ten sposób łańcuch przedłuży się o następne ogniwo.

Sam wstał, gdy wodolot przybił do mola. Wyskoczył lekko na pomost, od razu trafiając w sam środek pełnej zgiełku, zorganizowanej pracy. Potworny zginiacz, który stoczył się na gąsienicach z barki, wpętał na plażę. W ślad za nim posuwał się lżejszy pojazd ciągnący platformy wypełnione narzędziami do walki z dżunglą. Ludzie mieli na sobie lekkie ubrania ochronne i maski do oddychania. Ciężkie uzbrojenie byłoby jedynie przeszkodą.

Jakaś postać w masce dotknęła ręki Sama i wręczyła mu pakunek. – Lepiej niech pan to włoży. Wciąż mogą tu być bakterie, a trujących roślin też jest pełno.

– Dobra – odrzekł Sam i założył kombinezon oraz maskę. – Chcę dostać się do Gubernatora. Czy jest tam na wzgórzu?

– Tak, proszę pana. Ale jeszcze nie ma tam drogi. Poleciał helikopterem.

– Więc znajdźcie coś i dla mnie.

Mężczyzna pomyślał przez chwilę, następnie odwrócił się i krzyknął pytająco. Po chwili pojawił się skądś dwuśmigłowy żyroplan i zabrał Sama. W cztery minuty później wyskoczył z wiszącej w powietrzu maszyny na szczycie wzgórza i skinieniem ręki odesłał pilota.

Ponieważ Hale nie nosił aseptycznego ubioru oraz maski, Sam zdjął je również. Tu, ponad dżunglą, niebezpieczeństwo infekcji było mniejsze. Poza tym zarówno Sam jak i Hale w ciągu kilku ostatnich miesięcy zdołali się jakoś uodpornić na zarazki.

Hale skinął Samowi. Miał przy sobie lornetkę i przenośny mikrofon podłączony do urządzeń w stojącym niedaleko helikopterze. Poza tym wyposażony był tylko w rozpiętą na składanym stoliku sztabową mapę.

– Jak idzie? – zapytał Sam.

– Nieźle – odrzekł Hale. – Pięciokrotne zraszanie pokonało barierę odporności większości zarazków. Ale z tym odkażaniem nigdy nie wiadomo.

Zarazkami nazywano wszystko, co znajdowało się pod stopami. Dotyczyło to fauny – zwierząt, i flory – roślinności. Zabiegi oznaczały coś więcej niż zwykłe odkażanie, ponieważ fauna była obfita, a flora nieznaną i niebezpieczną.

Pięciokrotne spryskiwanie dawało jednak pewne efekty. Wiele nauczyli się w czasie kolonizowania pięciu wysp. Teraz najważniejszym zadaniem było dokładne spryskanie wyspy roztworami, które działały na bakterie. Jeden środek zwalczał głównie porosty – podstawowa sprawa. Inny niszczył ogromną większość flory. Zwierzęta w najlepszym przypadku lekko chorowały – ale atakowały wtedy otwarcie i można je było zastrzelić, jeśli było się szybkim. Nie posiadały niemiłej zdolności przenikania do płuc i szybkiego przemieniania się w gąbczastą masę, która

paraliżowała układ oddechowy.

Wyspa Szósta nie przypominała wysp już skolonizowanych lub jeszcze nietkniętych. Wyglądała, jakby była chora. Dżungla nie była buchającą gęstwą zieloności. Zdawała się wisieć udrapowana jak mech wokół olbrzymich pni, czasami poruszana od środka powolnymi, letargicznymi impulsami.

– W helikopterze jest druga lorneta – powiedział Hale.

Sam wziął lornetę. Przyjrzał się leżącej w dole wyspie. Przyjrzał się ludziom. W sposobie ich poruszania się dostrzegł coś, co go zainteresowało – jakąś rzeźkość, której nie było w pierwszej Kolonii i która z pewnością była niemal nieznana w Twierdzach. Sam interesował się dżunglą najzupełniej powierzchownie i ubocznie. Rzeczywiście interesujący wydawali mu się tylko ludzie, wiele godzin spędził na rozważaniu motywów kryjących się za ich każdym, wykraczającym poza przeciętność działaniem – jak zawsze podświadomie doszukując się w tym korzyści dla Sama Reeda.

Ludziom tym praca dawała ogromne zadowolenie. Na Wenus było to coś nowego. Sam wiedział, iż nie przyzwyczajone do pracy mięśnie muszą ich boleć, że ciała pod ochronnymi ubraniami muszą nieprzyjemnie spływać potem. Każdy oddech i ruch wiązały się z niebezpieczeństwem. Ale byli zadowoleni. Praca była ciekawa i absorbująca. Coś tworzyli. Wystarczyło odwrócić się, aby dostrzec ogromne postępy tej działalności. Oto, co dla ludzkości było odpowiednim zajęciem – wprowadzanie w pocie czoła porządku w chaosie. Tak powinno być, zbyt długo już ludzkość nie znajdowała przyjemności w trudzie fizycznym. Myślenie zostało odsunięte do czasu, gdy zamiast odczuwanej przyjemności z pracy, pojawi się znużenie.

Następnie Sam zerknął na Hale'a, wciąż trzymając przy oczach lornetę, aby ukryć fakt obserwowania swego towarzysza.

– Hale, co zrobimy w sprawie Harkerów? – spytał zniechęca.

Hale, powiedziawszy coś energicznie do mikrofonu i machając zupełnie niepotrzebnie ręką do niewidocznego zgniatacza, odwrócił się do Sama i łagodnie zapytał:

– A co byś chciał, żebyśmy zrobili?

– Coś za cicho siedzą. Pozwolili nam wygrać – może trochę zbyt łatwo. Już kiedyś pozwolili nam myśleć, że wygramy, dopóki nie przygotowali się do uderzenia. Wiem – to był mój błąd. Byłem wtedy młodszy. Nie miałem zbyt wiele rozumu. Tym razem trzymam się na poziomie – wiem, że muszę się trzymać. A jednak nie dowierzam Harkerom.

Hale patrzył na niego spokojnym, niczego nie zdradzającym spojrzeniem.

– Być może – powiedział enigmatycznie. – Jak daleko sięgają twoje plany, Reed?

Teraz przyszła kolej na zagrywkę Sama: – Co masz na myśli?

– Przypuszczam, że za kilka lat będą kłopoty, za pięć

albo za dziesięć, nie sądzisz? A może już się nad tym zastanawiałeś?

Sam odetchnął z pewną ulgą. A zatem przynajmniej niektóre sprawy się wyjaśniły. Nie rozmawiał prywatnie z Halem od czasu zwycięstwa w audycji telewizyjnej, gdy zmusił Nieśmiertelnych do ustąpienia przed swymi żądaniami i gdy zamienił swą porażkę w zwycięstwo dzięki obietnicy, której nie był w stanie dotrzymać.

Stało się tak za sprawą Hale'a. Dbał, aby podczas spotkań nie byli sami. A teraz Samowi było jakoś niezręcznie zapytać go wprost, czy od początku wiedział, kim naprawdę by Joel Reed. Sam odgadywał w tym psychologiczny nacisk, który dobrze czuł i który mu się nie podobał. Oznaczało to, iż Hale miał w sobie więcej siły, niż Sam przypuszczał.

W każdym razie wyłaniał się teraz jeden problem – problem nieśmiertelności. Hale wiedział. Z całą pewnością znał prawdę. A jednak – milcząco zaakceptował oszustwo. Korzystał z rekrutów, których w inny sposób by nie dostał, firmował łgarstwo, wobec którego niczym były poprzednie kręactwa Sama.

Po raz pierwszy zdając sobie z tego jasno sprawę, Sam poczuł się pewniejszy siebie.

– Owszem, zastanowiłem się – powiedział. – Chociaż wolałbym nie musieć. Być może cel uświęca środki – nie mogliśmy zrobić inaczej, prawda?

W odpowiedzi Hale lekko uniósł brwi. Nie mógł jednak zaprzeczyć. Zaakceptował płynące z tego korzyści. Trudno by mu było odmówić teraz współodpowiedzialności.

– Nie mogliśmy. A w każdym razie nie postąpiliśmy inaczej – przyznał. – Czy było to usprawiedliwione, zależy teraz od tego, co zrobimy z naszym projektem. Trzeba tego pilnować, Reed. – Było to ostrzeżenie. – Czy wiesz już jak postąpić, gdy nadejdzie kryzys?

Oczywiście, Sam wiedział. I błyskawicznie wyciągnął wnioski z ostrzeżenia. A zatem Hale tylko w takim stopniu gotów był korzystać z kandydatów do nieśmiertelności? Dobrze, wobec tego plany Sama powinny pozostać nie znane do chwili, gdy nadejdzie czas działania.

– Rozwazałem kilka możliwości – powiedział ostrożnie. – Przedyskutujemy je, jak będzie więcej czasu. – Zastanawiał się nad jedynym bezpiecznym sposobem i pomyślał, że Hale jest głupcem, jeśli tego nie wie. Gdy obietnica nieśmiertelności okaże się oszustwem, nastąpi ogromny wybuch oporu przeciwko ludziom, którzy składali obietnicę – przeciwko Samowi i tym samym Hale'owi. Rezultatem będzie przemoc. A na przemoc można odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Jeśli Hale nie zgodzi się na jego rozwiązanie, niech znajdzie lepsze lub niech poniesie wszystkie konsekwencje osobiście. Sam miał zamiar zatroszczyć się o Sama Reeda. A gdyby Hale zamierzał przeszkadzać jego planom w tej podstawowej sprawie, w Kolonii Plymouth dojdzie do konfliktu.

Sam miał drażniące uczucie, iż Hale może być znacznie trudniejszym przeciwnikiem, niż dotychczas przypuszczał.

Przezorność nakazywała zmianę tematu. Sam dowiedział się większości tego, co chciał wiedzieć, ale problem, który oficjalnie był powodem jego przyjazdu, nie został rozwiązany, a również był dość ważny.

– A co do Harkerów – rzekł – tym razem uważam, że powinniśmy mieć z nimi stały kontakt. Współpracując będziemy mieli większe szanse na rozszyfrowanie ich zamiarów. Nie widzę sposobu, w jaki mogliby w tej chwili przeciwstawić się naszym planom. Nawet oni muszą zdawać sobie sprawę, że jeśli kolonizacja w ogóle ma się powieść, musi się udać właśnie tu, w Kolonii Plymouth. Jeśli upadnie, nigdy nie dojdzie do następnej próby.

– Masz oczywiście rację. Przypuszczam, że wszyscy Nieśmiertelni zdają już sobie z tego sprawę.

– Wobec tego, jeśli ich motywy są rzeczywiście takie, jak mi mówiono, będą musieli razem z nami dążyć do tego samego celu. To my wygraliśmy. Sądzę, iż do nas należy zrobienie pierwszego, pojednawczego gestu.

– Tak?

Sam zawahał się. – Nie dowierzam sobie w tej sprawie – odezwał się z nagłą szczerością. – Zachariasz Harker i ja... nie pasujemy do siebie. Za każdym razem kiedy go widzę, mam ochotę go uderzyć. Byłbyś zręczniejszym dyplomatą niż ja. Jesteś Nieśmiertelnym. Znasz ich od bardzo dawna. Zrobisz to, Halé?

Tym razem Hale się zawahał. Następnie powiedział wymijająco: – Ty również jesteś Nieśmiertelnym, Reed.

– Być może. Tak sędzę. Chociaż niezupełnie tak samo. Jest to sprawa, którą będę musiał kiedyś zbadać, jak będę miał czas. W tej chwili to nieważne. Zrobisz to?

Hale wciąż się wahał. Gdy tak stał najwyraźniej szukając odpowiedzi, w jego odbiorniku cicho zaszumiały podniecone głosy, przyłożył go więc do ucha z wyraźną ulgą.

Przez chwilę słuchał wpatrując się w odległą dżunglę, gdzie raz po raz wierzchołki drzew kołysały się i osuwały pod morderczym naporem niewidocznego zgniatacza.

– Spójrz przez lornetę – zwrócił się do Sama. – Przesuń się trochę w lewo, będziesz mógł popatrzeć w głąb przecinki. Nie powinieneś tego przeoczyć – natrafili na syrenie sploty.

Zaciekawiony Sam posłuchał.

Zdawało się, jakby dżungla jednym, ogromnym skokiem przesunęła się w lornecie w przód i w górę. Zgniatacz pociął wyspę, wygniatając w niej cztery szerokie aleje, między którymi jeszcze stała uformowana w kliny, więdnąca od trujących opryskiwań, dżungla o szarzejących już wspaniałych kolorach. Najbliższy jej kawałek został niemal wycięty i wzrok sięgał przezeń oraz przez znajdującą się za nim aleję aż do odległego klina stojących drzew, w które metodycznie wgryzał się zgniatacz.

Była to potworna maszyna, silnie opancerzona, toczyła się na pasach gąsienic z ciężkim, rytmicznym chybotaniem pasującym do dżungli, przez którą się przedzierała. Olbrzymie jaszczury z wenusjańskiego lądu poruszały się takimi samymi szerokimi, rozkołysanymi ruchami przeciskając opancerzone boki między drzewami, nie mniej majestatycznie niż potwór, który przyszedł, żeby je zniszczyć. Wokół zgniatacza owinęła się roślinność, zwisała z przodu i po bokach w wielkich zwojach i grubych splotach. Niektóre rośliny jeszcze dogorywały na metalu uderzając płytę podobnymi do zębów cierniami.

Do Sama dochodziło odległe dudnienie i łoskot zgniatacza torującego sobie drogę. Słysząc było wyraźnie trzask łamanych drzew, a następnie wyraźnie usłyszał z daleka okrzyki ludzi biegnących, żeby przyjrzeć się temu widowisku.

Następnie Sam dostrzegł kolorowy błysk tuż przed zgniataczem i na chwilę wydało mu się, że wszystkie jego zmysły zamarły. Przestał słyszeć dochodzące z dołu dźwięki, przestał odczuwać ucisk lornety przy oczach, przestał czuć nieprzyjemny zapach lądowego powietrza, do którego wciąż się nie przyzwyczał. Widział tylko kolorowy blask, który lśnił tuż przed nim, następnie przygasł i rozjarzył się jeszcze bardziej niezwykłymi kolorami.

Sam stał nieruchomo, a barwy stopiły się i przeobraziły w następny kolor przeniknięty jaśniejszymi odcieniami, których falowanie stało się w tym momencie hipnotyczne. Kolory te niemal sprawiały ból patrzącemu.

Opuścił gwałtownie lornetę i spojrzał pytająco na Hale'a. Wolny Żołnierz uśmiechał się lekko, a na jego twarzy widać było podziw.

– Jesteś prawdziwym mężczyzną – odezwał się jakby niechętnie. – Jesteś pierwszy, jakiego widzę, który tak szybko oderwał spojrzenie od syrenich splotów. Większość nie jest w stanie. Byłbyś złym medium do hipnozy.

– Rzeczywiście – ponuro odrzekł Sam. – Próbowano już. Co to w ogóle jest?

– Sędzę, że jakiś odległy krewniak organizmu typu „Szata Szczęścia”. Pamiętasz – szaty szczęścia robi się z wodnej rośliny, która pokonuje ofiarę oddziaływując na jej system nerwowy i zjada ją żywcem – tyle że ofiara rezygnuje z ucieczki, gdy zazna rozkoszy kontaktu z tą szatą. Syrenie

sploty działają podobnie – są po prostu odmianą łądowną. Przyjrzyj się, a zobaczysz.

Sam znowu spojrział. Tym razem nastawił lornetę tak, aby zobaczyć kolorowe zjawisko w największym zbliżeniu. Przez chwilę nie sposób było zorientować się, czym są w rzeczywistości syrenie sploty, znowu bowiem doświadczył owego paraliżu zmysłów i mógł tylko z bolesnym zachwytem przyglądać się migotaniu kolorów.

Następnie zdołał rozluźnić się psychicznie i spojrzeć obiektywnie. Były to bardzo duże sploty i zapewne stare – w kategoriach tej rozszalałej dżungli. Sądząc po ludziach, którzy wciąż biegli ku nim za zgniataczem, przypuszczał, że mają niemal trzy metry średnicy. Rozpięte były w niewielkim prześwicie między dwoma drzewami jak pajęczyna przymocowana mocnymi, plecionymi linami do gałęzi w górze i krzewów w dole. W środku były jednak mocne jak doskonale napięta błona, lekko wibrująca, rozjarzona zmiennymi kolorami, z których każdy następny był bardziej zniewalający od poprzedniego i coraz szybciej mienił się na drżących splotach.

Do Sama zaczął dobiegać z daleka słaby brzęk, wolniej jednak niż obraz, chociaż więc usłyszał, iż dźwięki te wydawały drżące liny i błona, nakładały się one na następne dostrzegane przez niego drgania. Dźwięki te nie były muzyką w normalnym znaczeniu, posiadały jednak muzyczny rytm i delikatną, śpiewną przenikliwość, która działała na nerwy i słuch wywołując ich ekstatyczną, zharmonizowaną z nimi wibrację.

Pajęczyna wyteżała wszystkie swe syrenie siły, aby spowodować zniszczenie zgniatacza. Przed nieczułym pyskiem maszyny rozbłyskiwała hipnotyzująco najbardziej wyszukany kolorami, wybuchała hipnotycznymi dźwiękami pragnąc rozerwać połączenia drucianych nerwów i sparaliżować molocha.

Przez chwilę wydawało się niemożliwe, żeby nawet ten stwór ze stali i impervium zdołał oprzeć się morderczemu atakowi cudownej hipnozy.

Gdyby nie oparł się syrenim splotom, ludzie, którzy biegli teraz naprzód, byłiby zgubieni. Do Sama dobiegało tylko odległe echo tego zamieszania, ale to właśnie powodowało, iż jego mózg działał jakby błyskami, i właśnie w tych momentach kolory splotów oddziaływały nań paraliżująco. Zdawał sobie sprawę, że gdyby biegł teraz z ludźmi za zgniataczem, prawdopodobnie byłby również półprzytomny i rzucał się w syrenie objęcia.

– Zdarzyło się już coś takiego – powiedział do siebie w oszołomieniu. – W Grecji, wiele lat temu. Opisał to Homer.

W ciągu kilku sekund wszystko się skończyło. Aż do końca sploty płonęły kolorami i falując dźwięczały obietnicą

ekstazy. I oto przód zgniatacza zbliżył się i dotknął samego ich środka.

W jednej sekundzie błona splotów rzuciła się do przodu i owinęła wokół maszyny. Jej napięte liny zrobiły się cienkie, i delikatne, jęczały pod wpływem triumfalnej wibracji. Być może wydały z siebie słaby elektryczny impuls, żeby zszokować i sparaliżować ofiarę, bowiem nawet zgniatacz prawie się zawahał na chwilę, gdy połyskujące skrzydła splotów zwarły się w uścisku. Wydawało się, jakby cały pancerz i wszystkie włókna zgniatacza zadrżały od ekstazy pod wpływem syreniego dotyku.

Moloch parł do przodu.

Liny splotów napinały się coraz bardziej i stawały się coraz cieńsze, coraz bardziej naprężone, a ich wielobarwne lśnienia zmieniały się w przezroczyście białe. Śpiewały tak przenikliwie, iż już się tego nie słyszało, tylko nerwami można było jeszcze odczuwać te ostatnie, naddźwiękowe akordy

ich ostatniej, śmiertelnej wibracji.

Liny pękły. Syrenie sploty w ostatnim spazmie wpiły się konwulsyjnie w metalowego niszczyciela, zalśniły kolorami o nieprawdopodobnej dysharmonii. Następnie zwiotczały i bezwładnie ześlizgły się z opancerzonego przodu zgniatacza. Schwyciły je toczące się obręcze i, bezlitośnie wcisnąwszy w ziemię, rozgniotły na miazgę.

To, co opadło na ziemię, było czarownicami splotami, płonąca kolorami szatą Dejaniry. A to, co koła gąsienic zgniatacza wgniotły w zielone podłoże, było obrzydliwą, gumiąstą, szarą mierzwą konwulsyjnie wijącą się pod metalowymi zębami.

Sam odetchnął głęboko. Opuścił lornetę. Przez chwilę milczał. Następnie podszedł do polowego stolika, położył na nim lornetę i ponownie udowodnił, iż nie poddaje się jakiegokolwiek hipnozcie.

– Jeśli idzie o rozmowę z Harkerami... – powiedział. – Kiedy możesz wyruszyć w drogę?

Hale również odetchnął.

– Nie mogę – odrzekł.

Sam zmarszczył się. – To ważne. Tylko ty rzeczywiście nadajesz się do tego. Chciałbym, żebyś to zrobił, Hale.

– Tylko w jednym miejscu jestem naprawdę niezbędny,

Reed. Tutaj. Nikt nie zna ładu tak jak ja. Nie jestem dyplomatą. Utrzymywanie kontaktów należy do ciebie. Wybacz.

Nie da się nic więcej zrobić. Sam był tego absolutnie pewny. Hale zdecydowanie dystansował się wobec jakiegokolwiek związku z całą tą oszukańczą grą, poza jednym – korzyściami. Siłą ludzką. To akceptował. Wszystkim innym ma się zajmować Sam. I Sam nie mógł absolutnie nic na to poradzić.

Po raz pierwszy pewna nieprzyjemna myśl błysnęła Samowi w głowie. Aż do tej chwili uważał siebie za główną siłę sprawczą kolonizacji. Pociągnął za sznurki poruszające marionetkową postacią Robina Hale'a. I oto nagle poczuł się zaskoczony, bo któż w ostatecznym rozrachunku był animatorem, a kto tańczącą laleczką?

Wzruszył ramionami.

– W porządku. Zrobię to, jeśli muszę. Ale żebyś nie miał do mnie pretensji, gdybym nawalił.

– Nie będę miał.

Sam potarł szczękę. Sprawa w gruncie rzeczy nie została zakończona. Teraz już wiedział, gdzie znajduje się jego prawdziwy przeciwnik, i wiedział również, iż konflikt właśnie się zaczął.

Światło było chłodne i czyste jak kryształ. Pokój ten służył do pracy, myślenia i robienia planów. Zaprojektowali go Nieśmiertelni dla Nieśmiertelnych. Płaszczyzny i załamania były funkcjonalne, ale w sposób dyskretny. Miętko przenikały się nawzajem, a krystaliczne pędy kwiatów i zmieniający się rysunek na fryzjach należały do tego samego, spokojnego, nie nachalnego stylu. Nie było tu nic, co przyciągałoby oko na dłużej niż chwilę. Ale gdziekolwiek się spojrzeło – na zmieniające kolory czy na zastygłe pąki lub kwiaty sztucznej, krystalicznej rośliny – można było znaleźć zaczepienie dla przebiegających przez głowę myśli i od tego punktu rozwijać następne.

W tym chłodnym, spokojnym miejscu wypełnionym czystym światłem padającym równomiernie z niewidzialnego źródła, przy długim biurku siedział Zachariasz obok

Kedre. Kedre wąskimi palcami o pozłaczanych paznokciach przerzucała leżące przed nią akta.

– Najlepiej gdybyś pojechała, żeby zobaczyć się z Reedem – powiedział Zachariasz.

Kedre wzruszyła lekko ramionami. – Na ląd? – odpowiedziała pytaniem. – O, nie!

– Czy nie ty właśnie nadajesz się najlepiej, żeby skontaktować się z nim w tej sprawie?

– Czy musimy z nim się kontaktować?

Zachariasz przytaknął ruchem głowy. – Masz pewien plan. Ale Reed nie jest głupcem. Skierowanie na fałszywy trop – on również stosował ten chwyt. Powinniśmy mieć plan rzeczywisty i pozorny, żeby odwrócić uwagę Reeda.

– Nie wiesz, jaki jest mój plan.

– Domyślam się. Musiałś oprzeć go na teorii, iż Sam Reed teraz jest niezbędny, ale w przyszłości stanie się niebezpieczny.

Przytaknęła.

Zachariasz wziął ją za rękę i lekko przesunął koniuszkami palców po złoconych paznokciach. – Ale kiedy? Nie wiemy tego. A do tego czasu Sam Reed będzie coraz bardziej wzmacniał swoją pozycję. W tej chwili chyba ma słabe punkty, później może nie będzie ich miał. Teraz jednak nie możemy uderzyć. Nie możemy, jeśli ląd Wenus ma zostać skolonizowany.

– Wiesz, że Hale miał rację – powiedziała Kedre miękko. – Zbyt długo czekaliśmy.

– Niezupełnie – ale prawie tak było. No, cóż! Jeden błąd nie jest porażką. Pytanie polega na tym, kto jest tym pionkiem, a kto graczem. Reedowi wydaje się, iż on jest graczem. Niech mu się tak wydaje, dopóki...

– Dopóki?

Zachariasz nie odpowiadał, przyglądając się krystalicznej roślinie, aż przeszła przez lśniący cykl pączkowania i kwitnienia. – Dopóki służy swemu celowi, a ląd nie jest zagrożony. Nie możemy określić tego czasu. Potrzebna nam jest jakaś bomba, którą teraz przygotowujemy, lecz która wybuchnie, gdy ją odpalimy.

– Na tym polega mój plan – powiedziała Kedre. – Bomba. Jedyna bomba zegarowa, jakiej Nieśmiertelny może użyć przeciwko Nieśmiertelnemu w sytuacji, gdy nie da się dokładnie przewidzieć przyszłości.

– To znaczy?

– Co, umieszczone w pobliżu Sama i potencjalnie wybuchowe, może zawsze być przy nim i . nie zepsuje się przez, powiedzmy, dwadzieścia lat? Tyle czasu powinno wystarczyć. Sam musi chcieć, żeby ta bomba znajdowała się przy nim. Musi to być coś, czego będzie chciał i potrzebował. Coś, co może wejść mu w krew tak, aby zaspokajać jego potrzeby, a przede wszystkim coś, czego Sam nie będzie podejrzewał. Bomba, która musi wydawać się tak niegroźna, iż Sam będzie mógł dokładnie ją badać nie podejrzewając nawet tej śmiertelności, jeśli w badaniach swych sięgnie do jej... konstrukcji.

Zachariasz zachichotał. – Konstrukcji?

– Do narodzin.

– Oczywiście. Ludzka bomba zegarowa. Jak powiadasz, jedyna możliwa, jakiej w tych okolicznościach Nieśmiertelny może użyć przeciwko Nieśmiertelnemu. A trudności?

– Potrzebna mi jest teraz twoja pomoc, Zachariaszu. Musimy zacząć przed urodzeniem. Musimy stworzyć naszą bombę zegarową począwszy od genów, przystosować je do wszystkich okoliczności i bardzo dokładnie zacierać ślady. Wydaje mi się, że wiem, jak to zrobić. Przede wszystkim jednak –

najpierw stosowałam dedukcję, następnie indukcję. Tu mam skrót podstawowych informacji z dossier Sama Reeda.

– Nieoficjalnych...

– Wykorzystałam również nasze prywatne kartoteki. O, wiemy o Samie więcej, niż przypuszcza. Mamy jego dość dokładny portret psychologiczny.

– Zmieni się w ciągu pięciu lat. Lub pięćdziesięciu.

– Możemy wykonać wykresy prognostyczne. Podstawowe cechy się nie zmieniają. Wiem, że zawsze będzie miał słabość do koloru błękitnego. Nasza bomba zegarowa będzie miała niebieskie oczy.

Zachariasz zaczął się śmiać. Kedre zamilkła. Zrobiła pełen poirytowania gest i wzięła jakąś fotografię. Zachariasz spoważniał. Spojrzał na nią uważnie.

– Zastanawiam się nad twoimi motywami, Kedre powiedział. – Zastanawiam się, czy zdajesz sobie z nich sprawę?

– Wyodrębniłam wiele faktów z danych Sama i stworzyłam portret człowieka, jakiego chciałby mieć przy sobie za, powiedzmy, osiemnaście lat – odrzekła spokojnie. – Oczywiście, ten hipotetyczny portret związany jest z sukcesem planu kolonizacyjnego. Trzeba będzie popracować nad tym właśnie z Samem. Naszą bombę zegarową musimy specjalnie przygotować tak, aby posiadała zdolności i umiejętności, jakich potrzebuje Sam. Ważne są również osobowość i wygląd. Sam lubi określone typy głosu i twarzy. Nie lubi zaś innych. No, i otrzymałam dość dokładny portret... człowieka, jaki będzie nam potrzebny.

Wyciągnęła następną fotografię.

– Następnie w statystyce ludności poszukałam mężczyzny i kobiety. Sprawdziłam wszystkie ich dane – cechy dziedziczne... wszystko! Mogę prawie dokładnie przepowiedzieć, jakie będzie ich dziecko, zwłaszcza że zostanie poczęte i urodzone w określonych, stworzonych przez nas warunkach – oczywiście dyskretnie.

Zachariasz wziął fotografie, na jednej był młody mężczyzna, na drugiej młoda kobieta.

– Czy już się znają?

– Jeszcze nie. Poznają się. Ten mężczyzna jest chory. Musiałam to zaaranżować. Zarazić go, bo zgłosił się do Kolonii. Zatrzymamy go tutaj i zorganizujemy spotkanie z dziewczyną. Ale absolutnie nie możemy ujawniać, że maczaliśmy w tym palce.

Zachariasz z nagłym zainteresowaniem pochylił się spoglądając na stos kartek.

– Gdzie on pracuje? Aha... Hmm... Daj mu coś bardziej interesującego. Gwarancja, iż zostaną w Delaware, to będzie trudne. Myślę, że zdołamy to wszystko przeprowadzić. Tak, jestem pewny. Możemy zorganizować ich spotkanie i małżeństwo – ale dziecko?

– To proste. Znamy już jej okres płodności.

– Chodzi mi o to, co zrobimy, jeśli chłopiec okaże się dziewczynką?

– Dziewczynka może nawet bardziej zainteresować Sama Reeda – powiedziała Kedre i na chwilę zamilkła. Nagle odsunęła fotografię dziewczyny.

– Psychotechnika załatwi nam resztę – zaczęła szybko mówić. – Od samego początku dziecko, chłopiec lub dziewczynka, będzie poddane działaniom psychotechnicznym. Oczywiście w tajemnicy. Nawet rodzice nie będą wiedzieli. Każdy zabieg będzie wymazywany z pamięci tak, że nawet samo dziecko nie będzie zdawało sobie sprawy, iż stale jest poddawane hipnozie. "Skumuluje się to w

pamięci pohipnotycznego imperatywu. W podświadomości chłopca, gdy dojdzie do osiemnastego roku życia, zakoduje się polecenie, któremu nie zdoła się oprzeć.

– Żeby zabić?

Kedre wzruszyła ramionami. – Żeby zniszczyć. Nie wiemy jeszcze, jakiego rodzaju zabiegi będą najbardziej skuteczne. Nikogo, oczywiście, nie można zhipnotyzować tak, aby popełnił jakiś czyn, którego nie zrobiłby świadomie. Chłopca trzeba przygotować w taki sposób, by nie miał skrupułów, gdy chodzi o Sama Reeda. Trzeba będzie zakodować w nim jakiś odruch – zrobimy to również przy pomocy hipnozy. Nie może działać, dopóki nie wyzwolimy jego reakcji, bez względu na to, jakby był prowokowany aż do tego momentu.

Zachariasz przytaknął z namysłem. – To dobre. I oczywiście, trudne. Coś w rodzaju konia trojańskiego. – Użył tego dziwnego określenia nie zdając sobie nawet sprawy z jego odległego pochodzenia. – Czy jesteś pewna, że nie przeceniamy tego człowieka?

– Znam – Sama Reeda. Nie zapominaj o jego środowisku. W latach kiedy dojrzewał, był pewny, że jest zwykłym człowiekiem. Życie w Twierdzach wyrobiło w nim niebywale silny instynkt samozachowawczy. Jak u dzikiego zwierzęcia – czujność na każdym kroku. Przypuszczam, że moglibyśmy zabić go już teraz – ale nie zrobimy tego. Potrzebujemy go. Potrzebuje go cała kultura. Dopiero później, gdy stanie się niebezpieczny, zamierzamy go zniszczyć. A do tego czasu... hm... zobaczysz.

Patrząc na powoli rozchylający się kamienny kwiat, Zachariasz powiedział: – Przypuszczam, że to sprawa kodu genetycznego. Każdy autokrata zdaje Sobie Sprawę, jak niepewna jest jego pozycja. Rządzilibyśmy Twierdzami lepiej, gdybyśmy sami o tym pamiętali. A Sam będzie musiał być autokrata, żeby się utrzymać.

– Zapewne nawet teraz byłoby bardzo trudno zaatakować go osobiście – powiedziała Kedre. – A za dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat będzie rzeczywiście nie do ruszenia. Przez cały ten czas będzie bez przerwy walczył. Z Wenus, z własnymi ludźmi, z nami, z całym otoczeniem. Nie będzie mieszkał w Kolonii Plymouth takiej, jaką widzimy teraz na ekranach. Tu, w Twierdzach, nic się nie zmienia – trudno nam dostosowywać nasz sposób myślenia do zmian, które będą zachodziły na lądzie. Nasza własna technologia sprawi, że stanie się niepokonany – urządzenia zabezpieczające, bariery psychologiczne, kontrola i nadzór... Tak, myślę, że będziemy potrzebowali do tego czasu czegoś w rodzaju bomby zegarowej, żeby zagwarantować sobie możliwość osiągnięcia go.

– Z jednej strony jest to skomplikowane – powiedział Zachariasz – ale wycofuję porównanie z koniem trojańskim. Na swój sposób jest to bowiem bardzo proste. Gdy uzna się już potrzebę zastosowania metody okrężnej, widać, jak jest to proste. Sam będzie spodziewał się niesłuchanie skomplikowanego ataku z naszej strony. Nie przyjdzie mu na myśl, że moglibyśmy brak przewrotności posunąć do tego stopnia, aby naszą jedyną bronią uczynić pistolet w rękach chłopca.

– Może to zabrać pięćdziesiąt lat – powiedziała Kedre. – Może nie udać się za pierwszym razem. I za drugim. Wtedy trzeba będzie zmienić plan. Ale musimy zacząć już teraz.

– Pojedziesz na ląd, żeby z nim się zobaczyć?

Potrząsnęła ozdobioną złotem głową. – Nie chcę jechać na ląd, Zachariaszu. Dlaczego mnie wciąż namawiasz do tego?

– Będzie ciekaw, co zamierzamy zrobić. Wobec tego – powiedz mu. Ale nie – prawdę. Nie jest głupcem. Natomiast, jeśli skierujemy jego podejrzenia na sprawy mniej ważne, zajmie się tym i nie będzie zbyt dokładnie śledził naszych działań w sprawie zasadniczej.

– Ty pojedź.

Zachariasz uśmiechnął się. – Mam również osobiste powody, moja droga. Chcę, żebyś zobaczyła Sama Reeda. Nie jest już człowiekiem słabym. Zaczął się zmieniać. Interesuje mnie twoja reakcja na Sama Reeda – Nieśmiertelnego.

Rzuciła na niego ukradkiem szybkie spojrzenie, a na jej złotych włosach i złotych brwiach zapaliły się błyski, które jarzyły się również w migotaniach złotych ziarenek na końcach rzęs.

– Dobrze – odrzekła. – Pojadę. Możesz żałować, że mnie posłałeś.

Hale oglądał miejsce przyszłego centrum na Wyspie Szóstej, oczyszczony teren, na którym wyrosną teraz budynki lokalnej Administracji. Praca posuwała się naprzód. Z odległych dżungli położonych bliżej wybrzeża wciąż dochodziło dudnienie zgniataczy, tutaj jednak było miejsce działalności konstruktywnej, a nie destruktywnej. Z obszaru czterech akrów ściągnięto pnie drzew i przeorano ziemię. Pracowali już mierniczy.

Nie opodal jakiś stary człowiek pochylał się nad ziemią i Hale, poznawszy Logika, podszedł do niego. Ben Cromwell wyprostował się, jego bystra, pobrużdżona twarz była zamyślona.

– Czołem, Gubernatorze – powiedział. – Dobra tu ziemia. – Zgniółł grudę zrogowaciałymi palcami.

– Jest pan niezmordowany – rzekł Hale. – Nie powinien pan tu być. Sądzę jednak, że wydawanie panu poleceń jest beznadziejne.

Crowell skrzywił się. – Nic podobnego. Idzie o to, iż zawsze wiem, co się zdarzy i jak daleko mogę się posunąć. – Znowu przyjrzał się grudzie ziemi. – W tej chwili jest zatruta, ale się zregeneruje. Gdy zaczną działać beztlenowce...

– Najpierw damy tej glebie bakteriofagi – wtrącił Hale. Grupa mierniczych i kopaczy znajdowała się dość daleko. Mogli rozmawiać nie obawiając się podsłuchania. – Jeden zabieg sterylizujący pomaga, ale nie wystarcza -w tym świństwie jest zbyt wiele niebezpiecznych zarazków.

– Ale jest ono dobre. Aż zbyt bogate. Trochę bardziej na zachód ziemia jest zakwaszona i potrzebuje wapnowania. Natomiast na tej wyspie można uzyskać ■ niezłe zbiory.

Obok nich przeszedł człowiek niosąc na plecach pojemnik wyposażony w wąż i coś, co wyglądało jak olbrzymia strzykawka, skierował się do słupka z tabliczką i zaczął wbijać w ziemię teleskopową „igłę”. – Jedna z tych rzeczy, co? – zapytał Crowell.

– Jedna z najgorszych. Nad ziemią jest to zwykle pnącze. Ale korzenie mają siedem metrów długości i sięgają trzy metry w głąb. Jedyńm sposobem zniszczenia tego jest napompowanie tam trucizny.

– Coś takiego było na Ziemi – nazywaliśmy to Podziemną Istotą. Nie znam nazwy naukowej. Tylko że do niszczenia używaliśmy nafty. Zielsko nigdy nie rosło na Ziemi tak szybko jak tutaj. Teraz to źle, ale stanie się korzystne, gdy zasiejemy dobre ziarno. Zapewne zboże wyrośnie w ciągu dwudziestu dni – potrząsnął głową cmokając z uznaniem.

– Jeśli zdołamy obronić się przed chwastami.

– Jest tylko jeden sposób – wyrwać. Można by jednak zasiać trawę łąkową – zaproponował Crowell. – Głosuję za tą trawą nawet przeciwko wenusjańskim pnączom, a wiadomo, jakie z nich dusiciele. Przecież zamiast zatruchiwać tyle akrów ziemi – nie pomaga to glebie – można zasiać tę trawę. Człowieku, ależ ona rośnie!

– Sprawdzę to – odrzekł Hale. – Dziękuję. Jeszcze jakieś pomysły? Czy może jest to sprzeczne z

pańskimi zasadami?

Logik zaśmiał się. – Bzdura. Mogę proponować różne rzeczy. W żaden sposób nie mają one wpływu na przyszłość – z pewnością prędzej czy później ktoś wypróbowałby tutaj trawę łąkową. Staram się nie mieszać tylko w ważne sprawy. W danej chwili mogą nie wydawać się takie, ale ja wiem.. – Spojrzał ku brzegowi ponad zwalonymi drzewami. Daleko, aż za zatoką, znajdował się główny teren wyspy, na którym stały ruiny dawnego fortu Doone wyglądające jak skała. Na jego pokrytej roślinnością i porostami bryle wrzała praca. Jasnoszkarłatne błyski zapalały się i gasły. Łodzie utrzymywały stałą łączność między kontynentem i Wyspą Pierwszą.

– Co się dzieje? – zapytał Crowell. – Zaczęła się już praca przy forcie?

– Pomysł Sama – powiedział Hale. – Boi się, jak przypuszczam, że zaczynam przejmować inicjatywę. Bez porozumienia z nim rozpocząłem robotę na tej wyspie. Zagrał więc podobnie. Wspaniale.

Crowell zastanowił się. – Ach, tak? Do czego zmierza?

– Zaczął oczyszczać stary fort. To ciężka praca, a jeszcze nie uporaliśmy się z lądem stałym, myślę jednak, że wszystko będzie w porządku. Ludzie Doone wybudowali go porządnie. Pamiętam.. – Również spojrzął ku brzegowi i jego twarz nieco się zmieniła. – Była tam zawsze dyżurna załoga. Dżungla w każdej chwili gotowa była nas pożreć, jeśli tylko mogła. Rośliny i zwierzęta. Wtedy jednak Twierdze dawały nam sprzęt: baterie do promieni ultrafioletowych, do promieniowania o wysokiej temperaturze, spryskiwacze kwasowe. Wolni Żołnierze zawsze musieli walczyć na dwa fronty. Pierwszy front – walka z innymi Oddziałami – był nieregularny. Natomiast walka z dżunglą trwała bez przerwy.

– Może Sam złapał więcej, niż zdoła połknąć – zasugerował Logik.

– Nie. Dostał wyposażenie i siłę ludzką. Gdy już oczyści fort i zainstaluje urządzenia ochronne, wszystko potoczy się normalnie. Na razie nie może powrócić do działań w środku lądu, ale wcale tego nie zamierza. Twierdzi, że chce wykorzystać fort jako dodatkową bazę i zacząć działania wzdłuż archipelagu tak, żebyśmy się spotkali. To nam oszczędzi czasu – takie posuwanie się od obu końców łańcucha wysp. Dobry pomysł.

– Macie wystarczającą ilość ludzi?

– Pięć tysięcy – odrzekł Hale. – Wystarcza, ale nie jest to za dużo. Trochę tu jeszcze tłoczno, ale musimy mieć rezerwy w razie nagłej potrzeby. Nigdy nie wiadomo, kiedy może zdarzyć się konieczność rzucenia przeciwko dżungli dodatkowych oddziałów. A oczyszczenie każdego kawałka oznacza stratę oddziału, który musi go pilnować. Pięć tysięcy, a przybędzie więcej, gdy będziemy mieli co z nimi zrobić i gdzie ich ulokować.

– Nie ma jeszcze awantur? – zapytał Crowell.

Hale spojrzął na niego ostro. – Spodziewa się pan kłopotów?

– Nie da się tego przewidzieć, synu. Pięć tysięcy ciężko pracujących ludzi, a dojdą następni – obietnica nieśmiertelności nie utrzyma ich w spokoju bez końca. Facet musi w sobotę wieczorem pójść do miasta i trochę narozrabiać.

– Co pan wie o tej sprawie nieśmiertelności? – zapytał Hale i rozejrzał się dookoła.

Logik skrzywił się z uśmiechem.

Hale spojrzął w stronę odległego fortu, gdzie czerwone błyski miotaczy ognia opalały do czysta stare mury. – Pan wie i ja wiem – powiedział. – Nikt inny prócz Sama nie może być tego pewny.

Twierdzi, że można osiągnąć nieśmiertelność dzięki istniejącemu na Wenus promieniowaniu. No, a pan urodził się na Ziemi!

– Na Ziemi tuż przed wybuchem było trochę promieniowania radioaktywnego – powiedział Crowell.

– Będą kłopoty. Zna pan to niebezpieczeństwo. To może się stać również tutaj. Wtedy człowiek opuścił Ziemię i przybył na Wenus. Gdyby znowu do tego doszło...

– To coś w rodzaju kraba w skorupie. Gdy wyrasta ze swojej muszli, wtedy wypęłza i znajduje inną. Pozostawanie w skorupie, która staje się zbyt ciasna, jest błędem. Ciasnotę może spowodować mnóstwo rzeczy. Zbyt szybkie rośnięcie – i to właśnie zdarzyło się na Ziemi. Ci ludzie... – Crowell machnął ręką w stronę oddziału robotników – być może wyrosli już z Twierdz, ale zupełnie o tym nie wiedzą. Człowiek potrzebuje mnóstwa rzeczy, wszystkiego.

– Czy ma pan zamiar zostać w tej Kolonii? – zapytał nieoczekiwanie Hale.

– Owszem, na trochę. Mam duszę chłopca. A bo co?

– Och, nie dlatego, że jest pan Logikiem. Jest pan Nieśmiertelnym. Ja również. A ci śmiertelnicy... jeśli jest się Nieśmiertelnym, nie można pozwalać sobie na zbyt dużą poufałość z nimi. Klany w Twierdzach... Sam... Na Wenus

jest pan Jedynym człowiekiem tego samego rodzaju, co ja.

– Obaj spędziliśmy najlepsze chwile naszego życia pod otwartym niebem, synu – powiedział Crowell. – Chodząc po porządnej, ciemnej glebie. Nie były to najdłuższe chwile, ale najlepsze. W moim przypadku było to na Ziemi, w twoim – na Wenus, ale wychodzi na to samo. Rozumiem, co masz na myśli. Jesteś mi bliski, chociaż czasami postępujesz jak skończony głupiec.

Znowu spojrzeli na robotników. Po chwili, myśląc już

o czymś innym, Hale powiedział: – Trzeba będzie się zmilitaryzować. Zaproponował to Sam, ale i ja od jakiegoś czasu myślałem o tym.

– Na oko nie wyglądają zbyt groźnie – wtrącił Crowell przyglądając się najbliższej grupie.

– Nie tylko o to chodzi. W gruncie rzeczy już wprowadziliśmy tu system zmilitaryzowany. Wojskową dyscyplinę i organizację. Prawie tak jak w dawnych Oddziałach. Powinniśmy jednak wprowadzić mundury i wszystko, co się z tym wiąże.

– Tak sądzisz?

– Jeśli odbiera się człowiekowi wolność, trzeba mu dać jakiś substytut, nawet jeśli miałyby to być tylko kiełbasa wyborcza. Niech ma jakieś ujście dla swej indywidualności. Jeśli nie może nosić cienkiego celoflexu – a tutaj nie może, bo musi mieć na sobie twardą tkaninę ochronną – trzeba mu dać elegancki mundur. Z oznakami służbowymi i stopniami. Również – rozrywkę, ale zorganizowaną i pod kontrolą. Nie wystarczy ani obietnica nieśmiertelności, ani zmilitaryzowanie, ale w sumie odwlecze to trochę wybuch. Inaczej było z Wolnymi Żołnierzami. Gdy zgłaszaliśmy się, wiedzieliśmy, co nas czeka, a zgłaszaliśmy się, ponieważ chcieliśmy prowadzić właśnie tego rodzaju życie, nie spodziewaliśmy się żadnych nagród oprócz tego rodzaju życia – właśnie takiego życia chcieliśmy. A ci rekruci... Sądzę, że militaryzacja będzie miała dobry skutek psychologiczny. – Hale mimo woli bacznie obserwował Logika. – Zastanawiam się, dlaczego Sam wystąpił z tym pomysłem. Chciałbym znać wszystkie jego motywy. Jego zamiary.

Crowell zachichotał. – Przypuszczam, że poznasz, synu. Poznasz.

Hale trącił nogą kruchy, skrzydlaty trzydziestocentymetrowy korpus chrząszcza i obserwował,

jak wzbija się w przecince, a następnie spada na stos błyszczących insektów odgarnianych na bok łopatami. Na każdej wyspie jednym z pierwszych skutków spryskiwania trucizną był brzęczący deszcz chrząszczy spadający z listowia jak mieniący się grad, przy tym niektóre były tak duże, iż ich uderzenie mogło człowieka ogłuszyć.

– Mógłby mi pan powiedzieć – ciągnął z uporem. – Mógłby pan, gdyby pan chciał. Zaoszczędziłoby to...

– I właśnie pod tym względem się mylisz, mój chłopcze – głos Crowella stał się nagle ostry. – Chyba wspomniałem już o tym, iż poznanie przyszłości nie oznacza, iż człowiek może ją zmienić. Zawsze popełniano ten błąd – myślano, iż jeśli wie się, co nastąpi, można temu zapobiec. Muszę ci wytłumaczyć, synu, na czym polega przewidywanie.

Crowell zacisnął pas i czubkiem buta uderzył w darń odwracając ją i z uznaniem przyglądał się ciemnej, bogatej glebie, rozgniatając ją podeszwą buta w czasie mówienia. Zmienił się ton jego głosu.

– Rzecz polega na tym, ogólnie mówiąc, iż powierzchniowe wydarzenia nie mają znaczenia. Ważne są głębokie prądy, ale gdy staną się na tyle wyraźne, aby je zauważyć, są już zbyt głębokie, by je zmienić. Nie spowoduje się tego przy pomocy falochronu. Cóż bowiem jest przyczyną przypływu, który coraz bardziej wzbiera?

Umysły ludzi...

Jeszcze w Dwudziestym Stuleciu mnóstwo ludzi wiedziało, co stanie się na Ziemi. I mówili o tym. Mówili o tym głośno i często. A byli ludźmi posiadającymi ogólny szacunek. Powinno im się wierzyć. Zapewne wielu wierzyło. Ale było ich zbyt mało. W umysłach ludzkich wciąż funkcjonował ten sam, ustalony sposób myślenia. I dlatego straciliśmy Ziemię.

Jeśli posiadasz wiedzę o przyszłości, musisz pozostać świadkiem – i niczym więcej. Pamiętasz Kassandra? Znała przyszłość, ale cena, jaką zapłaciła za to przeczucie, uczyniła ją niegroźną – nikt jej nie uwierzył. Przeczucie automatycznie wyłącza uczestnictwo. Dostrzegasz, że pewne z góry dane czynniki układają się w określone równanie. **TE WŁAŚNIE CZYNNIKI.** Uzupełnij je dodatkowym czynnikiem – twoją ingerencją – a również także się zmieni. A tego nie da się zmierzyć – twojej ingerencji.

Rozumiesz, dlaczego wyrocznie musiały mówić zagadkami? W historii było wielu proroków, musieli jednak wypowiadać się ogólnikowo, inaczej bowiem ich przepowiednie by się nie sprawdzały.

Zastanów się. Przypuśćmy, że masz przed sobą dwie możliwości. Albo udasz się jutro do Twierdzy Newada i trafi ci się rozdanie kart, które przyniesie milion. Albo zostaniesz w domu i zginiesz. Przychodzisz do mnie i pytasz, czy powinieneś pojechać, czy zostać. A ja wiem, że masz przed sobą owe dwie możliwości. Ale mam związane ręce.

Ponieważ oba rezultaty zależą jedynie od twoich własnych motywów i reakcji. W przypadku A pojedziesz do Twierdzy Newada nie pytając mnie o radę i z zakodowanymi w umyśle określonymi reakcjami. Pod tym warunkiem zdobędziesz milion, reagując w dokładnie określony sposób w danych okolicznościach. Ale oto pytasz mnie o radę. I, dajmy na to, mówię ci – jedź do Twierdzy Newada.

I rzeczywiście jedziesz – ale z odmiennym nastawieniem psychicznym. Poradziłem ci, żebyś pojechał. A zatem spodziewasz się, że oczekuje cię tam coś miłego, oczekujesz, że potkniesz się o worek złota, podczas gdy zarobienie tego miliona zależy od czujnej agresywności. Rozumiesz?

Istnieje również druga możliwość. Podświadomie nie chcesz jechać. Z odpowiedzi mojej wyciągasz wniosek, żeby zostać w domu, przypuszczając, iż, być może, kłamię lub w istocie radzę ci zostać, a nie jechać. I wobec tego zostajesz zabity.

Zatem moim zadaniem jest utrzymywanie istniejących czynników stałych, nie zmieniając ich przy wprowadzaniu katalizatora mej przepowiedni. Muszę robić to delikatnie, biorąc pod uwagę twoją psychikę. I to wymaga zręczności. Dysponuję jedynie ograniczonymi informacjami. Przewidywanie odbywa się głównie przy pomocy zasad logiki. To nie jest magia. Znając cię, muszę znaleźć określone idee, jednostki semantyczne, dzięki którym nieświadomie zmodyfikujesz swoje decyzje, a które jednocześnie nie zmieniają twego początkowego nastawienia emocjonalnego. Ponieważ nastawienie to jest jednym z czynników końcowego równania, które zostało przeze mnie przewidziane.

Nie mogę zatem powiedzieć: jedź do Twierdzy Newada! Oznaczałoby to, że będziesz bierny. Muszę sformułować moją radę w postaci szyfru. Wiedząc o tobie to, co wiem, mógłbym powiedzieć: – Drzewo keftu ma błękitne liście – co mogłoby ci przypomnieć o pewnych sprawach – oczywiście byłoby to rezultatem naturalnego, spontanicznego procesu myślowego CO Z kolei wywoła pragnienie wyjechania na jakiś czas z domu. W ten sposób unikam -jeśli jestem wystarczająco zręczny – wprowadzenia nowego elementu do twego pierwotnego nastawienia psychicznego. Jedziesz do Twierdzy Newada, ale będziesz reagował zgodnie z pierwotnym nastawieniem.

I zdobywasz milion.

Teraz już wiesz, dlaczego wyrocznie mówiły zagadkami. Przyszłość zależy od imponderabiliów, które jedno słowo może zmienić. Z CHWILĄ, GDY WYROCNIA INGERUJE, PRZEWIDYWANIE STAJE SIĘ NIEMOŻLIWE.

Logik rozgniół do reszty kawałek darni. Następnie podniósł głowę i krzywo się uśmiechnął. – Z tego również wynika – powiedział – że w dalszej perspektywie jest pożyteczne, żebyś zdobył milion. Mogło by być dla ciebie lepiej, gdybyś został w domu i zginął.

Hale patrzył na płomienie, które oczyszczały ściany fortu Doone. Przez chwilę milczał. – Wydaje mi się, że rozumiem – odezwał się w końcu. – Tylko że... Ciężko jest znajdować się tak blisko odpowiedzi i nie móc ich otrzymać.

– Mógłbym ci dać odpowiedzi na wszystkie problemy, jakie kiedykolwiek napotkasz, a wszystkie zapisane są w pewnej małej książeczce – powiedział Logik. – Przerzuciłbyś tylko stronicę i w każdej chwili wyrecytował odpowiedź. Ale czy to byłoby dobrze? Z powodzeniem od razu mógłbyś nie żyć. Jestem wyrocznią tylko do pewnych granic. Nie potrafię odpowiadać na wszystkie pytania – tylko na te, co do których dysponuję pełnymi informacjami. Jeśli istnieje jakiś czynnik nieznan – czynnik X – już nie mogę na temat tego problemu nic pewnego przewidzieć.

A ten czynnik X istnieje. Nie wiem, co nim jest. W tej chwili zdaję sobie sprawę, że nigdy nie będę wiedział. Bo gdybym wiedział, byłbym Bogiem, a to byłaby Utopia. Rozpoznaję tę nieznaną jakość tylko na podstawie jej nieobecności lub poprzez jej wpływ na inne czynniki. A to ani moja, ani twoja sprawa. Nie mam zamiaru martwić się o to. Do mnie należy przyglądanie się przyszłości, a nie ingerowanie.

Przyszłość znajduje się w umyśle człowieka. Ziemi nie zniszczyła energia atomowa. Zniszczy! ją sposób myślenia.

Łatwiej kontrolować planetę niż to źródło unoszone przypadkowymi prądami, których nawet nie czujemy. Unosi je prąd wywołany przez twoje ruchy, gdy zamierzałeś pokierować tym żdźbłem

będącym jak myśl i jak – przyszłość ludzkości.

Ściany fortu Doone jak wielkie, białe fale lśniły perłowo na tle dżungli. Samowi, patrzącemu na nie z oczyszczonego, białego muru forttecznego, wydawały się niebotycznie wysokie i potężne. Grube, gładkie krzywizny nakładały się na siebie, jakby odpychały las chroniąc zazdrosnym uściskiem znajdujący się w nich przyczółek życia. Kontury ich były konturami fal i wszystkiego, co fale rzeźbią, pełne były treści, które ludzie mogą rozpoznać nawet nie rozumiejąc.

Gładkie, zaokrąglone ściany wznosiły się na wysokość trzech pięter, płaszczyznę ich przecinały okna, w których lśniły ażurowe przesłony z promieni, chroniące przed widzialnymi i niewidzialnymi zarazkami. Forty te budowano podobnie do średniowiecznych zamków, tak aby mogły oprzeć się atakowi ludzi od dołu, a z powietrza atakowi bakterii i innych latających rzeczy – średniowieczni ludzie zabezpieczali się w ten sposób przed płonącymi strzałami. Podobieństwo było bardzo dokładne, ponieważ w pierwszym okresie na Wenus nie istniały jeszcze samoloty. Wolni Żołnierze szanowali nawzajem swe forty. Poruszanie się w powietrzu wtedy, podobnie jak obecnie, było zbyt ryzykowne, uzależnione od prądów i huraganów zanadto niebezpiecznych, aby podejmować takie ryzyko.

Panował tu ogromny ruch. Wokół olbrzymich murów

Znajdowało się mnóstwo zatłoczonych baraków i sklepików. W wyższych budynkach na krańcu ładu znajdował się szpital oraz laboratoria i oficerskie kwatery. Mury zewnętrzne sięgały aż brzegu obejmując niewielki port z silnie ufortyfikowanym barbakanem stanowiącym ochronę znajdujących się na zewnątrz pomostów przystani.

Przy barbakanie panowało podniecenie, którego Sam jeszcze nie zauważył. Mężczyźni i kobiety brązowiejący już od promieni słonecznych przerwali pracę i przyglądali się z zaciekawieniem, z szacunkiem zaszczerpionym od pokoleń, robiąc przejście dla istoty Nieśmiertelnej.

Kedre szła pogodnie przez dziedziniec uśmiechając się do gapiów, od czasu do czasu pozdrawiając kogoś po imieniu. Miała fenomenalną pamięć – Nieśmiertelni ćwiczyli tę umiejętność. Miała również fenomenalną umiejętność adaptacji. Jej strój z Twierdzy w świetle dziennym mógł wyglądać krzykliwie, była jednak zbyt mądra, aby podjąć takie ryzyko. Miała na sobie długi, prosty płaszcz o kolorze perłowobiałym jak fort, na głowie zaś turban tak umiejętnie udrapowany, aby podkreślał jej dystygowaną piękność. Biel w słońcu byłaby oślepiająca. Tym razem z fortu i Kedre emanował owego mglistego dnia opalizujący blask, jakby zagarniając całe światło.

– Witaj, Sam – powiedziała powściągliwie.

Skłonił się lekko z rękami założonymi w półorientalnym geście pozdrowienia, od tak dawna zastępującym uściśnięcie dłoni. Pierwszy raz zwrócił uwagę na jej obecność bardzo formalnie i tym razem jak między równymi sobie. Mógł sobie na to teraz pozwolić.

Zaśmiała się położywszy wąską dłoń na jego ramieniu. – Reprezentuję całą resztę, która jest tam na dole – powiedziała, – Mamy nadzieję, że od teraz możemy zgodnie współpracować. Ja... na Boga, Sam, jak można oddychać tym powietrzem?

Sam również się zaśmiał. Na jego gwizdnięcie młody człowiek, który wycofał się z szacunkiem na pewną odległość a towarzyszył Samowi, podszedł trzymając tabliczkę i rylec. – Przynies wonną gałkę – rozkazał Sam.

Chłopiec wrócił biegiem i Sam podał Kedre dziurkowaną, plastikową kulkę. Znajdowały się tam świeże płatki kwiatów, a ciepło rąk wyzwalało z niej intensywny zapach, dzięki któremu przyjemniej było oddychać.

– Przyzwyczajasz się – zapewnił ją Sam z uśmiechem. Podobnie jak my. Nie spodziewałem się tak szybko tego zaszczytu. Chciałem się najpierw z wami porozumieć.

– Jesteś bardziej zajęty niż my – powiedziała z wdziękiem i pociągnęła go lekko za ramię. – Oprowadź mnie, proszę. Jestem taka ciekawa. Nigdy nie widziałam fortu od środka. Jakże tu pięknie w górze! Gdyby można było coś zrobić z tym powietrzem nie do wytrzymania...

– Poczekaj trochę. Poczekaj dwadzieścia lat. Dżungle są na razie zbyt gęste. Przede wszystkim wydzielają za wiele dwutlenku węgla. Ale poczekaj. Będzie lepiej.

Szła obok niego powoli, skrajem nieskazitelnego płaszcza omiatając biały chodnik. – Wierzę ci, Sam – powiedziała. – Zaczynamy obecnie sądzić, że miałeś rację. Trzeba kolonizować teraz, a nie w następnym pokoleniu. Twoje metody były obrzydliwe, ale cel może je usprawiedliwić. Jestem przekonana, że tak będzie, jeśli zgodzisz się współpracować z nami. Jesteś upartym głupcem, Sam. Zawsze byłeś.

– Nie miałaś nic przeciwko temu przed czterdziestu laty. Kedre, nie podziękowałem ci za uraczenie mnie usypiającym proszkiem. Ani za opiekę nade mną, gdy... spałem. – Powiedział to nawet na nią nie spojrzawszy, ale gdy gwałtownie zacisnęła palce na jego ramieniu i nie podniosła oczu, zrozumiał, że się pomylił.

– Ależ Sam, nie zrobiłam tego. Staralam się, ale zniknąłeś. Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, gdzie byłeś przez cały ten czas? Zagonię do pracy moich ludzi – może dowiemy się czegoś.

– Zrób to, jeśli chcesz. Wątpię, żeby dowiedzieli się czegoś więcej niż moi ludzie.

– Sam, to... to niemal przerażające! Wiemy, że ktoś zaopiekował się tobą. Nie mogłeś przecież zniknąć na czterdzieści lat bez... Sam, kto to mógł być?

– Kiedyś się dowiem. Zapomnij o tym. Spójrz – oto dżungla. Prawdziwa, a nie taka na ekranie. Co ty na to?

Wspięli się po białych, zewnętrznych Schodach prowadzących na blanki.. Sam przystanął, oparł się o parapet i spojrzał w dół, na otaczający fort pas surowej ziemi i na znajdującą się za nim zwartą ścianę zieleni. Poszycie pełne było dźwięków, scen, subtelnych ruchów, przerażających, ponieważ wciąż tajemniczych. Człowiek nawet nie zadrasnął jeszcze wenusjańskiej dżungli, a wszystkie jej ścieżki wydawały się obce i dziwne.

Kedre ledwo rzuciła okiem w tamtą stronę i odwróciła się. – W ogóle nie myślę o dżungli. To nieważne. Ważne jest co innego. – Zrobiła gest w stronę rojących się od ludzi podnóży fortu. – Czeka cię kolosalna robota, Sam. A jesteś niemal samotny. Wiem, że Robin Hale zajmuje się grupami roboczymi, ale one są najmniej ważne. Czy pozwolisz, żebyśmy ci pomogli? Jak wiesz, mamy sporo doświadczenia w sterowaniu ludźmi.

Sam wybuchnął śmiechem. – Czy myślisz, że zaufam komukolwiek z was?

– Oczywiście, nie. A my nie moglibyśmy zaufać tobie. Ale pracując razem, będziemy się nawzajem pilnowali. Ciebie trzeba hamować, a nam potrzebne są bodźce, które ty dajesz. Co o tym myślisz, Sam?

Przyglądał się jej w milczeniu. Przypomniawszy sobie chwilę, nim narkotyczny proszek zamazał wszystkie dźwięki i obrazy, kiedy jej twarz patrzyła na niego z ekranu a ręka jej dawała sygnał do jego likwidacji. Zdawał sobie sprawę, iż znalazła się tutaj z jakiegoś tylko wiadomego sobie powodu. Jego nieufność do wszystkich ludzi, a zwłaszcza do Nieśmiertelnych, była bardzo głęboka. I w jego umyśle, niemal skłonny do zaakceptowania na próbę pomysłu współpracy, pogląd ten zaczął się zmieniać. Wczesna szkoła życia, przez którą przeszedł Sam, była zbyt silna. Nikomu nie mógł

zaufać.

Powiedział: – Nic z tego nie będzie. Zbyt różnią się nasze motywy.

– Będziemy dążyli do tego samego celu.

– Nie mogę się zgodzić. Zawsze działałem samotnie. I zawsze będę. Nie ufam ci, Kedre.

– Nie oczekuję tego. Rób, jak chcesz. Pamiętaj jednak, że oboje pragniemy tego samego – pomyślnej kolonizacji łądu. Bez względu, czy ci się to podoba, my, tam na dole, będziemy dążyli do tego samego celu. A jeśli po jakimś czasie stwierdzimy, że znów staliśmy się przeciwnikami, pamiętaj wtedy Samie, iż to nie my, lecz ty znalazłeś się na błędnej drodze. – W głosie jej było ostrzeżenie. – Gdy chwila ta nadejdzie, a tak się stanie, wtedy będą kłopoty, Samie.

Wzruszył ramionami. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, zrobił właśnie pierwszy ostateczny krok ku izolacji psychicznej i fizycznej, która miała stać się przyczyną jego upadku.

– Zajęło to więc pięć lat – powiedział Ben Crowell. – Mniej więcej tak, jak przypuszczałem.

Idący obok niego mężczyzna, porucznik French, zapytał: – Ma pan na myśli nas?

Crowell wzruszył wymijająco ramionami i machnął ręką. Mógł to być gest w stronę ciemności za szansem, po którym szli – ku usianym bojowymi schronami, oczyszczonym terenom, gdzie można było bezpiecznie iść przed siebie przez trzy dni. Oczyszczenie siedemdziesięciu pięciu mil zajęło pięć lat, wydarto dżungli spory kawał z fortem jako punktem centralnym.

Nic nie było widać. Reflektory z naelektryzowanymi siatkami, chroniącymi je przed światłolubnymi owadami, oświetlały część terenu na zewnątrz muru, ale bezpieczna strefa rozciągała się w ciemności daleko w głąb łądu. Fort również się zmienił. Powiększył się do tego stopnia, że zajął brzeg jak gigantyczny, uzbrojony potwór, tak wielki, iż gdyby ożył, nie zdołałby poruszać się po ziemi Wenus.

Dziwne – ziemia Wenus. Paradoks. Ludzkość zawsze będzie niosła ze sobą ziemskie dziedzictwo, chociaż jej kolonie dotarły poza gwiazdozbiór Łabędzia. Dawne słowa, dawne myśli...

Dawne motywy.

Porucznik French dotknął ręki Crowella i zaczęli schodzić po spadzistym murze mijając zamaskowany wylot lufy jakiejś dziwnej broni. French zwrócił na nią uwagę.

– Widzi pan?

– Cóż to jest?

– Dowie się pan. Chodźmy.

Na dziedzińcach w świetle reflektorów jak zawsze panował ruch. Crowell i French szli energicznie między ludźmi – poruszanie się chyłkiem wyglądałoby podejrzanie, zdecydowane ruchy dobrze ich maskowały. Weszli do przybudówki. French prowadził.

Fort zmienił się teraz w labirynt. Sala, do której właśnie obaj mężczyźni weszli, była przeznaczona na magazyn, w tej chwili służyła jednak do innego celu. Znajdowało się tu niemal pięćdziesięciu mężczyzn ze wszystkich poziomów życia w Kolonii. Ktoś po cichu ich zatrzymał.

French powiedział: – Cześć, Court. To jest Ben Cromwell. Ręczę za niego. Crowell, siadaj tu – i słuchaj.

Przeszedł do przodu i podniósł rękę prosząc o uwagę. – Wszystko gotowe? Zamknąć drzwi. Straże rozstawione?

Jakiś mężczyzna rzekł: – Szybko French. Niektórzy z nas muszą być wkrótce z powrotem na

służbie.

– To nie potrwa długo. Słuchajcie. Mamy tu dzisiaj kilkunastu nowych ludzi, tak? Niech podniosą ręce.

Crowell był jednym z tych, którzy to uczynili.

– W porządku – powiedział French. – Będziemy mówili głównie do was. Wszyscy jesteście już przekonani, bo inaczej nie przyszlibyście tutaj. I po wyjściu z tej sali nie będziecie rozmawiali z nieodpowiednimi ludźmi - zostaliście starannie dobrani.

Zawahał się i rozejrzał po zebranych. – Przede wszystkim – czy jest tu ktoś, kto wciąż wierzy w to łągarstwo Reeda o nieśmiertelności? W to fałszywe Źródło Młodości?

– Ale nie ma też dowodu, że tak nie jest, prawda, komendancie? – odezwał się jakiś głos.

French odrzekł: – Przybyłem tu pięć lat temu. Miałem dwadzieścia lat. Akurat oczyszczono Wyspę Piątą. Wszyscy robili wielkie plany na przyszłość. Nieśmiertelność dla każdego. Kuracja miała trwać sześć lub siedem lat.

– Ale w pana przypadku minęło dopiero pięć, no nie?

– Nie trzeba czekać sto lat, żeby nabrać pewności. Niektórzy z nas widzieli się z lekarzami z Twierdzy. Starzejemy się. Wszyscy. Można to sprawdzić – przede wszystkim w układzie naczyniowym odkłada się wapno.

Te kuracje Reeda są bzdurą. Wiem, że od czasu gdy znalazłem się w Plymouth, jestem o pięć, lat starszy, i to samo dzieje się z wami. Reed nas wykiwał. Spójrzcie na jego życie – nie można mu wierzyć za grosz. Haruję tu od pięciu lat, a przez ten czas mógłbym żyć w Twierdzy i niczym się nie przejmować.

– Podoba mi się na łądzie – wtrącił Ben Crowell napychając tytoń do fajki.

– Wszystko mogłoby być w porządku – przyznał French – ale nie na takich zasadach. Przecież my tylko pracujemy i nic poza tym. Właściwie po co? Dla Sama Reeda i Robina Hale – budujemy, budujemy, budujemy! Hale jest Nieśmiertelny. Może Reed również będzie żył siedemset lat – nie wiem. Wygląda, jakby się nie starzał. Być może odkrył to Źródło Młodości, ale jeśli tak się stało, zatrzymał je dla siebie. A co to oznacza? Że to my pracujemy! Pracujemy aż do śmierci. Nasze dzieci również będą pracować, gdy nadejdzie ich pora. A Sam Reed włóczy się tu tylko i poczeka sobie kilkaset lat, dopóki nie zrobimy dla niego całej roboty i wszystkiego ślicznie nie wykonamy. Tego właśnie chce. Nie widzę w tym żadnej korzyści!

– Masz rację. Zgadzam się. Ale Reed musi postawić mocny fort. Był pan tu pięć lat temu. Wie pan, jak tu wyglądało – odezwał się następny głos.

– Za bardzo się spieszy. Za dużo dyscypliny. Ma swoje własne plany, a my nie wiemy jakie. Nie dotyczą tylko skolonizowania lądu. Owszem, już pięć lat temu potrzebny nam był ten fort, i to silny. Ale co ma znaczyć instalowanie supertajnego uzbrojenia? Nowe gniazda broni na murach – elektryczne wyrzutnie i miotacze gazu trzymane są w tajemnicy. Ale się je zakłada.

– Przeciwno dżungli?

– Dżungla jest teraz sto pięćdziesiąt kilometrów stąd! -krzyknął French. – Nowe rodzaje broni nie mają sensu! Kalendar, jesteś logistykiem. Powiedz im.

Kalendar, niska, śniada postać w zgrabnym, błękitnym mundurze, wstał. – Ta broń służy do obrony przeciwko ludziom. Na przykład może odeprzeć i złamać

silne natarcie czołgów. Ale jest zbyt silna nawet przeciwko jaszczurom. Poza tym – montuje się

i instaluje działa dalekiego zasięgu – wyposażone są we wszystko, od radarowego systemu pomiarowego do videoreaktorów. Trafiają w cel pociskiem wyrzucanym na odległość tysiąca kilometrów. Przeciwno czemu mają być użyte? Przeciwno innej baterii skierowanej na fort? A nasz nowy program konstrukcji samolotów – nie kolonizuje się przy pomocy samolotów!

– No, właśnie. Czego spodziewa się Reed? – zapytał French. – Ataku ze strony Twierdzy? Twierdze nie walczą. Prowadzą sobie spokojne życie w dole i nie przejmują się niczym, a my zaharowywujemy się na śmierć.

Rozległ się pełen niechęci pomruk. Mężczyźni ci nie lubili mieszkańców Twierdzy, być może zazdrościli im. Pomruk ten dowodził jednak czegoś nowego na Wenus, podobnie jak konspiracyjne spotkanie stanowiło zapowiedź czegoś, czego Sam się nie spodziewał. Sam miał bowiem zawsze do czynienia z mieszkańcami Twierdzy, a tu znajdował się nowy gatunek ludzi.

Ben Crowell pociągnął z fajki przyglądając się z zainteresowaniem.

Wybuchła niepohamowana, gwałtowna kłótnia. Oczywiście, spiskowcy mnóstwo gadali! Była to ucieczka od dyscypliny. Rozładowywali własne napięcie w wyklócaniu się zamiast w działaniu, gdyby przestali gadać, prawdopodobnie wulkan by wybuchł.

Ben Crowell usiadł wygodniej, opierając się o skrzynię do pakowania.

– ... Cokolwiek zamierza Reed...

– ... Niech mieszkańcy Twierdzy coś zrobią...

– ... Ile czasu damy jeszcze Reedowi?

– Jak długo będziemy siedzieć i zgadzać się na to? French zastukał prosząc o ciszę.

– Mamy kilka możliwości. Ale musimy wszystko obmyślić ze znacznym wyprzedzeniem. Powiedzmy, że zabijemy Reeda...

– To nie będzie łatwe. On się dobrze pilnuje!

– Nie może wygrać, jeśli większość będzie przeciwko niemu! A będzie. Musimy rozbudować naszą organizację. Jak już pozbedziemy się Reeda i Hale'a, zdobędziemy władzę i nie oddamy jej. Będziemy mieli fort. A **na** Wenus nic nie może zniszczyć fortu!

– Hale nie jest głupcem. Ani Reed. Jeśli czegoś się dowiedzą...

French powiedział: – Każdy przed opuszczeniem naszego zebrania przechodzi przez test na wykrywaczu kłamstw. Zdraycy nie uchodzą z życiem.

– Nie przeżyłbym tysiąca lat, gdybym nie wymyślił, jak oszukać wykrywacz kłamstw – rzekł Logik do Hale'a.

Hale odwrócił się od okna z przeciwświetlną osłoną, znajdującego się wysoko nad murami, które kiedyś wydawały się tak wysokie. Powiedział chłodno: – Wiem, że był pan na tym zebraniu. Również mam szpiegów.

– Czy twój człowiek rozpoznał mnie?

– Nikogo nie rozpoznał. Przyszedł tam już po wszystkim. Ale wyczuł zapach dymu i pańskiego dobrego tytoniu. W każdym razie zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Co na przykład?

– Wiem, kiedy zaczyna się rozpręgać dyscyplina. Wtedy, gdy ludzie zaczynają niedbale salutować. Gdy nie czyszczą swych odznak. Nauczyłem się dyscypliny w Wolnych Oddziałach. Zauważyłem początek rozkładu w oddziale Mendeza, zanim zabili go jego ludzie. A tu oznaki

niepokoju dostrzegłem kilka miesięcy temu. Właśnie wtedy uruchomiłem moich szpiegów. Wiedziałem, czego można się spodziewać, i miałem rację. To początek.

– Czego?

– Buntu. Znam kilku przywódców, ale nie wszystkich.

– Czy Sam Reed wie?

– Rozmawialiśmy o tym. Wydaje mi się jednak, że nie docenia niebezpieczeństwa. Obstawił się tak dokładnie, że bierze swe osobiste bezpieczeństwo za bezpieczeństwo całej Kolonii. Chcę, żeby powiedział mi pan, co się szykuje. Wiem, że może pan to zrobić. A jeśli nie, dostanę informacje skądinąd, w każdym razie chciałbym o tym z panem porozmawiać, jeśli pan się zgodzi.

– Wiem, że możesz się dowiedzieć skądinąd – odrzekł Croweli. – Z przyjemnością pogadam o tym. Spodziewałem się twego pytania, miałem nadzieję, że je zadasz, ponieważ sam nie mogę w nic wkraczać, żeby nie naruszyć samej zasady. Uczestniczyłem w tym całkowicie biernie, jak wiesz. Przypuszczam, że wyglądałem jak jeden z niezadowolonych. Bóg wie dlaczego. No nie, ja wiem, oczywiście. A ty? – Zerknął na Hale'a znad dłoni, w której trzymał fajkę.

Hale potrząsnął głową. – Nie, ja... chwileczkę. Może wiem. – Podeszedł znowu do okna i spojrzął na tętniący życiem dziedziniec. Praca ludzi wydawała się bardziej wzorcowo zorganizowana niż przed pięciu laty. Dyscyplina stała się żelazna. Zwykły obserwator mógł odnieść wrażenie, iż jakkolwiek w miarę podboju ładu potrzeba dyscypliny zmniejszała się, coraz bardziej przestrzegano jej zewnętrznych form.

– Sam ma swoje powody – powiedział Hale spoglądając w dół. – Nie wiem jakie, ale mogę się domyślać. Ma już niewiele czasu. Sytuacja może wkrótce się zmienić. Ludzie zaczynają tracić wiarę w nieśmiertelność i zaczynają się zastanawiać. Sam zdaje sobie sprawę, iż sytuacja już zrobiła się chwiejna, ale chyba jeszcze nie przyszło mu do głowy, jaką on sam odgrywa rolę pod tym względem. Ludzie. Zupełnie już inni niż mieszkańcy Twierdz. Ludzie tacy jak pan i ja, którzy wiedzą, co to znaczy niezależność. Nic dziwnego, że uznali pana za malkontenta. Żył pan w świecie, w którym każdy musiał dawać sobie radę sam lub przegrać. Podobnie ja. Myślę, że łatwo to rozpoznać.

– Słusznie – uśmiechnął się krzywo Crowell. – Mieszkańcy Twierdz chcą, żeby myśleli za nich przywódcy. Nasi ludzie na łądzie muszą myśleć samodzielnie. Ci, którzy tego nie robią – po prostu giną. Powróciła dawna, pionierska atmosfera, synu, a ja to lubię. Oznacza ona kłopoty, ale podoba mi się.

– Kłopoty już są. Poważne, jeśli nie zaczniemy działać we właściwym momencie.

– Teraz? – Crowell uważnie popatrzył na Wolnego Żołnierza.

– Jeszcze nie – odrzekł Hale, a Logik uśmiechnął się lekko, lecz z zadowoleniem. – Nie, jeszcze nie teraz.

Trochę dlatego, że chcę tę Sprawę rozgryźć i zobaczyć, w jakim stopniu się rozszerzy. Trzeba zorientować się w usytuowaniu korzeni – jak w przypadku tej Podziemnej Istoty. A trochę... nie wiem dokładnie dlaczego. Mam uczucie, jakby te bunty i spiski wytwarzały coś, czego nie powinno się zniszczyć. Naturalnie, chodzi o tego pionierskiego ducha, odczuwam to podobnie jak pan. Bunt niczego nie załatwia, ale w każdym razie w pewien sposób jest dobrym znakiem.

– Zatem zamierzasz pozwolić im działać?

– Nie. Nie mogę się na to zgodzić. Na razie potrzebują jeszcze Sama i mnie, niezależnie od tego, co o tym myślą. Jeśli pozwolimy buntownikom wygrać, wszyscy znowu uciekną do Twierdz i pogrążą się w poprzedniej apatii. To przełomowy okres. Sam ma jakiś plan, którego jeszcze nie

rozumiem, ale założę się, że wypłynie na wierzch. Potrafi samodzielnie dać sobie radę. Jego odpowiedzią na bunt, gdyby go potraktował poważnie, byłoby kompletne zduszenie. W tej chwili mogłoby to oznaczać zlikwidowanie również niezależnego ducha pionierskiego. Muszę się nad tym zastanowić, Crowell. Nie ma sensu pytać cię o radę, prawda?

Crowell bacznie przyglądał się fajce, która zgasła. Bezskutecznie postukał w nią zrogowaciałym palcem. – Hm... – odezwał się powoli – wydaje mi się, że nie trzeba ci zbyt wiele radzić, mój chłopcze. Jesteś na dobrej drodze. Nie ingeruj więcej, niż rzeczywiście musisz. Dokonują się tu naturalne procesy krystalizacyjne i im: dłużej przebiegają one w sposób swobodny, tym lepiej. Wiesz co? Wydaje mi się, że samo życie tu, na ładzie, dało tym ludziom ogromnie wiele dobrego. Znowu odkryli Czas. Na dole dzień i noc nie mają znaczenia. Nie ma właściwie różnicy między porami roku. Natomiast tu widać upływ czasu. Ma się poczucie, że jest już później, niż pozornie się wydaje. Ci chłopcy i dziewczęta początkowo wierzyli, że będą żyli wiecznie. Mieli przed sobą daleką perspektywę. Pragnęli działać dla idei kolonizacji, z której mieli nadzieję korzystać osobiście po upływie dwustu, trzystu lat. Ale to już mija. Czas mija. I nagle zaczęli zdawać sobie z tego sprawę. Gdybym był tobą, pozwoliłbym na wykrystalizowanie się tych naturalnych sił. Sam Reed, jak powiadasz, potrafi dać sobie radę.

– Mam zamiar pozwolić mu na to – powiedział Hale. – Zatem będzie pan miał na oku te zebrania? Wiem, że mają wiele rozmaitych projektów, ale żadne nie są jeszcze na ukończeniu, prawda?

– Wciąż wypuszczają parę. Będą działać, ale jeszcze nie teraz.

– Proszę więc szpiegować dalej. Ja nie zacznę działać, dopóki nie będę musiał. Poczekam – chyba że Sam pierwszy zrobi ruch.

Sam zrobił pierwszy ruch.

Jak zwykle starannie wybrał moment opracowawszy każdy szczegół, a jego działanie było tak efektowne, że ten i ów zastanawiał się, co jeszcze Sam ma w zanadru. Oczywiście, nie byli pewni. Niektórzy nigdy nie nabrali pewności, nawet wtedy gdy ów fantastyczny gambit został zagrany. Gambit udał się – był to szach, jakkolwiek jeszcze nie szach-mat, a widowia od tego momentu będzie lepiej rozumiała grę wyobraźni dawnego poety oraz jego wielkiego tłumacza – szachownicę nocy i dni. Jeśli idzie o Przeciwnika – Niewidocznego Gracza – nawet Sam nie zgłębił tej tajemniczej symboliki. Kto był tym graczem? Harkerowie? Wenus? Inna częśćeczka Sama?

A on wie o wszystkim... On wie... on wie...

Była to myśl, która mroziła krew, ale nawet Sam zdawał sobie sprawę, że nie ma nikogo, kto „wie o wszystkim”. Trudno było wyjaśnić każdy szczegół i tendencję dotyczące nawet terażniejszości, a cóż dopiero przyszłości.

Był jednak przygotowany. Wybiła godzina zero. Od czasu gdy dostał wiadomość, pewne dyskretne przygotowania, które poczynił na własną rękę, zostały zakończone. Znajdował się w jednym ze swych prywatnych biur w wielkiej wieży, którą zarezerwował na własny użytek. Część owej wieży była ściśle tajna. Ale nie biuro. Boczne okna wychodziły na morze od strony archipelagu usianego teraz farmami i niewielkimi osiedlami, jakkolwiek bojowe schrony i tam pozostały.

Unikał spojrzenia Hale'a. Przyglądał się płaskiemu sześcianowi leżącemu przed nim na stole. Sześcian stanowił jakby głęboką ramę obrazu. Znajdowały się w nim jednak syrenie sploty mieniące się powoli od czerwieni do głębokiego szkarłatu. Sam otworzył srebrne pudełko, wyjął jakiegoś owada i przez miniaturowe drzwiczki nakarmił nim syrenie sploty. W tym momencie dał się wyczuć

słaby, wonny zapach i rozległo się głębokie, rytmiczne brzęczenie.

– Odstaw to – powiedział Hale. – Zbyt często czułem ten zapach! Co z Crowellem?

Sam odsunął na bok pojemnik z syrenimi splotami. – Nie wiedziałem, że pracuje dla ciebie. Był jednym z buntowników i tyle. Aresztowałem go więc razem z innymi.

– Dlaczego działasz bez porozumienia ze mną? Dlaczego czekasz, aż wyjadę w podróż inspekcyjną osiemdziesiąt kilometrów stąd?

– Wróciłeś w ciągu pół godziny – odrzekł Sam. – Tak czy owak, musiałem działać szybko. Odkryłem, że w tym spisku kryje się znacznie więcej, niż nawet podejrzewałeś, jak mogę sądzić na podstawie tego, co słyszałem od ciebie. Crowell może być twoim człowiekiem, ale jest kiepskim szpiegiem.

– Chcę, żeby został zwolniony.

Sam wzruszył ramionami. – Oczywiście. Ale już przestanie być użyteczny, prawda?

– Niekoniecznie.

– Wezwanie mogło być omyłkowe. Nie musiałeś aż tak się spieszyć.

Hale powiedział: – Nie chcę ryzykować popełnienia omyłki. Crowell musi być zwolniony. Wypadki się zdarzają. Błędny rozkaz, błędna interpretacja przez strażnika...

– Nigdy nie widziałem, byś się tak troszczył o kogokolwiek. Dlaczego Crowell jest tak ważny?

Hale zawahał się. W końcu rzekł: – No... mam do niego zaufanie.

Teraz Sam milczał przez chwilę. I powiedział miękko: – Ufasz mu? To znaczy ufałbyś mu, gdyby przyłożył ci z tyłu pistolet?

Hale przytaknął.

– Może kiedyś znajdę takiego człowieka – powiedział Sam gorzko. – Dotychczas nie znalazłem. No dobra, uwolnimy Crowella. Niedługo zacznie się proces.

– Wytaczasz go dzisiaj?

– Tak. Odkryłem tak dużo... zupełnie nieoczekiwanie... oni są groźni. Bardziej niż podejrzewaliśmy. Nasi wrogowie są lepiej uzbrojeni, niż przypuszczamy. Może mają poparcie Twierdz. Nie wiem. Ale nie mam czasu opowiadać ci teraz o wszystkim. Załatwiłem transmisję z procesu na całą Wenus, a Twierdze połączą się po kilku minutach. Chodźmy. Zobaczysz, jak to wygląda.

Zatrzymał się jednak, aby nakarmić syrenie sploty kolejnym owadem. Hale spytał z obrzydzeniem: – Skąd to masz?

– Och, to trofeum.

– Jeszcze młode. Masz zamiar je zatrzymać? Urośnie...

– Spodziewam się.

– Stanie się niebezpieczne. To syrenie sploty, Sam. Sam odrzekł: – Mimo to wyobraź sobie, że mają siedem metrów średnicy. I wiszą na tej ścianie...

– Oraz pożerają ciebie.

– Nie jestem dobrym medium, pamiętasz? W każdym razie, gdy to urośnie, podejmę środki ostrożności. Polaryzowane szkło albo głowica stroboskopowa, regulator tonometryczny regulujący dźwięk syreniej pieśni, jakieś urządzenia do tonizowania zapachu... Zaczyna się proces. Chodźmy.

Wyszli razem.

Hale zapytał: – Ilu doliczyłeś się buntowników?

– Około siedemdziesięciu. Niektórzy przydadzą się w stosownych dla nich miejscach. Pozostali są zbyt niebezpieczni, żeby mogli żyć... – Sam przerwał gwałtownie. Niemal się wygadał.

Najpierw został zwolniony Crowell, następnie udali się do sali, gdzie miał się odbywać proces. Już zainstalowano ekrany telewizyjne. Wokół wielu strażników. I ponad siedemdziesięciu więźniów bez kajdanków stłoczonych w okratowanym kojcu.

Sam zaczął ostro przemawiać. Zwracał się do Kolonii i Twierdz w takiej samej mierze jak do więźniów. Zaczął od opisanie działalności malkontentów, o własnych, coraz większych podejrzeniach dotyczących tego rodzaju podziemnej organizacji w Kolonii – Kolonii, która rozwija się z każdą godziną, pomyślnie podbija ląd, tak aby nadszedł dzień, gdy ludzie, każdy mężczyzna i każda kobieta na Wenus będą mogli żyć pod otwartym niebem.

Zaareztował spiskowców. Spisek miał jeszcze głęboko sięgające odgałęzienia. Doszło do wielu tajemniczych kradzieży, kradzieży podstawowego i technicznego wyposażenia, nawet amunicji. W jakim celu?

Kamery skierowały się na więźniów.

– Jesteście tylko wykonawcami – zwrócił się do nich Sam. – Na początku byliście tymi, którzy zaczęli bunt, ale przejął to ktoś inny. Ktoś, kto pozostaje całkowicie w ukryciu. Albo nie wiecie, kto to jest, albo nie chcecie mi powiedzieć. Byliście przesłuchiwanymi. Kto jest waszym zakonspirowanym przywódcą?

Cisza.

– Jakie ma plany? Czy mieszka w Kolonii? Cisza.

– Posiadamy dowód. Zniknęło gdzieś wyposażenie. Są i inne dane. Znajdziemy tego człowieka i całą resztę jego bandy. Stanowi on zagrożenie nie tylko dla Kolonii, ale również dla Twierdz. Jeśli taki człowiek zdobędzie władzę...

Niedopowiedziana groźba zawisła nad Wenus.

– W końcu go znajdziemy. Zwracamy się do Twierdz o współpracę w tej sprawie. Jednak w obecnej chwili to wy jesteście winni zdrady. Spiskowaliście w celu obalenia rządu Kolonii i przejęcia władzy. A później zamierzaliście rządzić również Twierdzami.

Jakiś człowiek spośród więźniów rzucił się do przodu. Przed kamerami rozległ się jego wysoki głos:

– Starzeję się! Wszyscy się starzejemy! Gdzie jest nieśmiertelność, którą nam obiecywałeś?

Sam odrzekł pogardliwie: – Nie jestem głupcem, poruczniku French. Od dawna wiedziałem o spisku i znałem większość jego uczestników. Dlaczego miałbym ludziom takim jak wy zapewnić nieśmiertelność? Żebyście dłużej spiskowali? Przez wiele miesięcy nikt z was nie był poddawany promieniowaniu. Wasza kuracja była jedynie symboliczna, by uspić wasze podejrzenia, lecz nieśmiertelność nie jest dla zdrajców! – Twarz Sama miała surowy wyraz.

– Gubernator Hale i ja czekaliśmy mając nadzieję na wykrycie przywódcy waszej organizacji. Pewne wydarzenia zmusiły nas do działania już teraz. W dalszym ciągu naszym celem jest ujęcie i nieszkodliwienie przywódcy i uczynienie go niegroźnym dla cywilizacji, ale w tej chwili chodzi o to, co zrobić ze zdrajcami.

Skazuję was na śmierć.

Zapanowała – zdawało się, że coraz głębsza – cisza. Na lądzie trwała ona dłużej niż w

Twierdzach. Ponieważ koloniści wiedzieli już, co to jest czas.

Sam zrobił drobny gest.

– Zostaniecie odesłani pod eskortą do Twierdz, które sobie wybieriecie. Żaden nie będzie mógł wrócić. Kolonia jest dla was wszystkich zamknięta. Podobnie jak kuracja zapewniająca nieśmiertelność. Mielicie szansę żyć tysiąc lat, a zamiast tego wybraliście drogę zdrady.

Nie stanie się wam krzywda. Zostaniecie zabrani do Twierdz – i będziecie wolni. Dopóki nie umrzecie. A umrzecie nie za tysiąc lat, lecz za trzydzieści, czterdzieści, może pięćdziesiąt. Odbieram wam dobrodziejstwo nieśmiertelności i skazuję na śmierć z przyczyn naturalnych.

Wracajcie do Twierdz. Nie chcemy was tutaj. Złożył ręce w konwencjonalnym geście.

– Proces jest zakończony.

Proces: Próba ognia i wody...

„Do wszystkich Twierdz: od tej chwili nie będziecie płacili Kolonii Plymouth okupu z korium. Będziecie płacili Rządowi Tymczasowemu Wenus. Przejmujemy kontrolę nad planetą. Posiadamy środki, żeby wymusić nasze żądania siłą. Do Kolonii Plymouth: odwołajcie wszystkie samoloty albo zostaną zniszczone...”

System pelengacyjny nie zdołał zlokalizować źródła tych informacji. Znajdowało się w ruchu. I przez cały czas na morzu. Widocznie tekst wezwania szybko przechodził z nadajnika do nadajnika – były to zapewne samoloty, jakkolwiek urządzenia radarowe nie stwierdziły nad Wenus obecności nieznanymi maszyn.

Odpowiedź Sama na to wyzwanie była krótka: – Poddajcie się!

– Posiadamy środki, żeby wymusić spełnienie naszych żądań...

Na wszystkich ekranach Twierdz i Kolonii pojawiła się twarz Sama.

– W Kolonii Plymouth wszystko zostało przygotowane do zdecydowanego ataku. Po raz pierwszy buntownicy się ujawnili. Teraz możemy ich odnaleźć i zniszczyć. I odnajdziemy ich. W miarę naszych działań przekazywane będą sprawozdania telewizyjne. Wysyłamy specjalne okręty i samoloty do strzeżenia morza w rejonie każdej Twierdzy. Podejmujemy wszystkie niezbędne środki ostrożności. Ostrzelano nieznanego samolot zbliżający się do Fortu Plymouth – odlatuje na południe. Muszę pokierować niektórymi działaniami. Zostanie tu jeden z Oficerów Operacyjnych, który będzie was informował.

Sam przebywał w swej wieży. Nie było przy nim nikogo. Przez całe miesiące nadzorował instalowanie urządzeń z jednoosobową obsługą. Niektóre zadania mógł przekazać innym, ale główna robota zależała tylko od niego. Nie będzie to łatwe.

Znad wenusjańskich mórz nadeszło następne, nadawane z różnych punktów, wezwanie:

– Kolonia Plymouth! Odwołajcie wasze samoloty! Nie przeżyjecie ataku atomowego!

Każdy słuchacz pomyślał nagle o pamiątkowym pomniku stojącym w każdej Twierdzy. O zasłoniętej czarnym plastikiem kuli utraconej Ziemi. Energia atomowa na Wenus – w celach wojennych? Energia, która tak łatwo może wymknąć się spod kontroli.

Na ekranach ukazywały się fragmenty dżungli badane przy pomocy podczerwieni i radaru w miarę, jak samoloty Sama penetrowały ląd i morze, a delikatne instrumenty wnikały w mroczny, tajemniczy żywioł rdzennej Wenus, intensywnie poszukując gangsterów, którzy ogłosili się Tymczasowym Rządem Wenus.

– Podajemy ultimatum. Macie czterdzieści osiem godzin. Po upływie tego okresu jedna z

Twierdz zostanie zniszczona.

Bomba atomowa!

Był to dawny, potworny strach. Przerażenie, które tkwiło w tych ludziach przez siedemset lat. A w Twierdzach lata nic nie znaczyły – były tak pozbawione znaczenia, jak dni pozbawione godzin.

Czterdzieści osiem godzin?

W końcu do Twierdz powróciło poczucie czasu.

Zestrzelono dwa samoloty, zanim zdążyły zanadto zbliżyć się do fortu. Zniszczyły je wiązki promieni, nie było eksplozji. Ale przybliżyło się zagrożenie bronią atomową.

Sam powiedział: – Odwołaliśmy do szeroko zakrojonych działań ludzi skierowanych poprzednio do prac przy rozbudowie Kolonii – naszym najnowszym przedsięwzięciu. – W miejsce jego zmęczonej, napiętej twarzy ukazał się widok rozległego, oczyszczonego terenu na wybrzeżu ze znanym tłem dżungli. Niektóre budynki były ukończone, inne dopiero w połowie, warstwa plastiku częściowo pokrywała tradycyjne, baloniaste fundamenty. Stosy ekwipunku były porządnie ułożone, jednak tłum robotników kierował się w szyku ku motorowym barkom, które właśnie przybiły, by ich zabrać.

– Buntownicy nie zostali jeszcze zlokalizowani. Nasze samoloty prowadzą poszukiwania...

Obraz stacji radarowych ustąpił miejsca widokowi bezdennej dżungli przeświecanej podczerwienią i pokazywanej z dużej wysokości. Przeleciał samolot, badając ją przy pomocy nadzwyczaj dokładnych czujników, w jakie wyposażyła go technologia, i znowu ukazała się stacja radarowa.

– Czterdzieści siedem godzin. Pozostało wam czterdzieści siedem godzin. Kolonia Plymouth! Odwołajcie wasze samoloty. Posiadamy broń atomową i nie zawahamy się przed jej użyciem...

Czas...

– Pozostało wam czterdzieści sześć godzin...

Strach ogarnął Twierdze. Na Szlaki wyległy tłumy zbierając się w ich centralnych punktach, gdzie stały ogromne ekrany. Zachariasz Harker powiedział do Kedre:

– Kierowanie masami to coś więcej niż retoryczny zwrot. Szlaki są czymś takim jak układ krążenia. Gdy zbiera się na nich zbyt wiele ludzi, wtedy krew zaczyna krzepnąć i powstaje niebezpieczeństwo aneuryzmu.

– Zachariaszu... – przerwała mu Kedre. Wziął ją za rękę.

– Nie wiem. Nie wiem, moja droga. Staram się myśleć. Zostało nam jeszcze czterdzieści pięć godzin.

– Zostały wam jeszcze czterdzieści cztery godziny.

– Następny atakujący samolot został zestrzelony i rozbrojony przy pomocy wiązki promieni pięćdziesiąt kilometrów od fortu Plymouth. Nie doszło do wybuchu atomowego. Samolot był sterowany falami radiowymi. Sygnały sterujące nadawane były ze zmieniających swe położenie punktów na morzu.

Hale spojrział na Logika.

– Sprawy się krystalizują – powiedział Ben Crowell nabijając fajkę.

– Łatwo panu mówić. Zna pan odpowiedź. Ja nie znam.

– Prawdziwy kłopot jest wtedy, gdy nie widzi się żadnego kłopotu – zauważył Crowell. –

Napotkawszy niewinnie wyglądające, maleńkie rośliny, mógłbyś nie wiedzieć, że istnieją również owe Istoty Podziemne, których korzenie kryją się na głębokości siedmiu metrów i tylko czekają na odpowiedni moment. A teraz... – rzucił spojrzenie na widocznego na najbliższym ekranie spikera Twierdz. – Nie uważasz chyba, że ingeruję?

– Nie. Ale mógłby się pan trochę bardziej przejmować tą groźbą wojny atomowej. Nawet Wolni Żołnierze zakazali atakowania przy pomocy broni atomowej.

– Zostały wam czterdzieści trzy godziny – odezwał się ekran.

– Zostały wam dwadzieścia cztery godziny.

– Zostało wam dwadzieścia godzin.

– Zostało wam szesnaście godzin.

– Mówi Sam Reed. Znaleźliśmy tych drani I

Na ekranach ukazała się, widziana z bardzo wysoka, dżungla – zielona, bujna, pulsująca życiem. I nic więcej. Następnie zaczęło się bombardowanie – kwas, ogień, promieniowanie – furia ludzkich środków zniszczenia zderzyła się z furia Wenus.

Zieleń dżungli poczerniała, gasła w cierpieniach. Wyrzucała z siebie ogromne, nabrzmiałe rozpaczą pnącza roślin. Ze środka koła poddanego potwornemu całopaleniu wylatywały całe chmury istot latających. Skręcała się górująca nad nimi niby kolumna szyja jaszczurki-olbrzymia. Rozdarte, czerwone wnętrzości. Przez posępny, nieustanny ryk walącego od góry potopu przebijał się wysoki, przejmujący dźwięk rozpaczliwego syczenia jaszczura.

– Poddajcie się! Zniszczymy Twierdze – nie zawahamy się – przerwijcie atak...

Miejsce, gdzie była poprzednio dżungla, zamieniło się w surowe, poczerniałe, parujące pustkowie.

Gleba stopiła się, skruszyła. Płynęła jak lava. Zaczęło powstawać rozpalone do białości jezioro. Uderzyły weń z góry strumienie wody pod wysokim ciśnieniem, a stopiona skała zaczęła wytryskiwać na boki błyszczącą, rozżarzoną fontanną. Gdy poziom lawy opadł, wyłoniła się z niej jakaś szara, zaokrąglona powierzchnia.

Na ekranach pojawiła się na chwilę twarz Sama.

– Widzicie tajną kwaterę buntowników – powiedział. – Zobaczycie, jak zostanie zniszczona.

Jakiś głos krzyknął: – Zniszczymy Twierdze! Przerwijcie atak...

Szara kopuła tkwiła posępnie w rozżarzonej do białości jeziorze.

Spadła czarna bomba w kształcie torpedy. Szara kopuła była twarda. Spadła jeszcze jedna bomba. I jeszcze jedna.

Pióropusze wybuchów nie nadążały wykwitać przed uderzeniami następnych pocisków. W tej strasznej regularności precyzyjnego bombardowania nie było chwili oddechu, chwili przerwy. Uderzenia młotem jedno za drugim. Cztery, pięć, sześć...

Sam zrzucił czterdzieści osiem bomb, po jednej za każdą godzinę ostatecznego terminu, jaki mu wyznaczył Rząd Tymczasowy Wenus.

Na ekranach ukazał się dym. Gdy wreszcie opadł, pojawiło się rumowisko, do jakiego nawet gniew Wenus nie był w stanie doprowadzić. Podziemna Istota została w końcu zlikwidowana.

A dwadzieścia okrętów podwodnych wystrzeliło torpedy o specjalnym przeznaczeniu prosto w kopuły z impervium pokrywające Twierdze.

W sześć godzin później Zachariasz Harker przemawiał do Twierdzy:

– Sam Reed zgładził buntowników. Posiadali jednak samobójczą flotę. Ginąc zdążyli się zemścić. Kopuła z impervium nad Twierdza Delaware stała się radioaktywna. To samo dotyczy wszystkich Twierdzy. Chwileczkę... – Odszedł na bok i niebawem powrócił.

– Powiedziano mi, że nadeszły nowe informacje – nie wszyscy buntownicy zostali zgładzeni. Widocznie niektórzy ocaleli. W tej chwili nie są groźni, ale będą stanowili nieustanne niebezpieczeństwo, dopóki nie zostaną zlikwidowani podobnie jak ich organizacja. Tymczasem ich zemsta jest skuteczna. W ciągu tygodnia bariera niebezpieczeństwa zostanie przekroczona i w Twierdzach nie będzie można mieszkać.

Nie wpadajcie od razu w popłoch. Nie sądzę, by impervium osiągnęło punkt krytyczny. Ale nie można zatrzymać reakcji atomowej i po tygodniu Twierdzy staną się powolnie działającymi śmiertelnymi pułapkami. Rozsądne wydaje się tylko jedno rozwiązanie. Na razie nie ma czasu na budowanie pod wodą nowych kopuł z impervium. Można to jednak zrobić na lądzie. Jest tu Sam Reed. Niech przedstawi swój plan. Pojawiła się twarz Reeda.

Niemal niedbale powiedział: – Robiliśmy, co się dało, ale ostatnie słowo należało do tych drani. No cóż, musicie opuścić Twierdzy – wszyscy – albo umrzecie. Mówiłem już chyba, że zaplanowaliśmy rozwój Kolonii. Oczyszciliśmy w tym celu sporo przestrzeni i przygotowaliśmy już nieco sprzętu. To wszystko należy do was. My pozostaniemy w Plymouth lub zaczniemy tworzyć nowe kolonie. Łąd, który oczyszciliśmy, i całe wyposażenie jest do waszej dyspozycji. W godzinie klęski musimy działać wspólnie. Jesteśmy jedną rasą.

W ciągu tygodnia możecie przewieźć materiały, które będą wam potrzebne. Nie będzie to łatwe życie, ale jednak życie. My, z Kolonii Plymouth, jesteśmy gotowi we wszystkim wam pomóc. Powodzenia.

Na ekranie pojawił się ktoś inny. Sam i Zachariasz zaczęli rozmawiać na prywatnej częstotliwości.

– Czy w ciągu tygodnia uda się ewakuować Twierdzy?

– Z łatwością. Przecież trzeba.

– W porządku. Będziemy musieli współpracować – przynajmniej przez jakiś czas. Kedre zaproponowała to kiedyś, a ja odmówiłem. Teraz ja proponuję. Poślemy specjalnych oficerów, którzy poradzą wam, jaki sprzęt będzie potrzebny. Na oczyszczonych terenach powstaną przede wszystkim problemy zdrowotne. Dostarczymy wam specjalistów od tych spraw. Musicie pozostać żywi i zdrowi, a nie jesteście zaaklimatyzowani do życia na lądzie. Nie liczcie zaniechania na kopuły z impervium. Nie pozbyliśmy się do końca buntowników, mogą więc powtórzyć to, co już raz zrobili. Pod kopułami jesteście narażeni. Jeśli ich resztki znowu się zorganizują...

– Życie na lądzie będzie ciężkie dla starych i słabych.

– Silni mężczyźni będą mieli co robić. Wystarczy też prac pomocniczych, które nie wymagają sprawności fizycznej, a muszą być wykonane. Zadania tego rodzaju rozdzielicie między starych i słabych. W ten sposób silni będą mogli zająć się procą, która wymaga siły. Czeka was mnóstwo oczyszczania i budowania.

– Nasi specjaliści oceniają czas połowicznego rozkładu uradioaktywnego toru na dwanaście lat. Po dwunastu latach będziemy mogli powrócić do Twierdzy.

– Ale do tego czasu będziecie musieli żyć. I nie zapominajcie o tych buntownikach, którzy przeżyli. Jeśli ich nie złapiemy, mogą ponownie uradioaktywnić kopuły Twierdzy. Dwanaście lat to

dużo.

– Tak – z zadumą powiedział Zachariasz, patrząc w nieświadomą niczego twarz wnuka. – Tak, myślę, że będzie to bardzo długi okres czasu.

I rzekł Pan: ... przetoż zstąpiłem, abym wywiódł go z ziemi tej do ziemi ... optywającej mlekiem i miodem...

... I szli synowie Izraelscy środkiem morza po suszy, a wody im były jako mur, po prawej stronie ich i po lewej stronie ich.*

Ostatni exodus ludzkiej rasy odbył się siedemset lat temu. Teraz zaczął się znowu. Ta powszechna migracja była zbyt skomplikowanym zjawiskiem, aby pojedynczy umysł mógł to ogarnąć, i ludzie, którzy ją później wspominali, zapamiętali tylko niedopuszczalne wzburzenie nastrojów, histerię, niemal panikę, ślepy bunt przeciwko przeznaczeniu, a jednocześnie powszechne posłuszeństwo. Mieszkańcy Twierdz nauczyli się, iż najłatwiej być uległymi. I robili to, co im kazano, narzekając, przestraszeni i niechętni, ale posłuszni rozkazom każdego, kto zwraca się do nich wystarczająco autorytatywnie.

Nikt z góry nie uwierzyłby, że tak kolosalny exodus może odbyć się w czasie, który nań wyznaczono. I nikt, zastanawiając się nad tym później, nie rozumiał, w jaki sposób zdołano to przeprowadzić. A jednak przeprowadzono. Trudna do zmierzenia siła inercji ludzi z zadowoleniem mieszkających w jednym miejscu przez siedemset lat musiała znaleźć swą jeszcze trudniejszą do zmierzenia przeciwwagę, która zmusiłaby ich do działania...

Pojawiła się taka przeciwwaga. Częstka elementarna.

* *Biblia*, Exodus, III 8, XIV, 22.

Nie dająca się zważyć na jakiegokolwiek skali mierzącej wartości fizyczne, a jednak naruszała równowagę bardziej, niż mogłoby to uczynić cokolwiek innego. Pradawny strach tkwił w każdym człowieku, który kiedykolwiek podniósł wzrok znad ruchomych Szlaków i ujrzał wiszącą w środku każdej Twierdzy kulę utraconej Ziemi, przesłonięta symbolicznym całunem. Ruszyli się.

Kedre po raz ostatni rozejrzała się po swoim pięknym, cichym pokoju. Było to długie i tak samo jak pokój ciche spojrzenie.

– Nie wrócimy tu – powiedziała. Zachariasz czekający na nią przy drzwiach zapytał cierpliwie: – Dlaczego?

– Wiesz, że nie wrócimy. To dobrze. Nienawidzę Sama Reeda. Zawsze zmusza mnie do stawania wobec niemiłych prawd z całkowicie nieistotnych a ważnych tylko dla niego powodów. Nie robi tego ze względu na konieczność ratowania rasy. Robi to, ponieważ rozgłosił gigantyczne kłamstwo i nie znajduje innego wyjścia.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdołamy to udowodnić?

Kedre wzruszyła ramionami. – Gdybyśmy nawet mogli, nie miałyby to teraz znaczenia. Znam metody Sama. Zdarzyło się już, że gdy znalazł się w rozpaczliwym położeniu, podejmował rozpaczliwe działania. Od tego czasu oczekiwaliśmy czegoś podobnego. Nie sądziłam, że jest zdolny do takiej mistyfikacji, ale Sam uczy się szybko. Nie sądzę, byśmy mogli to kiedykolwiek udowodnić.

– Jesteś gotowa, moja droga? Winda czeka.

– W porządku. – Westchnęła kierując się ku drzwiom. – Nie powinnam się czuć, jakbym szła na śmierć. Mam zamiar potwierdzić swe istnienie zaczynając żyć! Będzie to życie niewygodne i, jak przypuszczam, niebezpieczne, jakkolwiek niebezpieczeństwo mniej mnie obchodzi. Ale wszystko to

będzie wymagało dłuższego czasu, niż bym chciała. Tylko... Zachariaszu, fakt, że jesteśmy do tego zmuszeni, jest tak potwornie podły!

Zaśmiał się. – Podobnie to odczuwam. Przypuszczam, że pierwsze bezkręgowce, które wypelzły z prehistorycznych mórz, czuły się tak jak my – nienawidziły każdej minuty nowego życia. ! oto ludzkość znowu wypelzła z wody i stanęła na suchym lądzie, ale nawet Sam Reed nie może sprawić, żeby nam się to podobało!

– Będzie żałował. – Zapięła płaszcz pod szyją i ociągając się przeszła przez pokój mocno stawiając stopy na elastycznej podłodze, po której zapewne nigdy już nie będzie chodzić, co najwyżej ze zwykłej ciekawości, może po upływie stulecia. Wszystko to dziwnie będzie wtedy wyglądało – pomyślała. – Po tak długim oddziaływaniu świeżego powietrza pewno pociemnieje i zeszywnieje. Będziemy się dziwić, że mogliśmy tu w ogóle wytrzymać. Och, kochanie, chciałabym, żeby Sam Reed się nie urodził.

Zachariasz otworzył przed nią drzwi – Nasze plany będą w dalszym ciągu aktualne na lądzie – powiedział. – Sprawdziłem twoją... twoją bombę zegarową. Rodzice i dziecko są tam bezpieczni, mają pracę pod dachem.

– Wolałabym, żeby to był chłopiec – oświadczyła Kedre. – Chociaż... może to, mimo wszystko, lepsza broń. A nie jest to, oczywiście, nasza jedyna broń. Trzeba powstrzymać Sama. Może będziemy musieli użyć broni równie niegodnej jak ta, której użył przeciwko nam, ale powstrzymamy go. Czas jest po naszej stronie.

Zachariasz, patrząc na jej twarz, nie powiedział ani słowa.

– Wiedziałem, że do czegoś zierzasz pozwalając wymknąć się tym buntownikom – powiedział Hale. -Niepodobne byłoby do ciebie, gdybyś pozwolił wymknąć się czemuś, co możesz wykorzystać.

Sam spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi. -Chciałeś skolonizować ląd, no i zrobiliśmy to – rzekł stanowczo.

– Automatyczne łodzie podwodne, automatyczne samoloty, zdalnie sterowane – i długoterminowy plan -powiedział Hale z zadowoleniem i potrząsnął głową. -Tak, dokonałeś tego. Nikt inny by tego nie zrobił, a ty dokonałeś.

– Za dwanaście lat zupełnie nieźle się zaaklimatyzują – odezwał się Sam spokojnie. – Po następnych dwunastu, a być może jeszcze następnych tak bardzo im się to spodoba, że nie dadzą się wyrzucić z powrotem. Pamiętasz, jak mówiłeś mi, co tworzy pionierów? Pchanie plus ciągnięcie. Złe warunki w domu lub Grall, który tam się znajduje. Grall nie wystarczył. No, i ... – Wzruszył ramionami.

Hale milczał prawie przez minutę patrząc na Sama spokojnym spojrzeniem, które tak wiele już widziało na wenusjańskim lądzie. W końcu powiedział:

– Pamiętasz, co przydarzyło się Mojżeszowi, Samie? – zapytał łagodnie, a następnie odwrócił się i wyszedł z pokoju nie czekając na odpowiedź.

Rasa zapuściła korzenie i zaczęła się rozwijać. Na początku powoli, niechętnie, ale z coraz większym wigorem. A na dole, w opustoszałych Twierdzach, przez kilka dni po wyjściu tysięcy, życie trwało jeszcze przez chwilę w dziwnej, nieznannej ciszy umierających miast.

Byli tacy, którzy nie zdecydowali się na opuszczenie Twierdz. Trochę starych ludzi, którzy zawsze tu mieszkali i nie wyobrażali sobie życia na lądzie, trochę chorych, którzy woleli powolną, luksusową śmierć, jaką im zapewniono. Trochę narkomanów. W śmiertelnej ciszy poruszali się bezgłośnie po opuszczonych muszlach Twierdz. Po raz pierwszy od czasu gdy ludzkość zamieszkała

na Wenus, pod kopułami zapadła cisza. Słyszało się skrzywienie na zakrętach coraz powolniejszych Szlaków. Słyszało się dziwne, niewyraźne, podwodne dźwięki przekazywane przez ogromne, rezonansowe pudła, jakimi stały się skorupy okrywające miasta. Czasami słyszała się szuranie kroków jakiegoś wędrowca.

Wkrótce jednak umilkły wszelkie kroki i wszelkie dźwięki, oprócz echa dobiegającego od strony głębin morza.

Grube ściany zadrżały od łoskotu bombardowania. Pióro w dłoni Sama zaczęło skakać po rozedrganym nagle papierze. Zadrżał blat biurka, krzesło, na którym siedział, zakołysała się rytmicznie podłoga i wszystko się uspokoiło. Na twarzy Sama mimo woli pojawił się grymas. Był to trzeci dzień bombardowania i Sam postanowił nie zwracać uwagi na drobiazgi w rodzaju drżenia ścian.

Młoda kobieta w gładkiej, skromnej, brązowej tunice pochyliła się ku niemu obserwując, jak pisze, a krótkie, proste pasma ciemnych włosów spadły jej na twarz. Wyrwała kartkę z notatnika niemal w tym samym momencie, gdy pióro Sama skończyło pisać i po drżącej podłodze przeszła szybko do swego biurka. Znajdowała się tam aparatura telewizyjna. Zaczęła mówić do mikrofonu cichym, spokojnym głosem. Na dwunastu ekranach rozrzuconych po rozległym, obłożonym forcie, jej opalona twarz stała się przedmiotem najwyższej uwagi, gdy dowódcy Sama wysłuchiwali najświeższych rozkazów. Z dwunastu ekranów patrzyły jej fiołkowobłękitne oczy zmrużone w skupieniu, a aksamitny głos przekazywał nie pasujące do niego swą powagą informacje.

– W porządku – odezwał się Sam zmęczonym głosem – w porządku, Signa, sprowadź teraz Zachariasza.

Wstała z miłą precyzją ruchów, na które przyjemnie było patrzeć, i szybko przeszła przez pokój. Drzwi, przez nią otworzone, nie prowadziły prosto do poczekalni, lecz do niewielkiej komory, gdzie w każdej chwili można było zastosować promieniowanie wykrywające wszelką broń przemycaną przez kogokolwiek. Sam nie chciał ryzykować. W tej chwili nie miało to specjalnego znaczenia – być może zbyt długo brał swe osobiste bezpieczeństwo za bezpieczeństwo ogólne. Znowu zagrzmiało bombardowanie i po raz pierwszy na jednej ze ścian zaczęło pojawiać się, niby powolna błyskawica, nieznaczne pęknięcie. Komora bezpieczeństwa wydawała się raczej bezużyteczna, skoro nawet ściany przestawały wytrzymywać. Jeszcze jednak przez jakiś czas trzeba było z niej korzystać.

Na skinienie Signy weszli dwaj strażnicy, niedbale zatrzymali się w komorze czekając, aby więzień odwrócił się pod wiązką niewidzialnych promieni. Za nimi weszli dwaj następni strażnicy.

Zachariasz miał rozciętą wargę, a na jednym policzku nie starzejącej się twarzy ciemny siniec, pomimo kajdanków wyglądał jednak na bardzo pewnego siebie. Poza opalenizną niewiele się zmienił. Wciąż był głową Klanu Harkerów, a Harkerowie wciąż byli najbardziej wpływową rodziną na Wenus. Jeśli uderzenie Sama polegające na uwięzieniu przywódcy atakujących sił miało jakiegokolwiek znaczenie, Zachariasz nie okazywał tego.

Dwadzieścia lat nie było zbyt długim okresem.

Twierdze w dalszym ciągu nie nadawały się do zamieszkania. Przystosowanie się do życia na lądzie następowało stopniowo, zostało już jednak zakończone. Podano to do wiadomości, gdy przyrządy po raz pierwszy wskazały, że atmosfera Wenus w końcu osiągnęła stan równowagi ekologicznej dorównujący Ziemi. Trawa łąkowa i pochodzące z Ziemi zioła o wysokiej wydajności tlenu wreszcie przeważały szalę. Od tej chwili, z botanicznego punktu widzenia, kontynent Wenus

mógł być pozostawiony samemu sobie. Rośliny zmieniły skład powietrza. Atmosfera o wysokiej zawartości dwutlenku węgla, w której bujnie rozwijała się wenusjańska flora, przestała być dla niej korzystna. To, co jest normalne dla roślin pochodzenia ziemskiego, stanowi truciznę dla żyjących na Wenus organizmów, które najczęściej nie były ani roślinami, ani zwierzętami, lecz morderczą symbiozą obojga.

Na taką właśnie zmianę oczekiwały rozwijające się kolonie.

A rezultatem zmiany była właśnie ta wojna.

– Zachariaszu – powiedział Sam zmęczonym głosem – chcę, żebyś odwołał swoich ludzi.

Zachariasz spojrział na niego uważnie, nie bez sympatii, starając się, jak tyle już razy czynił to na próżno, dopatrzeć się w nim jakiegoś podobieństwa do płynącej w nich obu krwi Harkerów. – Dlaczego miałbym to zrobić, Samie? – zapytał.

– Chyba nie bardzo możesz się targować. Zastrzelę cię, jeżeli do południa atak się nie skończy. Podejź tu – możesz skorzystać z mego nadajnika.

– Nie, Samie. Jesteś skończony. Tym razem nie możesz wygrać.

– Dotychczas zawsze wygrywałem. Mogę wygrać jeszcze raz.

– Nie – powiedział Zachariasz i przerwał. Pomyślał o owych sytuacjach w przeszłości, gdy Sam wygrywał – łatwo, pogardliwie, dzięki środkom obronnym nie do pokonania, budowanym przezornie w ciągu lat spokoju. Gdy ostatecznie prysnął mit nieśmiertelności, doszło do brutalnych, wściekłych, tragicznych i bezwzględnych ataków na tę ogromną fortecę, która chroniła najpotężniejszego człowieka na Wenus.

– Nie jesteśmy partyzantami – powiedział spokojnie Zachariasz. – Przygotowywaliśmy się do tego ataku od czasu, gdy zagrabiłeś nasze korium posługując się groźbą bomb głębinowych. Pamiętasz Samie? Nie popełniłeś zbyt wiele strategicznych błędów, powinieneś jednak sprawdzić sprzęt, który zabraliśmy na ląd opuszczając Twierdze. Mnóstwo tego sprzętu obecnie wykorzystujemy. – Spojrział na nierówną ryse, która pełzła w dół ściany w miarę, jak trwało bombardowanie. – Tym razem dosięgliśmy cię, Samie. Długo przygotowywałeś się do obrony – ale my przygotowywaliśmy nasze uderzenie dłużej.

– Zapominasz o czymś – Sam czuł w głowie ból od ciągłej wibracji i mówił z trudem. – Zapominasz o sobie. Naprawdę wolisz dać się zastrzelić, niż odwołać atak?

– A ty tego nie możesz pojąć, co?

Sam potrząsnął niecierpliwie głową. – Zaatakowałibyście dwadzieścia lat temu, gdybyście byli tak silni, jak udajecie. Nie oszukasz mnie, Harker. Nikt mnie dotąd nie zdołał załatwić.

– Byłeś nam potrzebny – aż do teraz. Żyłeś za naszą zgodą, Samie. Teraz to się skończyło. Bombardowanie to nie tylko armaty. To... ciśnienie ludzkich emocji, które zbyt długo tłumiliłeś. Staraleś się całkowicie zatrzymać postęp na wybranym przez siebie poziomie, a tego nie wolno robić, Samie. Ani tobie, ani komukolwiek. Ciśnienie to narastało przez dwadzieścia lat. Jesteś skończony. Samie.

Sam z wściekłością uderzył pięścią w rozedrgany blat biurka. – Zamknij się! – krzyknął. – Dość mam tego gadania. Harker, daję ci sześćdziesiąt sekund na podjęcie decyzji. A potem – ty będziesz skończony.

Mówiąc to czuł jednak dręczący niepokój, którego nie

potrafił nazwać. Podświadomie znał jego przyczynę. Dręczyło go, iż ujęcie Zachariasza okazało

się zbyt łatwe. Świadomość Sama nie zanotowała jeszcze tej sprzeczności – zapewne przyczyną była jego próżność. Zdawał sobie jednak sprawę, że coś w tym wszystkim nie pasowało.

Rozejrzał się nerwowo po pokoju, i zatrzymał na chwilę spojrzenie, jak wiele razy poprzednio, na błękitnookiej dziewczynie siedzącej przy biurku pod przeciwległą ścianą. Obserwowała wszystko czujnie, z zaciśniętymi ustami, nic nie uchodziło jej uwagi. Wiedział, że może jej ufać. Było to pokrzepiające uczucie. A wiedział, ponieważ wszechstronne testy psychologiczne i neurologiczne zdyskwalifikowały wszystkich kandydatów oprócz sześciorga, spośród których wybrana została Signa.

Gdy po raz pierwszy pojawiła się w formie jako pracownik biurowy, miała osiemnaście lat, urodziła się w Twierdzy, natomiast wychowywano ją na lądzie. Wszyscy kandydaci zostali, oczywiście, dokładnie zbadani. Wszystkim od razu wpojono zasady opracowane przez psychologów Sama. Signa szła w górę najszybciej z nich. Po roku została pomocniczą sekretarką w dobrze pilnowanym budynku centralnej administracji. W pół roku później była sekretarką urzędującą we własnym biurze. Pewnego dnia Sam, szukając dla siebie personelu, z zaskoczeniem zobaczył, że na liście osób z najlepszymi wynikami testów pierwsza jest kobieta. Jedna rozmowa przesądziła o jej nominacji.

Miała teraz dwadzieścia pięć lat. Nie była kochanką Sama, chociaż w formie mało kto by w to uwierzył. Co jakiś czas poddawano ją kolejnym testom w stanie sztucznego odurzenia, aby sprawdzić, czy nie zmieniły się jej emocjonalne reakcje. Jak dotąd się nie zmieniły. Można jej było całkowicie ufać i Sam zdawał sobie sprawę, iż jego wydajność spadłaby o połowę, gdyby musiał pracować bez niej.

Zauważył, że coś ją niepokoiło. Znał jej twarz tak dobrze, iż najdrobniejsza zmiana nie mogła ująć jego uwagi. Gdy patrzyła na Zachariasza, między jej brwiami pojawiła się zmarszczka, a w oczach jakby wyraz niepewności, pełne zaskoczenia oczekiwanie.

Sam spojrzął na zegarek. – Czterdzieści sekund -powiedział i odsunął krzesło. Patrzyli na niego, jak podchodzi do przeciwległej ściany, na której poszerzała się długa rysa pęknięcia i naciska włącznik na trzymetrowej ramie. Zasłona na ramie zaczęła się powoli rozsuwać. Zza zasłony zaczęło dobiegać delikatne, urokliwe, nieskończone uwodzicielskie brzęczenie. Sam wyciągał już rękę ku pokrywce przymocowanego z boku ramy pudełka, gdy z ekranu Signy rozległ się sygnał.

– Do ciebie, Sam – powiedziała po chwili. – Hale. Ponownie nacisnął przełącznik, aby zasłonić ekran, i

szybko przeszedł przez pokój. Z poziomego ekranu patrzyła na niego nie starzejąca się, śniada twarz Wolnego Żołnierza.

– Nie ma przy tobie nikogo, Sam?

– Poczekaj. Założę słuchawki.

Twarz na ekranie niecierpliwie się skrzywiła. Następnie na znak Sama zniknęła i głos Hale'a odezwał się w słuchawkach tak, iż nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Powstał wyłom – powiedział Hale szybko.

– Poważny?

– Wystarczająco. Z powodu wibracji. Mówiłem ci, że moim zdaniem plastik jest za mało elastyczny. Na niższym dziedzińcu. Opanowali kilka naszych dział i odwrócili je. Za pięć minut otworzą ogień na górny dziedzińiec. Sam, przypuszczam, że gdzieś nastąpił przeciek. Nie powinni wiedzieć, jak funkcjonuje ta broń. A wiedzą.

Sam milczał pospiesznie rozważając różne możliwości. Hale był podejrzany jak każdy inny. Już od bardzo dawna Sam nie ufał Wolnemu Żołnierzowi. Ale uzyskał bezlitosną pewność co do lojalności Hale'a sprawiając, iż opinia publiczna bardzo ściśle ich kojarzyła. Hale skorzystał na metodach Sama. A Sam zadbał o to, aby dowiedziała się o tym cała Wenus. Zadbał o to, aby udział Hale'a w rzucaniu niepopularnych haseł – począwszy od oszustwa z nieśmiertelnością – stał się powszechnie znany. Nie było wątpliwości, iż Hale będzie popierał Sama we wszystkich poczynaniach, choćby po to, żeby zachować twarz.

– Mam tu Zachariasza – powiedział do mikrofonu. -

Przyjdź tu, dobra? – Zsunął słuchawki i odwrócił się do więźnia. – Twój czas się skończył – rzekł.

Zachariasz jakby się wahał, a następnie powiedział: -Będę rozmawiał z tobą, ale pod jednym warunkiem. W cztery oczy. Nikt nie może usłyszeć tego, co mam do powiedzenia.

Sam otworzył szufladę biurka, wyjął płaski pistolet i położył nakrywając go dłonią na drgającym blacie. – Przemówisz teraz, Zachariaszu Harker – odezwał się – albo strzelę do ciebie. Dokładnie między oczy. – Podniósł pistolet i patrząc na Zachariasza ponad celownikiem lufy widział łagodną twarz Nieśmiertelnego zasłoniętą do połowy przez siną stal.

Cisza. Nagle z daleka dobiegł, stłumiony przez ściany, lecz mimo to przeszywający uszy jęk pocisku rozdzierającego powietrze w wewnętrznym forcie. Uderzenie, głuchy grzmot, i długi jękliwy trzask. Ściany zadrżały, ale trochę inaczej, a rysa za plecami Sama poszerzyła się.

Zachariasz powiedział: – Lepiej pozwól mi porozmawiać z tobą, Sam. Ale jeśli wolisz strzelać – strzelaj. Niczego nie powiem, dopóki nie będziemy sami.

Sam nie wahał się zbyt długo. Zdawał sobie teraz sprawę, że jest bardziej wstrząśnięty, niż mu się dotychczas wydawało, bo przecież nigdy by nie ustąpił przed bluffem. Opuścił jednak powoli pistolet i skinął głową.

Signa wstała. – Straż, odmaszerować. – Strażnicy odwrócili się i wyszli przez wciąż zradioaktywowaną komorę kontrolną. Przyłożywszy palec do włącznika komory, spojrzała pytająco na Sama: – Czy mam również wyjść?

– Nie – odrzekł Sam. – Ty nie – podkreślił stanowczo.

– Samie, może ja... raczej wyjdę... – W jej głosie brzmiało dziwne zakłopotanie i przygnębienie. Pierwszy odezwał się Zachariasz.

– Proszę zostać – powiedział. Znowu rzuciła na niego dziwne spojrzenie, niepewne i zakłopotane.

Sam obserwował ich opierając dłonie na biurku i czując prawie nieustanne drżenie od bombardowania. Od czasu do czasu słychać było jęk przeszywających powietrze pocisków – i Sam wolał nie myśleć, co dzieje się z wewnętrznym pierścieniem jego obrony wokół górnego dziedzińca.

– Dobrze – powiedział. – O co chodzi? Mów szybko, Harker. Nie mam czasu.

Zachariasz, który wciąż miał ręce skute z tyłu kajdankami, przeszedł przez pokój i stanął przy szerokich oknach patrząc na rozciągającą się za nimi panoramę odległego morza.

– Pokażę ci – powiedział. – Podejdź tu.

Sam niecierpliwie przeszedł przez rozedrganą podłogę. – Co? Co tam jest? – Stanął obok Nieśmiertelnego, ale w bezpiecznej odległości, ponieważ ostrożność była jego drugą naturą, i spojrzał. – Nic nie widzę. Co tam jest?

Zachariasz zagwizdał początkowe takty „Liiibulero”... W pokoju rozległ się grzmot.

Sam poczuł, że się chwieje, dusi, łapie powietrze, zupełnie nie pojmując, co się stało. – Uderzenie promienia – pomyślał w popłochu. Ale wobec tego cały pokój powinien być rozwalony, a tymczasem chyba tylko on został ugodzony i opierał się o ścianę potrząsając w oszołomieniu głową i ciężko oddychając.

Popatrzył wokół siebie. Zachariasz wciąż stał przy oknie i patrzył na niego z jakimś wyrazem powściągliwego współczucia. Pokój był nietknięty. Ale coś stało się z ramieniem Sama.

W tym miejscu, gdzie przed chwilą poczuł uderzenie. Już sobie przypomniał. Drżącą ręką dotknął zdrętwiałego miejsca i po chwili spojrział niedowierzająco na pokrytą świeżą krwią dłoń. Coś spływało mu po piersi. Pochyliwszy głowę ujrzał, iż była to krew. Kula musiała wyjść tuż pod obojczykiem.

Usłyszał cichy, wyraźny szept Signy: – Sam... Sam!

– Wszystko w porządku, to nic poważnego – zapewnił ją, nie podniósłszy jeszcze głowy. Następnie ujrzał ją stojącą za jego biurkiem z płaskim pistoletem w drżących dłoniach. Wpatrywała się w niego ogromnymi, przerażonymi oczami, usta miała zaciśnięte pod wpływem napięcia. Spojrzenie jej przeniosło się z Sama na Zachariasza,

a kryjące się w nim niedowierzanie bliskie było pełnemu szaleństwu.

– Mu... musiałam to zrobić. Samie – powiedziała zachrypłym, cichym szeptem. – Nie wiem dlaczego – musi być jakiś powód! Nie rozumiem...

Zachariasz przerwał jej łagodnie: – To nie wystarczy, Signa – powiedział. – Musisz spróbować jeszcze raz, wiesz o tym. Szybko, zanim on cię powstrzyma.

– Wiem... wiem. – Głos jej zamierał. Na ogół strzelała dobrze, szybko i spokojnie, teraz jednak podniosła trzymany obiema dłońmi pistolet celując jak uczennica. Sam dostrzegł, jak zaczęła naciskać spust.

Nie chciał tego zrobić. Prawie że wolałby zaryzykować, żeby strzeliła. Opuścił jednak prawą rękę wzdłuż boku, i wymacawszy przez ubranie znajdujący się w kieszeni mały pistolet, nie celując strzelił z biodra.

Nie chybił.

Długo i po raz ostatni wpatrzyły się w niego szeroko otwarte, fiołkowolśniące oczy. Sam ledwie usłyszał stuk spadającego pistoletu. Błękitne spojrzenie Signy przypomniało mu inną błękitnooką dziewczynę, która bardzo dawno temu również stała przed nim i sypnęła mu w twarz niepamięcią.

Krzyknął: – Rosathe! – jakby tylko co przypomniawszy sobie to imię i gwałtownie odwrócił się ku Zachariaszowi. Pomyślał, że jest to taki sam trójkąt jak sześćdziesiąt lat temu – Zachariasz, Rosathe, Sam Reed. Nie było różnicy. Ale tym razem...

Palce Sama znowu zacisnęły się wokół broni i pocisk śmignął w powietrzu. Zachariasz, widząc to, nie drgnął. Pocisk jednak jakby eksplodował w powietrzu kilkanaście centymetrów od jego piersi. Rozległ się trzask wyzwolonej energii, błysk miniaturowej gwiazdy, a Zachariasz z uśmiechem spojrzawszy Samowi w oczy.

Powiedział coś, co wydawało się bez sensu. Wciąż patrząc na Sama podniósł głos i krzyknął: – W porządku, Hale, decyduj się!

W słowach tych było wyzwanie. Sam nie miał czasu, by odgadnąć, o co chodzi. Zacisnął zęby i wyrwawszy z osmalonej kieszeni pistolet uniósł go ku twarzy Zachariasza.

Przynajmniej w tym miejscu Nieśmiertelny nie może mieć pancerza.

Nie zdołał nacisnąć spustu. Usłyszał dobiegający z tyłu znajomy głos, który powiedział ze znużeniem: – Wygrałeś, Harker. – I palący błysk smagnął go prosto w oczy.

Wiedział, co to jest. Obaj z Wolnym Żołnierzem nosili niewielkie miotacze, które, zamiast groźniejszej broni, służyły do uśmierzania niepokojów. Ślepotą po takim błysku nie była na ogół długotrwała, ale też nie mijała szybko.

W ciemności, która nagle ogarnęła pokój, Sam usłyszał głos Zachariasza: – Dziękuję ci. Hale. Byłem przekonany, że jednak to zrobisz – ale nie do końca. Dobra robota.

Wolny Żołnierz powiedział: – Wybacz mi, Sam. Były to ostatnie słowa, jakie Sam usłyszał w Kolonii Plymouth.

Tedy wstąpił Mojżesz z onych równin Moabskich...

I rzeki Pan: oto jest ziemia... Pokazałem ją oczom twoim, ale do niej nie wnikdziesz.

... I umarł tam Mojżesz, w ziemi Moabskiej, a nie dowiedział się nikt o grobie jego aż do dnia tego".

Falowała ciemność, huczał wiatr. Po chwili jaśniejsze zarysy okazały się twarzą – zaczął dostrzegać głowę oraz tors starego człowieka o przenikliwych rysach, pomarszczonego, starego człowieka, którego rozpoznał. Znajdowała się za nim goła ściana z metalowego stopu, a skądś dochodziło słabe światło.

Sam próbował usiąść, nie udało mu się, spróbował jeszcze raz. Nie mógł się ruszać. Ogarnęła go panika. Stary człowiek uśmiechnął się.

– Spokojnie, chłopcze. Tak właśnie musi być. – Mówiąc te słowa nabijał fajkę tytoniem. Następnie zapalił ją, zaczął pociągać, dmuchnął dymem. Jego łagodne spojrzenie spoczęło na Samie.

– Muszę ci powiedzieć o kilku sprawach, synu -odezwał się. – Na wszelki wypadek. Jesteś już cały i

Biblia, Deuteronomium, XXX, 1, 4—5.

zdrowy, jeśli cię to interesuje. Przebywasz tu od kilku tygodni, odpoczywając i dobrzejąc. Wiem o tym tylko ja.

– Gdzie jestem? – Sam starał się poruszyć głową na tyle, aby dostrzec źródło światła i kształt pomieszczenia, Nie udało mu się.

– Kryjówkę tę przygotowałem jakiś czas temu – ciągnął Crowell pykając. – Przypuszczałem, że będzie mi potrzebna w takim właśnie celu. Znajduje się pod moim poletkiem ziemniaków. Sądzę, że jeszcze cholernie długo będę kopał ziemniaki na tej działce. Może przez sto lat, może przez pięćset. Zgadza się, jestem Nieśmiertelnym. Nie wyglądam na to, prawda? Ale urodziłem się na Ziemi.

Dmuchał błękitnym dymem. – Na staruszce Ziemi było sporo dobrych rzeczy. Ale już wtedy mogłem odgadnąć, co się stanie. Przewidywałem ciebie. Samie Reed. Och, nie twoje imię ani twarz, ale wiedziałem, że się pojawisz. Taki człowiek jak ty zawsze się pojawia we właściwym czasie. Potrafię odgadywać przyszłość, Samie. To sprawa talentu, który posiadam. Nie wolno mi natomiast ingerować, bo w takim przypadku zmienia się bieg wydarzeń – gdy w nie wkraczam, przez jakiś czas nie potrafię powiedzieć, co z tego wyniknie.

Sam zrobił rozpaczliwy wysiłek, żeby poruszyć palcem. W oczach zatańczyły mu kolorowe płatki.' Ledwie słyszał głos starego człowieka, który ciągnął dalej.

– Nie denerwuj się – Crowell powiedział spokojnie. – Po prostu postaraj się przez chwilę tylko słuchać. Jestem Logikiem, Samie. Czy pamiętasz Świątynię Prawdy? Z początku nie wierzyłeś tej wyroczni, prawda? A jednak miałem rację. To ja byłem ową maszyną, a nie popełniam błędów, przynajmniej nie tego rodzaju.

Przez czterdzieści lat byłeś w tej Świątyni, Samie. Tego również nie możesz pamiętać. Spałeś narkotycznym snem.

Narkotyczny sen? W Samie znowu obudziła się czujność. Czyżby zupełnie niechcący otrzymał wyjaśnienie, którego tak długo poszukiwał, a które w tej chwili było zupełnie bez znaczenia? Crowell – ów nieznaną opiekun? Ale jak... dlaczego...

– Zachariasz zamierzał cię zabić. Byłem tego pewny. I byłem pewny, że mu się uda, jeśli nie wkroczę w przebieg wydarzeń. Wobec tego wkroczyłem – co w znacznym stopniu pomieszało mu szyki. Potem nie byłem w stanie już tak ściśle określić przyszłości, dopóki sytuacja znowu się nie wyjaśniła. Dlatego właśnie czekałem czterdzieści lat. Dlatego sprawiłem, że ocknąłeś się w ulicze, złamany i upokorzony. Żeby szale znowu się wyrównały, synu. Rzecz polega na tym, że jeśli dałem coś dobrego w prezencie, muszę później dać coś złego, inaczej nie da się zachować równowagi.

Musiałeś wtedy pokonać wiele trudności, a gdy zrobiłeś to, cały układ się ustabilizował. Znowu mogłem odczytywać przyszłość.

Sama nic to nie obchodziło. Gdybyś zdołał przewyciężyć swą bezwładność! Musi, musi! Dotychczas zawsze wykorzystywał jakieś głębokie zapasy sił, jakich inni nie posiadali. Musi mu się udać i teraz.

Ale siły go zawiodły.

– Wiesz, że nie jesteś Samem Reedem – mówił Logik. – Pamiętasz Blaze'a Harkera? Miał syna. Zaczynał wówczas tracić rozum, inaczej nigdy by nie znenawidził chłopca do tego stopnia, żeby uczynić to, co uczynił. Wiesz, co się stało, prawda? Dorastałeś mając wygląd przeciętnego człowieka, ale w rzeczywistości nie nazywałeś się Reed.

Blaze Harker, Blaze Harker o wykrzywionej twarzy, walczący w kaftanie bezpieczeństwa...

Pozwoliłem mu uciec! Mogłem go zabić! To on był tym... Pozwoliłem mu uciec...

Blaze Harker!

Harker!

Sam... Harker!

– Nie mogłem powiedzieć ci wcześniej – mówił Cromwell – bo zmieniłoby to przyszłość, a tego nie chciałem. Aż do teraz byłeś nam potrzebny, Samie. Raz na jakiś czas, nieczęsto, pojawia się facet taki jak ty, ktoś na tyle mocny, żeby poruszyć świat. Och, myślę, że innym też nie brakowało kwalifikacji – na przykład Robinowi Hale. Tylko że Hale nie zdołałby tego zrobić. Mógł wykonać część roboty, ale do pewnych spraw nigdy nie zdołałby się zmusić.

Natomiast ty jesteś w stanie zrobić wszystko, synu -absolutnie wszystko – jeśli dzięki temu możesz zdobyć to, co chcesz.

Gdybyś się nie urodził, gdyby Blaze nie zrobił tego, co zrobił, ludzkość wciąż siedziałaby w Twierdzach. I za sto lat lub, powiedzmy, za pięćset, cała rasa by wymarła. Niesłuchanie jasno dostrzegałem tę perspektywę. Ale teraz wyszliśmy na ład. Dokończymy kolonizowania Wenus. A później, jak przypuszczam, ruszymy dalej i opanujemy cały wszechświat.

Ty dokonałeś tego, Samie. Wiele ci zawdzięczamy. Byłeś wielkim człowiekiem. Ale twój czas

się skończył. Władzę zdobyłeś siłą i jesteś, synu, taki sam jak większość tego rodzaju dyktatorów. Potrafiłeś tylko powtarzać działania, które przyniosły ci sukces – w dalszym ciągu walka, w dalszym ciągu przemoc. Właśnie dlatego, że jesteś tego rodzaju człowiekiem, nie było innego wyjścia, niż cię obalić, gdy już zwyciężyłeś. Masz w sobie ten sam impuls, który pierwszą istotę wyprowadził z wody na ląd. ale teraz przez jakiś czas nie możemy z ciebie korzystać, Samie.

Impuls? Była to wściekłość. Płonęła w nim z tak oślepiającą gwałtownością, tak gorącą, iż wydawało się dziwne, że nie skruszyła obezwładniających go kajdan paraliżu – wydawało się dziwne, iż sama gwałtowność gniewu nie pchnęła go przeciwko Crowellowi. Podnieść się... zmiażdżyć Hale'a, zmiażdżyć Harkerów...

Harkerowie. Ale on sam był również Harkerem.

Crowell mówił: – Ludzie tacy jak ty zdarzają się niesłychanie rzadko, Samie. Gdy osiągają właściwą pozycję we właściwym czasie, stają się ocaleniem ludzkiej rasy. Ale musi to być właściwy czas – czas upadku. W człowieku takim jak ty, ów impuls nigdy nie wygasa. Musisz osiągnąć szczyt. Musisz to zrobić lub zginąć.

Jeśli nie możesz walczyć z wrogiem, będziesz walczył z przyjaciółmi. Do tej pory przeciwnikiem była Wenus i obłaskawiłeś ją. A z kim chcesz walczyć teraz?

– Z człowiekiem.

– Teraz będzie długi, dobry okres spokoju. Władzę

przejęli Nieśmiertelni. Będą mądrzej rządzili. Zostawiłeś im dobre podstawy; będą na nich budować. Ale dla ciebie już czas, żeby się wycofać.

Nagle Crowell zaśmiał się. – Samie, myślałeś, że kłamiesz obiecując nieśmiertelność na lądzie, co? Mówiłeś prawdę. Będą nieśmiertelni. Podejrzewałbyś to? W Twierdzach człowiek umierał. Tu, na lądzie, będzie żył – no, może nie wiecznie, ale bardzo, bardzo długo. Ta rasa stała się nieśmiertelna. Samie, i to dzięki tobie.

Znowu pyknął fajkę i z zadumą spojrział poprzez dym na Sama. – Prawie nigdy nie ingerują w przebieg wydarzeń – odezwał się. – Tylko raz musiałem zabić człowieka. Musiałem. Tak bardzo zmieniło to model sytuacji, iż później przez dłuższy czas nie byłem w stanie odczytać przyszłości, ale zdążyłem dojrzeć wystarczająco wiele, aby pojąć, co by się stało, gdyby człowiek ten żył dalej. Byłoby źle. Trudno wyobrazić sobie coś gorszego. No i zabiłem go.

Wkroczyłem ponownie, ponieważ wiem, jaka byłaby przyszłość, gdybyś miał w niej swój udział. Oznacza to, że teraz przez dłuższy czas nie będę mógł odgadnąć, co będzie się działo. Później sprawy się wyrównają i znowu będę mógł przewidywać.

Tym razem nie zabijam. Jednak uczę się z wiekiem. A poza tym, jesteś Nieśmiertelnym. Możesz zasnąć na bardzo długo niczego nie tracąc. I to właśnie uczynisz, synu – zaśniesz.

Mam nadzieję, że umrzesz we śnie. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał cię budzić. Bo jeśli tak się stanie, będzie to oznaczało, że sprawy znowu się pogorszyły. Ty i ja jesteśmy długowieczni. Jeszcze przez długi czas będziemy w pogotowiu, żeby zapobiegać katastrofom. A może się zdarzyć wiele złych rzeczy.

Coś mi błyska przed oczami. To nic pewnego, bo zbyt jeszcze odległe. Dostrzegam jednak możliwości. Dżungla może powrócić. W wyniku mutacji mogą pojawić się nowe formy życia – istoty żywe są podstępne na Wenus. A nie utkniemy na Wenus na zawsze, jest to zaledwie pierwsza kolonia. Ruszymy dalej, ku planetom i gwiazdom. A tam również mogą być kłopoty, prędzej niż przypuszczasz. Może jakieś istoty zechcą skolonizować nasze

światy, tak jak my skolonizujemy ich światy. Bywa pokój i bywa wojna, zawsze tak się działo i myślę, że zawsze tak będzie.

A zatem, może znowu będzie nam potrzebny taki człowiek jak ty, Samie.

Obudzę cię, gdy tak się stanie.

Przenikliwa, śniada twarz przyglądała mu się zza kłębow dymu. Badały go przyjazne, niewzruszone, oceniające oczy.

– Na razie jednak – powiedział Crowell – idź spać. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Śpij dobrze, synu -dobranoc.

Sam leżał nieruchomo. Światło przygasło. A może przygasł jego wzrok?

Nad tyloma sprawami chciał się zastanowić, a tak mało ma czasu, żeby pomyśleć. Jest Nieśmiertelnym. Musi żyć...

Sam Harker, Nieśmiertelny, Harker. Harker.

Usłyszał karnawałową muzykę rozbrzmiewającą w Twierdzy Delaware, zobaczył jasne wstęgi ruchomych Szlaków,, poczuł unoszący się w powietrzu zapach perfum, uśmiechnął się do twarzy Kedre.

Nastąpiła chwila ostatecznego wysiłku, jakby wpijał się palcami w krawędź skały, a całe życie i świadomość rozpadały mu się w rękach.

Podziemną komorę ogarnęła ciemność i cisza. Istota Podziemna spała w niej głęboko, w oczekiwaniu.

Epilog

Sam obudził się...

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Wstęp. 3](#)

[Część pierwsza. 3](#)

[Część druga. 15](#)

[Część trzecia. 30](#)

[Epilog. 45](#)